

**Karol Kolmo**

**Autobus do**

**Korony**

Co to było za zadupie?! Ojciec nie dał bryki. Te całe Kolce, to było ni to sioło ni to wieś. Ale to tu, nie wiedzieć dlaczego, zyskał dla siebie azyl najlepszy kolega Rafała. Wesele było jak się patrzy. Trzy dni świętowali, ale rodzina panny młodej nie zapewniła transportu do Korony, najbliższego miasta w prostej linii. Adam mu chciał pomóc, mówił nawet coś, że go weźmie Yamahą. Z tym że obaj mieli jeszcze z rana we krwi kilka promili wody życia. Dlatego Rafał grzecznie podziękował. Nie chciał młodej żonce przyjaciela fundować poweselnej stypy, a jej status prawny zmieniać naprędce na: wdowa. Już i tak w całej Polsce na motocyklistów wołali: dawcy organów. To pewnie ze względu na stan naszych dróg. Postanowił, że zostawi Magdę z jej nowym mężem Adamem i skoro rano wybrał się w nieświeżym już garniturze na najbliższy przystanek. Najbliższy? Było chyba doń z kilometr z wielkim hakiem. Ale Rafał czuł coś wewnątrz, że musi już podziękować za gościnę. Szedł więc tak po grząskiej drodze. Był chyba w połowie drogi, jak jakiś autobus, faktycznie, pojawił się na horyzoncie. Krzyczał, wrzeszczał. No, ale i tak nie miał szans, by dobiec, więc z rezygnacją machnął tylko ręką. Pewnie będzie następny – pomyślał. I z tą nadzieją szedł dalej rażno w stronę przystankowej wiaty, która majaczyła już na horyzoncie. Wszędzie wokół ścieżki rozciągały się pola. Wyżej, na przestrzał, asfaltowa droga, szosa. I tam gdzieś w oddali w środku pustej przestrzeni wiaty. Ktoś tam chyba jest? - pomyślał. Tak jakby ktoś tam siedział w środku. I co? Nie wziął go autobus? Dziwne – przemknęło mu w myślach. Tu chyba autobusy jeżdżą w jedno miejsce. Do Korony? Nie ma chyba innej opcji?

Poprawił sobie ubrudzony weselnym winem krawat. Podciągnął spodnie. Przeraźliwy gęgot jął się rozchodzić prosto z nieba. Spojrzał w górę. Na tle szarych, spopielałych obłoków klucz dzikich gęsi przemieszczał się z jednego krańca firmamentu na drugi, robiąc przy tym tyle hałasu. Ale już po minucie gęsi były przeszłością, a on był coraz bliżej przystankowej wiaty.

Ten Adam to ma farta. - Rafał westchnął do siebie. - Na taki majątek się wżenić. - Magda bowiem pochodziła z majątnej rodziny. Do jej wujka należała sieć małych sklepów w całym rejonie. Kilka punktów garmazeryjnych i nawet jedna masarnia. Zaś jej ojciec był głównym menadżerem w firmie wujka. To był jej plus. Niejedyny, boć przecież była też wielce urodziwa. Mogłaby wziąć udział w wyborach Miss Regionu. Mogła, ale nie chciała. Ładne dziewczyny znają swoją wartość. Widzą ją codziennie w oczach mężczyzn. Widzą jak miękną oni przy nich. I to, ten zachwyt, wystarczą. Zupełnie wystarczą. Na takie konkursy decydują się tylko takie, które chcą się wydostać ze swojego zaścianka, albo takie co marzą o jakiejś sławie. Magda taką nie była. Chyba taką nie była. Na tyle, na ile ją poznał przez te kilka dni, taką miał opinię. A człowieka na dobre można rozgryźć już po krótkiej, pięciominutowej rozmowie. To był typ intelektualistki. Nie zdziwiło go więc, gdy się dowiedział od Adama, że Magda studiuje filozofię na UW.

Do wiaty zostało może z pięćdziesiąt metrów. Tak! Tam ktoś siedział. Odwrócony do do niego tyłem. To nie był z całą pewnością jakiś duży mężczyzna. Sylwetka skulona mówiła, że to był ktoś drobny i w ciemnym palcie.

Te ostatnie metry przebył z pewnym trudem. To stara sportowa kontuzja ścięzna w nodze odezwała się teraz. Zawsze, jak się zanosilo na nią i deszcz, odczuwał w łydce dyskomfort. - Dzień dobry! - odezwał się pierwszy. Teraz, z bliska, mógł się przekonać, że to jakaś starsza kobieta była. - A dobry, panie, dobry. - odrzekła mu nieco zaciągając mową dalekich kresów. - Nie zdążyła Pani wsiąść do autobusu? Widziałem, że przed chwilą odjeżdżał. - A tam, panie, nigdzie bym nim nie dojechała. - Jak to? Przecież stąd kursują busy tylko do Korony. - mocno go to zdumiało. - A ja, panie, nie do Korony. - po czym zrobiła minę, jakby już miała dość o tym mówić. Lecz faktycznie, o czym Rafał nie był jeszcze świadomy, miała mu jeszcze wiele do powiedzenia

Rafał spojrział na tabliczkę zawieszoną pośrodku wiaty, taką z rozkładem jazdy. - O cholera! - wycedził przez zęby. - Raz na trzy godziny – powiedziała słabym głosem. - Co, panie, za trzy godziny? - Nie czytała Pani? Do Korony autobusy kursują raz na trzy godziny. - -Ach tak. No może, może. Może tak być w rzeczy samej. -- A pani nie czytała? - jeszcze raz się spytał. - Młody panie, ja już zapomniała, jak się czyta. - Rafał aż pokręcił głową z niedowierzaniem. Toć to przecież przed nim siedziała na plastikowej ławie wiaty normalna analfabetka. Pierwszy raz w życiu mu to było dane. Pierwszy raz w życiu widział na własne oczy dorosłego analfabetę. - Hm... a pani jest chyba dość wiekowa? - zaczął trochę niepewnie. Nie chciał jej bowiem zranić lub jej cośkolwiek uchybić. - A dyć tak jest, młody panie. Ja już zapomniała nie tylko czytania, ale nawet nie wiem ile mam lat, też zapomniałam. - Rafał, żeby ukryć, jak bardzo go to rozbawiło, odwrócił się do kobieciny, by ta nie widziała uśmiechu na jego licu. Lecz już do końca nie kontrolując tembru głosu ze śmiechem spytał – A pamięta pani, jak się pani nazywa? -- Józefina Telka – powiedziała poważnie i tak jakby rozbawienie tego młodego pana, jak go nazywała, nie raziło ją zupełnie. Jednakże Rafał szybko przywołał się sam do porządku. Nie był on z tych, co to bawią się cudzym kosztem. - Trzy godziny? Hm ... - mówił do siebie, lecz jednak na głos. - A pani to miejscowa? To znaczy z Kolców? -- Tak, panie, ja tutejsza – odrzekła, i podrapała się po nosie. Jej twarz była zorana zmarszczkami. Siwe włosy, mocno już przerzedzone. To wszystko mówiło o jej sędziwym wieku. - To wie pani, czy tu można łatwo złapać stopa do Korony? Trzy godziny to mi się nie widzi tu czekać na busa. - Młody panie, tu jeżdżą tylko ambulanse, karawany, no i busy, no i samochody Kierskich. -- Kierskich? Ja właśnie od nich idę. Prosto z wesela. Wydali swoją córkę za mojego serdecznego przyjaciela. - aż krzyknął zdumiony. -- No to czemu ci nie pomogli, młody panie? Mogli cię odwieźć do Korony? -- A, Pani Józefino, dzisiaj tam wszyscy spici i na kacu, nawet kierowcy. Taka była impreza, że hej! – A rozumiem, rozumiem – przyznała. - Toć córkę się wydaje tylko raz z życia. Przynajmniej tak się zdaje. Młody panie, - znów się podrapała po nosie. - ja ci rzekłam, jak się nazywam, lecz ty mi nie rzekłeś. Wszak dobre wychowanie wymaga, by się przedstawić. - dziwnie jej mowa nabrała szlachetnego krakowskiego tembru. Gdzieś się rozwiały lwowskie naleciałości. - Ach, przepraszam. Ma pani absolutnie rację. Nazywam się Rafał Mniejszysz. Obecnie studiuje matematykę na UW. - Rafał

rozejrzał się bezradnie. Lecz zdał sobie sprawę z tego w tej sekundzie, że długo będzie musiał czekać na następnego busa do Korony. Pomyślał nawet, iż może dobrym będzie to, jak zostawi za sobą przystanek i piechotą ruszy do Korony. Szybko jednak ten pomysł zdał mu się niedorzecznością. Stąd do korony było bowiem ze dwadzieścia kilometrów i to w linii prostej. - Coś pogoda nam się psuje – zagał do Józefiny. - O tak, młody panie, tak jest. Fatalnie dziś czuję swoje korzonki. Jak by mnie kto wysmagał batem po plecach. – Niech pani do mnie mówi po imieniu, jakoś się źle czuję, gdy pani mi panuje. - Na te słowa Rafała Józefina szczerze się uśmiechnęła. Odśloniła przy tym rząd białych i silnych zębów. - *Ona ma lepsze zęby od moich* – pomyślał – *Ach, może to są protezy?* - Do niej zaś rzekł. - Coraz cieplejsze mamy dni, to jest tendencja długofalowa. - - Co? - Józefina jakby nie zrozumiała. - No mówię, że klimat nam się ociepla – powiedział nieco głośniej. - Aha! Ano tak jest, Rafale. Ja pamiętam już takie lata, gdy o tej porze był śnieg i mróz siarczysty na polu. – Ja też wspomnę takie lata – przyznał jej rację. - Co ty możesz, chłopcze, wiedzieć. - powiedziała nieco agresywnie. Ale zbiło to Rafała z pantałyku Na chwilę zapanowała znamienna cisza. Ani Józefina ani Rafał nie chcieli chyba pierwsi się odezwać. Lecz po dłuższej chwili jednak pierwsza tę ciszę przerwała Józefa. - To te atomy. To powoduje, że pogoda jest coraz gorsza, a i ludzie stają się coraz mniej znośni. - Rafał poczuł się nieco zakłopotany, bo wyglądało na to, że kobiecina plecie, co jej na język przychodzi. Ale dla grzeczności przytaknął jej zgodnie: -No tak, Tak to jest teraz. Ten cały postęp psuje ludzi, a i przy okazji całą przyrodę. - Rafał zrobił krok w kierunku drogi. Stanął nawet na obrzeżu asfaltu. I zaczął wypatrywać się, jakby chciał wyczarować stamtąd busa. - To na nic, chłopcze. Jesteśmy teraz skazani tylko i wyłącznie na swoje towarzystwo. Lecz, pomyśl, czyż gorszym dla ciebie nie byłoby to, gdybyś tu stał samotnie niczym kołek w płocie? - Powiedziała nagle Józefa, a tembr jej głosu był śpiewny, barwny i czysty niczym głos telewizyjnej lektorki. Rafał przyznał jej w duchu rację. - Usiądź przy mnie, tu na wiacie. Powiem ci pewną historię, może bajkę. Wszak mamy wiele czasu na to. Uwierz mi, ja już wiele przeżyłam. Wiele widziałam. Pomogę ci więc teraz rozwiązać twoje rozterki i wątpliwości. Ja mogę, uwierz mi, wyprostować twoją ścieżkę życia. - *Co ona bredzi?* -pomyślał. Lecz, czy to, by jej nie uchybić, czy to z dobrego wychowania, bo tak go matka nauczyła, usiadł na plastikowej ławie, może tak pół metra od niej. - Mamy dużo czasu. Więc opowiem ci coś. - Józefa mówiła, a Rafał umilkł. Pomyślał sobie, że może ta stara ma coś faktycznie ważnego do przekazania?

Wiatr się wzmógł. Lecz oni byli osłonięci wiatą. Jakiś słabutki deszczyk pojawił się, lecz oni byli osłonięci wiatą. Tylko ten nieco większy ziąb dał się odczuć, i to pomimo tego, iż miał na sobie koszulę i odświętny garnitur. Jak mógł się łatwo zorientować, Józefa była opatulona szarym, o niemodnym już fasonie, paltem. Jej najpewniej było dostatecznie ciepło. Rafał rozparł się wygodnie na tym plastikowym siedzisku wiaty przystankowej. A Józefa zaczęła mówić barwnym i ciepłym tembrem :

...

- W pewnej krainie, daleko stąd, na wielkiej górze miał siedzibę Mag, który zwał się Wolność. Miał on żonę i trzech synów. Żona nosiła dumne imię Sprawiedliwość, najstarszy syn nosił imię Dobro, średni Prawda, a najmłodszy syn Piękno. Jako że był to dobry mag, taki to, co to wie wszystko, co się wokół dzieje, nawet jeśli mieszka odizolowany od innych na olbrzymiej górze, dobrze wiedział, że na ludzi nastał ciężki czas. Coraz więcej było nieprawości wśród śmiertelników. Młodzi nie szanowali starszych, nie szanowali swych rodziców. Dane słowo innemu już nic nie znaczyło, można było nie dotrzymywać ślubów i przyrzeczeń. Wszędzie było pełno drwin i szyderstw. Ludzie niszczyli się wzajemnie. Nie szanowali cudzych emocji, a nawet cudzego życia. Każdy tylko zważał na zawartość własnego mieszka. Mag Wolność z przerażeniem śledził ten stały proces degrengolady. A nocami przesiadywał w swej bibliotece i myślał, intensywnie myślał, co by tu zrobić, jak zaradzić temu upadkowi obyczajów wśród ludzi? A że miał tam w swej bibliotece tysiące książek, nie tylko o magii, lecz również o zwykłym życiu. Więc czytał także i szukał w nich porady. Co by tu zrobić? Jak uratować ludzkość przed samozagładą? Rano zaś patrzył z pewnego rodzaju dumą i satysfakcją, jak jego trzej synowie z każdym dniem rozwijają się, jak uczą się mądrości, jak stają się coraz bardziej mężczyźni. Mag Wolność zdawał sobie sprawę, iż jest jednym z nielicznych w całej krainie, ba! może i na całym świecie, który może tak cieszyć się ze swoich dzieci. Wiedział bowiem doskonale, że wynika to przynajmniej po części stąd, iż synowie jego żyją na uboczu i nie mają tak bezpośredniego kontaktu z rówieśnikami. Jednakże nie obawiał się o ich rozwój, nie bał się tym samym wypaczenia ich charakterów. Bowiem oni sami dla siebie byli dostatecznym wzorcem i oparciem. Więc sami nawzajem, na siebie dostatecznie dobrze oddziaływali. Mag Wolność więc cały czas rozmyślał nad tym, co tu zrobić? Jak pomóc ludziom? Tym ludziom, którzy żyli w dolinach. Pewnej nocy, po długich rozmyślaniach usnął znużony. I wtedy miał znaczący sen. Przyśnił mu się jego awatar opiekuńczy, Feniks, ptak, który rodzi się w ogniu i zniszczeniu. Oto Feniks oznajmił mu w tym marzeniu, by zaprosił do swej siedziby Wróżkę o dźwięcznym imieniu Mądrość. Ona to, wydaje się, znajdzie rozwiązanie tego, do czego nawet sama Wolność nie mogła dojść. Następnego więc rana Mag Wolność udał się do swej ptaszarni i wybrał gołębia pocztowego, który to znał drogę do Wróżki Mądrość. Zaopatrzył go w wiadomość do Wróżki, wypuścił go, i już spokojny poszedł do swych codziennych czynności.

Oto minęło kilka tygodni. Sam Mag prawie zapomniał o całej sprawie z Wróżką Mądrość. Zapomniał, mimo tego, że co noc rozmyślał nadal, jak tu pomóc ludziom. Czasami myślał, że gołąb posłaniec pewnie padł ofiarą jakiegoś drapieżnego orła lub sokoła. Coraz bardziej upewniał się więc, że nie będzie mu dane poradzić się Wróżki. I trzeba będzie samemu coś wymyślić. I oto do drzwi domu Maga zapukała kołatka. Najmłodszy syn, Piękno, otworzył drzwi przybyszowi. Oto na progu stała stara, bardzo stara, bardzo stara kobieta. Lecz jej przeorana zmarszczkami twarz jakaś taka piękna była, paradoksalnie piękna była. Kobieta rzekła: - Ty pewnie

Piękno jesteś, młody kawalerze? - -Ja? Tak! Skąd Pani wiedziała? -

-Wiedziałam, bo znam was wszystkich synów Maga Wolności, a ty wyglądasz na najmłodszego, więc musi być, iż to ty jesteś Piękno.-- Aha! - młody był mocno poruszony. - Pewnie zastanawiasz się, kim ja jestem? I co chcę? – No właśnie, właśnie – dukał Piękno. - Oto, młodzieńcze, dostałam zaproszenie od twojego ojca, więc i jestem. Me miano to Mądrość. - Młody jakby zaskoczył w czym rzecz i krzyknął radośnie. - A tak, ojciec mówił nam. Mówił nam ,że zaprosił Wróżkę Mądrość. – Prowadź mnie więc do ojca – rzekła.

Przeszli więc do części mieszkalnej. Piękno przodem, jakby chciało przewodzić i świecić blaskiem ku Mądrości. Wróżka tylko uśmiechała się i niby syciła się ukradkiem młodością kawalera.

W głównej izbie domostwa przy ławie siedziała pozostała dwójka potomstwa Wolności i Sprawiedliwości. Młodzieńcy jednak wstali, gdy zauważyli gościa. -Mój bracie Prawdo, a gdzie to jest nasz ojciec? -spytał, wchodząc Piękno. - Czyta księgi w swej bibliotece – odpowiedział Prawda. - Pani, Szanowna Mądrość, pozwól że pójde po ojca – powiedział najmłodszy. - A ty tu, Pani, rozgość się. Bracia moi, ugośćcie godnie Wróżkę Mądrość, bo jest ona zaproszona w nasz dom przez ojca. Pani – to mówiąc, zniknął w korytarzu.

Zapanowała cisza. Bracia gestem zaprosili wróżkę do stołu. Dobro rzekł te słowa- Czy Pani napijesz się z nami wina, najśodszej ambrozji? - O tak. Wielcem ci spragniona. Tu do was dostać się nie jest łatwo. Dom na samym szczycie dość stromej góry. - Tak jest właśnie – powiedział Dobro. - Ale broni nas to od niechcianych intruzów. To nasze odosobnienie, jak mówi ojciec, jest naszym błogosławieństwem. - Wróżka upiła łyk ze złotej czary. - Gdziez wyrabiają tak smaczne i słodkie napitki? - spytała. - To nasza matka, Sprawiedliwość, czyni te cuda.- rzekł Prawda. - Jesteśmy tu samowystarczalni. Mamy własne mleko, swój spichlerz. Zaprawdę rzadkim jest, by ojciec nasz wysyłał nas po coś tam w niziny, do śmiertelników. - Wróżka piła wino. Zrobiła gest, niby po dolewkę. - Lecz to wino, jak znam swój fach – powiedziała – wielce zdradliwe jest dla słabej głowy. Nawet Prawdzie z tej rzeczy może się wyda powiedzieć kłam. - - My dużo nie pijemy wina. Jeśli już to deszczówkę, której mamy pod dostatkiem – rzekł najstarszy syn. Jakiś rumor dał się słyszeć z korytarza. Męski głos, bas coś tam prawił. I oto po chwili ukazała się wszystkim postać Maga Wolność, który już progu głośno zawołał- Już myślałem, Szlachetna, że wiadomość moja nie dotarła do cię. Jakże się cieszę- dodał szybko. - Jakże się cieszę. Ufam, że poznałaś już, szlachetna, moich wszystkich synów. Oj zmienili się oni, odkąd ich widziałaś w kołysce. - To już młodzi mężczyźni – przyznała, powstała i uściśnęła ręce gospodarza. - Jak i słusznie prawisz, Magu, mocno ci twoi synowie zmężnieli – powiedziała na powitanie. - Musisz być z nich, Panie, dumny i kontent. - Nie bez przyczyny poprosiłem cię tu, Pani. Lecz nim to omówimy w moim gabinecie, pozwól że zaproszę cię na posiłek. Ma małżonka, Sprawiedliwość, już coś tam smacznego dla nas przygotowuje. Jeśli zaś teraz chcesz się odświeżyć, to piękno zaprowadzi cię do twej komnaty. Synu – tu zwrócił się do

najmłodszego, -niech matka przygotowuje komnatę dla naszego szlachetnego gościa.

Następnego dnia, skoro świt, tak jak się już wczoraj umówili z wieczora, Mag Wolność zaprosił Wróżkę Mądrość do swego gabinetu, by omówić wszystko to, co go nurtowało, a na co, tak to sobie Mag wykoncypował, być może tylko Mądrość zna odpowiedź. - Moja droga przyjaciółko – zaczął ostrożnie. Zanurzony w swym głębokim fotelu. - Mam pewien problem. Oto – uważnie obserwował jej reakcję – widzę bowiem, że ludzie stają się z każdym dniem coraz bardziej opryskliwi, niedobrzy dla siebie. - - Tam na dole? - spytała. - - Otóż to. Właśnie tam na dole. Cóż czynić więc? Nie chcę być bowiem biernym widzem upadku ludzkości. Mniemam, że ten sam proces toczy się we wszystkich krainach, tam wszędzie, gdzie ludzie mają swoje domostwa. Może da się coś zrobić? Może ludzie przestaną sobie dokuczać? Zważ na młodzież. Oni uczą się od swych rodziców. Więc wiele na to wskazuje, że będą podobnie się zachowywać, gdy dojdą swej dojrzałości. - Wróżka głęboko westchnęła. Poprawiła szaty. Zapadła w zadumę. Lecz po pewnej chwili rzekła – Drogi przyjacielu, jest na to pewien sposób. Przyznam ci się, że i ja obserwuję ze zgrozą to samo zjawisko. Lecz ja nie mam rodziny. Ty masz. I do tego właśnie zmierzam. - - Do czego, Szlachetna? - spytał trochę zmieszany. - Co wspólnego z tym ma moja rodzina? - - Dużo, przyjacielu. Bo trzeba ludziom dać przykład. - - Nadal nie rozumiem. Przecież ludzi jest ogrom, tysiące tysięcy. Wszystkim im dać przykład? - - Twoi synowie są już dorośli, choć jeszcze młodzi. A oni, dzięki tobie, posiadają szereg walerów. Musisz, musisz posłać swych synów tam na dół do ludzi. Niech oni swym przykładem pokażą ludziom, że nie jest to dobrze czynić zło i szkody innym bliźnim. - - Jak to? - Zdumiał się znowu. - Przecież, jak ci mówiłem, ludzi są tysiące, a ja mam tylko trzech synów. – Ale jakich ty masz synów. Wszak Dobro, Prawdę i Piękno. - uśmiechnęła się przy tym życzliwie. - Widać było, że Mag Wolność jest wstrząśnięty. - Nigdy o tym nie pomyślałem. - Przyznał z pokorą. Po czym dodał. -Ale ja boję się o nich. Nie, nigdy na ta nie zezwolę. Zapomnij, Wróżko. Zapomnij. Daj mi, ale inną radę. Tej nie przyjmuję. - - Innej to rady nie ma – powiedziała z siłą. - Ludzkość długo nie przetrwa bez Dobra, Prawdy i Piękna. - gdy to mówiła, aż jakaś aura wewnętrzna promieniowała z jej wnętrza. - - Mag chwycił się z jakimś grymasem bólu za głowę. - Nie takiej rady od ciebie oczekiwałem. Nie takiej. Muszę to przemyśleć. O jakże ja jestem biednym ojcem. Mam poświęcić swe dzieci? - - Nie bój się, oni -rzekła – oni już są dorośli. Muszą robić to, do czego są stworzeni. Już przyszedł na to czas, byś im pozwolił odejść na swoje. - Było widać wszak jak Wolność bije się z własnymi myślami. Aż cały trząśł się, ręce mu drżały. Lecz wróżka dobrze wiedziała, że jej siew, jej słowa, padły na podatny grunt.

Minęło kilka dni. Mądrość już dawno zostawiła swój zaczyn w tym domu. Pojechała w swoje strony. A Mag codziennie, co noc rozważał cały czas jeszcze, to co mu rzekła. Chodził cały struty. I domownicy dostrzegli to dobrze, jak bardzo coś gryzie go, coś go nurtuje stale. Sprawiedliwość pełna obaw, obserwował te zmagania

samym z sobą swego męża. Nie minęło wszakże od wizyty Wróżki Mądrości dwa tygodnie, kiedy pewnego dnia po sutej wieczerzy. Gdy wszyscy domownicy siedzieli przy stole. Wtedy to Mag Wolność odezwał się tymi słowy. - Kochani moi synowie. Kocham was wszystkich, i kocha was wasza matka. Ale już dojrzelście, już zmężnieliście. Każdy z was osobno na pewno pokonałby mnie na rękę. Krzepę macie bowiem jak mało. Do czego zmierzam? - na te słowa Mag popatrzał na małżonkę, a tamta wodziła za nim wzrokiem, jakby nie wiedziała w czym rzecz. - Dorośliście. I ja sobie to uświadomiłem w te kilka dni po tym jak nas odwiedziła Wróżka Mądrość. Uświadomiłem sobie, że ten świat u nas, u mnie z matką, to już nie jest dobry świat dla was. - - Jak to, ojcze? - Odezwał się najstarszy syn. - - Nie przerywaj, synu. Otóż Wróżka Mądrość uświadomiła mi całą sytuację. Wy musicie sami znaleźć swoje miejsce. Nie tu przy zapiecku u mamy i taty. Tylko tam, w nizinie. Z bolącym sercem mówię wam to. To bardzo mnie boli, ale na was już czas. - Mag przerwał, zamyślił się. Tymczasem jego synowie mieli na swych licach nie tęgie miny. To był chyba strach. Może dezorientacja. Może niepewność jutra. Tak, to była niepewność jutra. Oto ich gniazdo trzeba będzie opuścić. I , po tej krótkiej chwili ciszy, Mag znów się odezwał. - Synowie moi, ja was nie wypędzam. Zawsze, jeśli się wam życie, wam, i każdemu z osobna, życie nie uda, wracajcie wtedy do nas. Lecz teraz, a właściwie jutro z rana opuścicie moje domostwo – Sprawiedliwość zaczęła cicho łkać, zakrywał ukradkiem oczy. - Nie płacz, matka, nie płacz, twoim dzieciom nie stanie się krzywda. - Ale ona coraz mocniej łkała. - Dość tych babskich żalów, kobieto! To są przecież byki. Oni sobie krzywdy dać nie pozwolą. - krzyknął Mag. Lecz w jego głosie, w tym krzyku można było wyczuć lęk i obawę. - Matka na te słowa wybiegła z komnaty, ale Wolność nie spuścił bynajmniej z tonu. Cały czas trzymał fason. - Jutro wyjedziecie z domu, jak mówiłem. Zabezpieczę was, uczynię magiczne błogosławieństwa dla każdego. Dam wam odpowiednie środki na życie. To wam wystarczy na jakiś czas. Waszą misją jest poznanie życia wśród ludzi, tych z niziny. Macie coś do wypełnienia. Lecz co, to musicie również poznać tam wśród ludzi. Ja sam nawet nie wiem, co to znaczy. Wiem tylko tyle, co powiedziała mi Mądrość. Dobro, Prawda i Piękno muszą mieszkać między ludźmi. Lecz, co to w konsekwencji oznacza? Sam nie wiem. Nawet się nie domyślam. Nie chcę do końca wiedzieć, choć jestem przecież magiem. I mógłbym tę tajemnicę wydrzeć elementarom z Planu Astralnego. Lecz, jak powiadam, nie chcę nawet wiedzieć. I wy też na siłę nie szukajcie odpowiedzi. Z czasem wszystko się wyjaśni. Spokojnie. Synowie, spokojnie. Wszystko się z czasem wyjaśni. Będzie dobrze. Przecież nie pakowałbym was w zatracenie. Jeśliby bowiem na Ziemi zabrakło Dobra, Prawdy i Piękna, straszne by czasy nastąpiły wówczas.

Teraz zaś idźcie do swych komnat. A jutro skoro świt w drogę. Pamiętajcie, cokolwiek by się nie działo, Moc jest po waszej stronie. -

W te słowa, Mag Wolność aż chwycił się za głowę. A jego dzieci niepewnie ruszyły od gościnnego dotąd rodzinnego stołu. Co ich tam będzie czekać na nizinie? Chyba najmniej bał się najstarszy. To przecież w każdej sprawie, jaka ich spotkała dotąd, to



on był ostatnią instancją. To on był ich przywódcą. Najbardziej zaś markotną minę miał najmłodszy. Było znać, że i on zaraz zanieś się płaczem, jak i jego rodzicielka. To przecież on był najukochańszym pupilem Sprawiedliwości.

Rano chyba niebo płakało, a wraz nim matka Sprawiedliwość. Oto trzech synowie stali przed bramą domu. Dobro dosiadało białego ogiera. Prawda ogniście czerwoną kasztankę. A Piękno miało pod siodłem czarnego niczym węgiel rumaka. Stali tak w strugach deszczu, cali zmoknięci, a ojciec, Mag Wolność, stał na własnych nogach wsparty laską. - Synowie moi – mag przemówił. - Już wczoraj w nocy odprawiłem odpowiednie ceremonie, tak iż by wam szczęście zawsze sprzyjało. Ale teraz chcę wam dać, każdemu z osobna, jego kamień opiekuńczy. Masz, Dobro – podał najstarszemu złocisty kamień wielkości przepiórczego jaja – oto twój kamień. To szlachetny topaz. Chroń go dobrze. A wskaże ci on zawsze takiego człeka, który chce was skrzywdzić. Ty Prawdo – zwrócił się do średniego, podając mu nad siodłem iskrzący się skrami kamień. Był on wielkości wielkiego migdału. - Oto masz oszlifowany brylant. On zawsze wam wskaże tego, co was zwodzi, chce i zadaje kłam. Zmatowieje wtedy ten kamień. Pilnuj go wielce, bo to cenny kamień. I ty masz, mój najukochańszy Piękno, kamień – podał synowi zielony jak liście wiosną duży kamień. Był tej samej wielkości co muszla winniczka. - Oto awenturyn. On zawsze ściemnieje, gdy ktoś będzie chciał przed wami skryć swój paskudny i brzydki charakter i naturę. Pilnuj go, bo piękna duszy i charakteru trudno się od razu doszukać w innym człowieku. A ten kamień wam w tym dopomoże. Synowie moi, i na koniec chcę wam jeszcze rzec. Trzymajcie się razem, zawsze razem. Bo Dobro, Prawda i Piękno razem pokonają każdą przeszkodę, każde zagrożenie. Oddzielone zaś od siebie, stają się łatwą ofiarą przeróżnej maści złoczyńców. A wy dwaj najstarsi. Miejcie szczególne baczenie na Piękno, bo on z was jest najślabszy i najczulszy, boć przecież on i najmłodszy. - Na chwile przejaśniało się. Deszcz jakby osłabł. A potem zupełnie przestało padać. Słońce promieniami oznajmiło, że znów oto panuje. Ojciec dał ostateczny sygnał, zakreślił nad swymi synami starożytny znak swastyki. A tym samym dzieci Wolności i Sprawiedliwości z wolna ruszyły przed siebie w ten szeroki świat. Po chwili zniknęli za drzewami z oczu swym rodzicielom. Mag Wolność westchnął ciężko. I ujął za rękę swą drogą małżonkę, która o dziwo w tej samej chwili przestała łkać. - Dobrze będzie, matka, dobrze będzie z nimi.

Ten świat, tu na dole, zdał się im zupełnie inny i nieznan. Wielość roślin, bogactwo fauny i flory. To wszystko wręcz oszołomiło ich na początku. Tylko ludzie byli jacyś tacy zawzięci. Widać to było po ich twarzach. Po ich oczach. Szczerzyli oni tylko do wszystkich wokół swoje ostre zęby. Więc na razie bracia nie wdawali się z nimi w żadne rozmowy. Nie zaczepiali mijanych. A i sami nie byli indagowani. Może to i z tej przyczyny, iż na razie spotykali tylko wiejską biedotę. Dla tych zaś widok ich

rasowych rumaków zdawał się mówić, iż właściciele takowych muszą się wywodzić z tych lepiej sytuowanych.

Po deszczowym poranku już nic nie zostało. Szaty już dawno im wyschły. Słońce w zenicie przyjemnie grzało. A oni jechali powoli na swoich koniach, i przypatrywali się mijanej okolicy. Wzgórze z domem rodzinnym zostało daleko w tyle. Nie było już odwrotu. Została tylko ta droga w nieznane. Lecz świat wydawał się być przyjazny, szeroko przed nimi otwarty. I przede wszystkim szalenie kuszący. Może też chcieli rzeczywiście przeżyć jakieś przygody? Może odnaleźć swoje powołanie, cel życia, misję do spełnienia? W końcu z tej to przyczyny ojciec ich wyprawił z domu.

Droga, po której jechali, to był zwykły żwirowy trakt. Lecz w miarę jak oddalali się od wzgórza, na którym był dom Maga Wolności, i ta droga się zmieniała. Oto mogli zauważyć, iż nagle żwirowa nawierzchnia zmieniła się w koci bruk. Więcej też domostw zdało się trafiać wzdłuż tej trasy. I więcej ludzi szło jej poboczem. Oto też po kilku minutach wjechali najwyraźniej do jakiegoś miasta. Dziwnym to jednak było, że ludzie tu po czerni najwidoczniej chodzili. Żadnego śladu uśmiechu i radości życia w nich nie było. Posępne miny, i zacięte usta. Jeszcze bardziej zacięte niż ci spoza miasta. - Coś mi się tu nie podoba, bracia – powiedział Piękno, ten najmłodszy. - - Masz najzupełniej rację – przyznał mu najstarszy. - - Bracia, bierzmy się stąd jak najszybciej – mówił najmłodszy. - - Hm ... A mnie się to wydaje ciekawe – rzekł Prawda. - - Co ci się zdaje ciekawym? - pytał najmłodszy. - - No to, co mogło spowodować takie zachowanie się obywateli tego miasteczka? - - Słuchaj, ja tu wyczuwam zagrożenie – swoje mówił Piękno. - - Cicho – uciął rozmowę Dobro. - - Zobaczymy w czym rzecz i być może zaraz wyruszymy w dalszą drogę. Nie będziemy tu ,zdaje się, nocować. - - Ruszyli więc dalej brukową drogą. Rychło też dojechali do małego ryneczku. Pustego zupełnie. Na samym środku był tam dostojny gotycki kościół. A na drzwiach kościoła, mogli to doskonale dojrzeć, wisiało jakieś ogłoszenie. Podjechali z godnością przed sam kościół. - - Zaczekajcie – powiedział najstarszy, i zeskoczył z konia. Podszedł pod samo ogłoszenie. Dwaj pozostali bracia rozglądali się niecierpliwie wokół ze swych wierzchowców. A Dobro czytał pilnie ogłoszenie. - Bracia, tu pisze, że zaraza w mieście. - - Co? A nie mówiłem! - krzyknął najmłodszy. - Zbierajmy się stąd, póki nie za późno – dodał pośpiesznie. - - Ale to jakaś dziwna zaraza, co nie przenosi się przez ludzi i zwierzęta – rzekł Dobro. - - Przynajmniej tak tu piszą – wskazał ręką na obwieszczenie. - A powiem wam więcej, wyznaczona jest nagroda, worek złotych dukatów, dla tego, kto znajdzie przyczynę tej pandemii. - - Jak to nie przenosi się przez ludzi i zwierzęta? - Prawda wydał się mocno zdziwionym. - - No ja nie wiem, ale tak tu piszą. Piszą też, iż zaraza ta kosi ludzi i zwierzęta już od ponad pół roku. Chyba przez ten czas już dobrze wiedzą, że zaraza nie przenosi się przez ludzi?! - - No tak, no tak. Pełna racja – przyznał Prawda. - - Więc co robimy, bracia? - - Hm. Zmieniłem zdanie i myślę, że przenocujemy tu jednak. Wolę spać w łóżku nawet w mieście zarazy, niż w szczerym polu na gołej ziemi. - rzekł Dobro. - Proponuję, zostanmy tu dwa, trzy dni, popytajmy się miejscowych, co to za dziwy się tu dzieją. Gdzieś znajdziemy nocleg, może w

jakimś szynku? Co wy na to ? - Dobro już dosiadł swego wierzchowca. - No dobrze, dobrze. Jeśli to nie jest typowa zaraza, to myślę, że te kilka dni nic nam nie grozi. - powiedział najmłodszy, czuć jednak było w jego głosie obawę.

Zapach przeпоconych ciał. Na zewnątrz żywego ducha, lecz tu, w knajpie Delfin, było dość gwarno i pełno. Bracia rozsiedli się przy wolnym stoliku. Prawda skinął na obera. Jak się mogli szybko zorientować, tutaj piwo zamawiało się na łokcie. Do tego obowiązkowo śledzik po holendersku. - Co podać ?- rzekł ober na powitanie. - - Łokieć najlepszego piwa jakie tu macie – odrzekł mu Dobro, wyciągając równocześnie z sakwy srebrnego talara. - Czyli piwo Honza? - ober był mocno domyślny. - - Czy tyle starczy? - Dobro podał mu monetę. - - Ależ tak, panowie. Starczy też dla was wszystkich nawet na specjalność naszej knajpy, na gorące flaki. - - To podaj pan. Aha – Dobro jakby sobie przypomniał coś. - Czy jest tu teraz w knajpie jakiś muzyk, rybałt albo bajarz? Bo przez ten gwar nie umiemy dojrzeć. - A jest, dostojni panowie, jest. Siedzi tam – ober wskazał im przeciwny kąt. - Stroi gitarę. To stary Jendyger. Niech tylko gwar nieco przycichnie i będzie śpiewał szansony. - I , jak tylko ober poszedł po zamówione piwo, Dobro rzekł do swych braci. - Tacy grajkowie wiedzą najwięcej co się dzieje w okolicy. Myślę, że postawimy mu kufel albo dwa Honzy i porozmawiamy z nim. Może coś będzie wiedział o tej zarazie w mieście? Jest taka szansa. - - Toć gdyby coś wiedział, już by ten worek złotych dukatów należał do niego – przytomnie odparł Prawda. – Niekoniecznie, bracie – zareagował Dobro. - Niekoniecznie. Bowiem to daleka droga , zaprawdę daleka, od skarbcza rajców miasta do miski biednego włóczęgi. Piękno, idź i zaproś go do naszego stolika. Obiecuj mu grajcara albo nawet dwa za tę fatygę. I nie mów mu na razie, po co go prosimy do siebie. - - Najmłodszy z pewnym ociąganiem wstał, niby mu to nie było w smak. Lecz poszedł w przeciwną narożną sali. To tam, już to mogli dobrze widzieć teraz, jakiś łachmaniarz kręcił strunami swej leciwej gitary. - Bracie – Dobro odezwał się do Prawdy – słuchaj tylko i nie przerywaj, jak będę rozmawiał z tym grajkiem. Weź swój kamień i obserwuj go. Ale nie wtrącaj się w to, co będę do niego mówił. - - Bracie, zrobię, jak sobie życzysz. Tylko powiedz mi, co ty chcesz przez to osiągnąć? - - Przez tę rozmowę z grajkiem Jendygerem? - Dobro chciał się upewnić. - - No właśnie, z nim. - - Bracie, mi się zdaje, że on nas może naprowadzić na właściwy trop. - Dobro aż był cały czerwony na licu - myślę, że to my, już niebawem, będziemy bogatsi o worek pełen złocistych dukatów. - - Cały czas, Dobro, ty myślisz, jak rozwiązać tę zagadkę z zarazą, czyż nie tak? - - Tak, bracie, tak. Choć nam ojciec dał odpowiednie środki na życie, nim wyprawił nas w szeroki świat. Ale co worek dukatów, to worek dukatów. Słuchaj, a może naszą misją życiową jest wzbogacić się? - - Nie, Dobro, chyba jesteś w błędzie. Szkoda, że tu teraz nie ma Piękna, on ma z nas najlepszą intuicję. On by cię wyprowadził z tego błędu. - Tymczasem do ich stołu przyszedł właśnie ober z całym łokciem piwa. Było tego bez mała siedem pełnych kufli. Postawił je na stole, uklonił się i grzecznie odszedł. Dobro i Prawda chwycili łąpczywie za kufle i niby to mocno spragnieni

zanurzyli usta w złocistym trunku. Nie zrobili jeszcze dobrze trzech pełnych łyków, kiedy to razem z grajkiem wrócił do nich najmłodszy. Piękno usiadł na swym miejscu, a Jendyger stanął niepewnie u stołu. - - Siadaj razem z nami, napijesz się piwa? - rzekł do niego najstarszy z braci. - - Mogę, Szlachetni panowie, mogę. - Tamten dość śmiało zgodził się. Usiadł pomiędzy Dobrem a Prawdą. Człek ten był mocno zapuszczony i zaniedbany. Lecz cóż też innego można się było spodziewać po kimś, kto wędrował po całej krainie od karczmy do karczmy, od szynku do szynku. Jedyłą jego własnością była ta leciwa i zgrana gitara, i te połatane portki, co nosił na sobie. Nie golił się, i z tej to przyczyny miał zapuszczoną brodę niemal do szyi. Z lat to nawet nie można było określić, czy był stary, a może stosunkowo młody, tylko taki zaniedbany. - E tam, Jendyger, teraz to chyba trudno o zarobek w twym fachu? - powiedział Dobro. - Dlaczego tak myślicie, Panie? - - No bo przecież czas żałoby jest w mieście. Zaraza. Teraz to ludzie przychodzą do szynku żeby zapić te smutki, a nie dla zabawy, nie żeby posłuchać twoich szanson. Tak myślę. - mówił Dobro. - - No tak, macie, Panie, rację. Dlatego też teraz śpiewam jedynie smutne piosenki. - - Słuchaj więc. Możesz dużo zarobić. - powiedział Dobro. - Chodzi nam o pewną informację. - Dobro zrobił znaczącą minę do swych barci. - Możesz zarobić nawet trzy srebrne talary. Całe trzy talary. Rozumiesz? - - No tak, panie. Więc pytajcie. - powiedział Jendyger. - Mogę? - grajek zrobił gest w kierunku kufła z piwem. - To dla ciebie, bierz na zdrowie - Piękno podał mu piwo. - Jendyger wziął piwo i prawie jednym haustem upił połowę kufła. - Spokojnie, drugi kufel też jest dla ciebie - powiedział uradowany tym widokiem Piękno. - - No więc, panowie, słucham, co chcecie wiedzieć? - Wiesz, człowieku, że rajcy miasta ustanowili nagrodę, wysoką nagrodę dla tego, kto wyjaśni zagadkę tej zarazy? - powiedział Dobro. - - No tak, wiem. - - Nie będę więc kluczył i lawirował, przecież ty możesz coś na ten temat nam powiedzieć, jestem tego prawie że pewny - mówił Dobro. - - Dlaczego tak myślisz, Panie? Ja jestem tylko skromny grajek. Nie mieszam się w te sprawy. - - Widzę, że ty, człowieku coś ukrywasz. Zważ że możesz wielu ludziom pomóc. Czy tego nie uczył cię twój ojciec? Tego, by pomagać bliźnim? - Na te słowa mina rybałty jakby wykrzywiła się w grymasie, niby dostał pięścią prosto w szczękę. - - Ja? Ja? - wystękał. - No ty, ty! - Dobro napierał. Braciom zdało się jasnym, iż ten Jendyger z pewnością musi coś wiedzieć. Dobro widząc konfuzję rybałty nieco łagodniej rzekł. - Powiedz mi, może to jest niebezpieczne dla ciebie? Mów, mów. Dołożymy jeszcze dwa talary. Pięć talarów pozwoli ci wygodnie żyć przez kilka miesięcy. Może kupisz sobie nowy instrument? - - Hm?... - Jendyger zamyślił się. Tak jakby walczył wewnątrz z sobą. - - Dostojni panowie. Za te pięć talarów powiem wam, kto zna tajemnicę zarazy w mieście. Ale... - - No widzisz, bardzo dobrze, o to nam chodziło - ucieszył się Dobro. - Dobrze damy ci te talary. Lecz jak nas oszukasz, pożałujesz że się urodziłeś. - Szukacie kontaktu ze starą Elwirą. Ona wie wszystko w tej sprawie. Lecz powiem wam, że grzebanie się w tym nie jest bezpieczne. To dotyczy niebezpiecznych rzeczy. Ona przesiaduje godzinami w kościele i modli się za łaskę dla miasta. Tam ją znajdziecie. - - Bracie, jak tam twój kamień? - Dobro zwrócił się

do Prawdy, który trzymał swój brylant w ręce. – Możemy mu zaufać. Nie zadaje kłamu – odrzekł Prawda.

Ten rynek był cudny. Małe, kolorowe kamienice niby nie przejmowały się tym, iż w mieście rządzi śmierć. A ten kościół gotycki, to już była perła. Stał tak dostojnie pośrodku rynku i zapraszał do siebie, tak jakby namawiał do modlitwy, do rozmowy z Bogiem. Bracia zostawili swe wierzchowce w stajni przy szynku Delfin. To najmłodszy, Piękno otwierał pierwszy mosiężne drzwi kościoła. W środku panował półmrok. Barwne witraże przepuszczały mało światła. I to tylko wielkie świece, palące się przy ołtarzu, rozświetlały mrok jaki panował w środku. Jest raczej pewne, że podczas odprawiania mszy tych świec było znacznie więcej. Teraz jedynie bracia mogli dojrzeć trzy albo cztery sylwetki, sylwetki kobiet klęczących przy ławach, które to kobiety modliły się. Jedną z tych kobiet musiała być Elwira. - To chyba ta najstarsza, tam w pierwszym rzędzie – powiedział szeptem Piękno. - - No, zobaczymy. - rzekł równie cicho Dobro. - Poczekamy chwilę, i zagadniemy ją. Może jak będzie wychodziła z kościoła?! - - No to możemy sobie długo poczekać – wyszeptał na to Prawda. - - No to co robić? - spytał Dobro. - - Niech Piękno podejdzie do niej, i do niej zagai – odrzekł Prawda. - - Ja? Dlaczego ja? - - No ty, ty, wszak Piękno nigdy nie budzi u ludzi konfuzji, więc nawet, gdy się mylimy, i to nie jest Elwira, nie sprawisz u niej żadnej złej emocji. - odrzekł mu Prawda. - - Co racja to racja. - przyznał najstarszy - Idź więc bracie, i jeśli to jest Elwira spróbuj namówić ją, by wyszła z kościoła i zechciała z nami porozmawiać. - Dobro już zdecydował, jak ma to być. Piękno więc przeżegnał się, uklęknął i powoli, tak by nie rozbić zbędnego hałasu podszedł do tej staruszki. Tej to kobieciny, która to, im się zdało, modliła się, jak to rzekł im Jendyger, by zaraza opuściła miasto i nie siała już śmierci. Oto po chwili, Dobro i Prawda doskonale widzieli to, Piękno coś tam mówił niewieście, a i ona też coś tam do niego mówiła. Nic to nie było słyhać, nawet szept nie dochodził do najstarszych braci, lecz zaraz to i ona sama i Piękno przeżegnali się przed ołtarzem i najwidoczniej ruszyli do wyjścia. Piękno pokazał im na migi z daleka, że i oni mają też wyjść z kościoła.

-Czego chcecie ode mnie? - kobieta rzekła do wychodzących z kościoła Dobra i Prawdy. - Czy Pani to Elwira? - spytał na to Dobro. - - No tak, jam jest. Ale czego chcecie ode mnie, przybysze? - - Jest pewna kwestia. Może pani zarobić. - - Tak? - kobieta jakby się zaciekawiła. - - Lecz chodźmy stąd. Czy jest tu jakieś spokojne ustronie? Możemy w drodze porozmawiać. - - Ale ja z nieznanymi nigdzie nie pójde. Albo rozmawiamy tu, przed kościołem, albo żegnam i wracam do środka. Muszę się jeszcze pomodlić. A do swego domu was nie zaproszę. Aha! I jeszcze poproszę o te trzy grajcare, co to mi ten człek obiecał – pokazała na Piękno- za to że wyjdę z kościoła. A byłam wtedy w środku mych modłów.- - Dobrze, niewiasto – Dobro wyciągnął z kieszeni skórzany mieszek. - Trzy grajcare, oto one – podał kobiecie miedziaki. Tamta, wydać było to po niej wyraźnie, mile się tym zdziwiła. - Czy zechce więc pani z nami porozmawiać? - prawil Dobro. - Jak pani chce, możemy

nawet tu porozmawiać. - Kobieta nie wierząc najwidoczniej swemu szczęściu, jakby w rękach ważyła te miedziaki. - - Co chcecie wiedzieć, szlachetni? - w końcu się odezwała. - Widzę że mam do czynienia z ludźmi dobrze wychowanymi, a to w tych czasach nie często się zdarza. - szybko dodała. - - Zna pani Jendygera? - spytał Dobro. Kobieta się niby zachnęła. Skrzywiła się, jakby się cytryny napiła. - - A kto go tu nie zna? Łajza taki. I co on wam o mnie nagadał? - - Dobro zrobił porozumiewawczą minę do Prawda, ale tak żeby kobiecina tego nie dostrzegła. - - Otóż Jendyger nam powiedział, iż to pani może znać odpowiedź na zagadkę związaną z zarazą w mieście. - - A to skur... - wymknęło się tej bogobojnej kobiecie. Szybko się jednak opanowała i wypaliła. - To łajza jest i pijaczyna. Co on może wiedzieć? Ja nic nie wiem – dodała szybko z zaciśniętymi zębami. - - Dlaczego pani się boi? Bo pani się czegoś boi, nieprawda? - - Ja? A skąd? Ja się boję tylko Boga. No panowie to tyle. Muszę już iść się modlić. - - Dobrze, zaraz pani damy spokój – powiedziała Dobro. - Ale w takim razie niech nam pani powie, o co się pani modli do Boga? - - Kobieta aż cała pokraśniała na licu, tak jakby Dobro dotknął jej czulego punktu. - - Muszę już iść – kobieta zrobiła krok w stronę kościoła, lecz wtedy Dobro rzucił w jej kierunku - - Dobro musi zawsze zwyciężyć. Prawda zawsze na jaw wypływa, a Piękno jest wyrazem doskonałości. - - Co? - kobieta się zawahała. - Coś ty powiedział? - jakby ją raziło w głowę - - Może pani się miastu przysłużyć, uratować wielu ludzi, i zarobić przy tym, wtedy też pani modlitwy zostaną wysłuchane. - - kobieta stanęła w miejscu. Jakby ją jakaś siła trzymała za kieckę. Dobrze to mogli zobaczyć, spazm szloch szarpnął nią, ledwo się nie przewróciła. - - To Pietek, to Pietek... To wszystko Pietek... - zaczęła szlochać. - Modlę się o jego duszę – płakała. Piękno wziął ją w ramiona. Kobieta wręcz wtuliła się w jego barki i płakała. Płakała. Płakała. Trwało to dłuższą chwilę. Bracia milczeli. W końcu się uspokoiła. Stała przed Dobrem, twarzą w twarz, i rzekła. - To wina Pietka, mojego zięcia. Przeklął to miasto klątwą największą. I to bez to tyle ludzi i zwierząt pomarło. Ale nie ma z tego żadnego dobrego wyjścia. Tak to już będzie aż wszyscy pomrzemy. - - Gdzie możemy spotkać tego Pietka? - Dobro był konkretny. - Musielibyście, Panie, zstąpić do piekieł. Bo to tam Pietek po śmierci trafił, jak wierzę w Boga. - - Aha, czyli nie żyje? - - Tak, Panie, już dwa roki minęły jak skonał. Zapił się na śmierć. Ale wprzód przeklął miasto klątwą straszliwą. Klątwa ma w samej rzeczy straszliwą siłę, bo wprzód ukrzywdzono go mocno. Przez decyzję rajców miasta i samego mera Byrety stracił dom, żonę, dziecko. - - No, niech nam pani to powie. - - A co tu opowiadać? Jest jak wam powiedziałam. Pięć років temu rajcy uchwalili, że koryto naszej rzeczki, Kieny, będzie poszerzone. Moja córka Andeta i Pietek, jej mąż, mieli domek prawie przy samym starym korycie Kieny. Wyrzucono ich na bruk, zamieszkali w moim małym mieszkaniu ze mną. Lecz córka to tak mocno przeżyła, że się tym zamęczyła na śmierć. A była wtedy ciężarna. Oni to długo czekali na dziecko, lecz ze śmiercią Andety i płód również pomarł. Pietek zaczął wariować. Żeby nie poszaleć z rozpacz zaczął pić. Dużo pić. I w końcu w tym upodleniu i on pomarł na bruku. Lecz, dobrze to wiem, bo mi sam powiedział, zdążył jeszcze przekląć miasto, rajców

i mera Byretę. Przeklął tak, by każdy człek w tym mieście szczeł jak jego dziecko szczeło, i każdy zwierz, każdy ptak. Nie wiem, zaprawdę nie wiem, czy jest taka siła na świecie, która byłaby w stanie cofnąć tę klątwę. Dlatego nikomu nie mówiłam, no... może oprócz Jendygera. Jendyger to mój daleki krewniak. Całą zaś prawdę dzisiaj dopiero wam rzekłam. I czuję, naprawdę czuję ulgę. Dziękuję wam za to – kobiecina jakby faktycznie odetchnęła pełną piersią, a nawet uśmiechnęła się lub bardziej próbowała się uśmiechnąć – Nie, nie chcę za to żadnej zapłaty. To ja bym wam musiała zapłacić za tę ulgę. Ale ratunku dla nas, mieszkańców miasteczka, zaprawdę nie ma.

Dobro cały dzień chodził mocno przybity. Pozostali bracia widzieli to doskonale, choć Dobro nawet nie wspominał, co go tak trapi. Znowu pomarło się dziś kilku mieszkańcom Rytssy . Było o tym głośno, ludzie w szynku komentowali. Odeszli oni, ci co dziś umarli, jak wszyscy przed nimi. Zaczynało się silną gorączką, potem były wymioty, a finał był zawsze jeden. Po dwóch, trzech dniach choroby serce stawało z przeciążenia.

Wieczorem siedzieli w małym pokoiku nad szynkiem, który wynajęli od właściciela . Dwie lampy naftowe rozpraszały mrok. Bracia siedzieli przy wspólnym posiłku. Jedli wędzone węgorze. Piękno jak zwykle ledwo dziobał strawę. Za to Prawda wcinał z wielką ochotą. W pewnym momencie, jak już kończyli posiłek, Dobro odezwał się: - Myślę cały czas o tej nieszczęsnej klątwie. - - To widać, bracie, widać – przerwał mu Prawda. - - Ja nie mam pojęcia, jak im tu pomóc ?– rzekł Dobro. - - A co tu można pomóc? Zbierajmy się z tego miasta, póki sami jesteśmy jeszcze zdrowi, bo może i nas ta tajemnicza choroba dopaść. - - Co ty mówisz, Prawda? Przecież przekłęci są tylko mieszkańcy Rytssy – wtrącił Piękno. - - Ja tam nie wierzę w żadne klątwy, ale choroba szale i to jest fakt. Obawiam się, że narażeni są na nią wszyscy, także i my – powiedział Prawda. - - Hm ... Myślę jednak, że to Piękno ma rację. Nasz ojciec uczył nas przecież, co to są klątwy i uroki, i jaką one mają siłę. Przypomnij sobie, bracie. - - No tak, masz rację – przyznał Prawda. - - I co tu z tym fantem zrobić? Ja sam nie wiem- zastanawiał się cały czas najstarszy z braci. W pewnym momencie jednak rzekł: - Przecież ty, Piękno, masz z nas najlepszą intuicję. Pomyśl więc, zdaj się na swój wewnętrzny głos. Może coś wymyślisz?- - Ja? - Piękno był tym zaskoczony. - Ale tak na poczekaniu nic nie wymyślę. - dodał szybko. - - No możemy w miasteczku zostać jeszcze dzień, może dwa. - odrzekł Dobro. - Czy tyle czasu ci wystarczy?- - Nie wiem, bracie, naprawdę nie wiem. Ja nad swoją intuicją zupełnie nie mam władzy, nie panuję nad nią. To prawda, czasami mnie coś olśni, lecz jest to zupełnie poza moją wolą. Jest tak, iż gdy się na siłę spinam, by wywołać intuicję, ta akurat nie przychodzi w tym pożądanym czasie. - - No, zobaczymy. I ty, Prawdo, spróbuj też coś wymyślić. Może wspólnym wysiłkiem dojdziemy do czegoś. - powiedział Dobro. - A swoją drogą, żal mi tego Pietka. Już jego los, a właściwie los jego duszy, jest przesądzony. Miotając tak strasznym przekleństwem, skazał swą duszę na wieczne męki w piekle. Choćby nawet był przez rajców miasta mocno ukrzywdzony. I nic tu

modlitwy starej Elwiry nie pomogą. - - Co racja to racja – zgodził się z nim Prawda.

Mer Byret był tym mocno poruszony. Chodził po całej sali niespokojnie z jednego naroża w drugi. Machał przy tym rękoma i sprawiał nawet wrażenie dogłębnie wstrząśniętego. - Nie może być – tak jakby mówił do siebie – nie może. -Chwycił nagle czarę z wodą i upił spory łyk. Zakrztusił się przy tym, i dalej niespokojnie chodził.- -A jednak. Mam pewność. To znaczy mamy pewność, ja i moi bracia. - powiedział Dobro. Poprawił przy tym szaty. Prawda i Piękno siedzieli milcząco. Czuli się tu niby na audiencji u króla. Toć ta sala, w której przyjął ich na posłuchaniu mer, to była olbrzymia komnata. Widocznie mer, jak chciał komuś zaimponować, właśnie w niej przyjmował danego delikwenta. Bogate, wzorzyste kobierce wisiały tu na ścianie. Ogromne kryształowe lustro z jednej strony, z drugiej zaś barwne płótno, z motywem biblijnym, to były dwa te elementy wyposażenia, które najbardziej rzucały się w oczy. Piękno i Prawda mogli w spokoju sycić swe oczy. To Dobru przypada z reguła ta rola lidera, który to w ich imieniu zwykle prowadził rozmowy. - Ale jak można mieć pewność? Może to są tylko mrzonki pijaka, który tym samym chciał nadać sens swojemu przegranemu życiu?– Byret jeszcze próbował podważyć te tezy, które usłyszał przed chwilą. Popatrzał przy tym na Dobro dziwnym wzrokiem, niby chciał się upewnić, że nikt go nie wie na manowce.- Panie, my mamy absolutną pewność. To wszystko stało się przez strasliwą klątwę, klątwę za doznaną krzywdę i cierpienie. - - To co robić? Powiedz mi, człowieku. Co robić? Przecież już nikt nie przywróci życia zmarłym.- Byret aż westchnął. Z tych nerwów to był aż cały pąsowy po licu. - - Lecz resztę można uratować. - stwierdził Dobro. - - Jak? No jak? Powiedz mi jak?. Damy wam dwa worki pełne dukatów. Aż dwa, aż dwa. Każdy pełen złotych dukatów. - - Jest tylko jeden sposób. - rzekł Dobro. - - To mów. - -Mój brat miał wizję i ona została potwierdzona. Nie pytaj, Panie, jak, ale to rzecz pewna. - - No mów, mów. - - Musicie, Panie, znaleźć w Rytss ubogą, młodą matkę, wdowę, która straciła w zarazie męża, ale urodziła po tym pogrobowca. Chłopczyka małego. Tej matce musicie dać, Panie, tę całą fortunę. A chłopak ma przybrać odtąd miano Pietek. Po tym to egzorcyta już wam pomoże pozbyć się skutecznie tej strasliwej klątwy, co ciążyła nad miastem. Gdyby zaś było więcej takich matek, to wtedy ma to dotyczyć najmłodszej z tych niewiast. - - A wy? Wam się też należy nagroda?! - Byret był trochę oszołomiony. - - Kto wy? - - No ty, człowieku, i twoi bracia. - - Rozdajcie naszą nagrodę wszystkim młodym wdowom, po równej wadze. - - A czy ludzie przestaną umierać? - Byret szukał jeszcze potwierdzenia, lecz jakby się teraz uspokoił. Jego twarz już nie była tak nabrzmiała czerwienią.- - I ludzie, i zwierzęta, i ptaki. Zapanuje spokój. Lecz długie jeszcze lata miasto będzie pamiętało tę straszną pandemię i długie lata będziecie leczyć rany. Bowiem co się stało, to się już stało. Wasze miasto zapisane jest już z tej przyczyny w kronice Akaszy. - Dobro niby się zamyślił.-Wam zaś i waszym rajcom radziłbym też odbyć jakąś osobistą i indywidualną pokutę, szczerą pokutę, bo to w dużej



mierze z waszej winy cała ta tragedia. Jeśli tego nie zrobicie i tak los od was, od was rajców, upomni się po rekompensatę. Miejcie tego świadomość. - - No dobrze. Więc poradź nam, co my, rajcy, mamy jeszcze uczynić? - - W tym przypadku wystarczy już tylko modlitwa i zwykła jałmużna ubogim. To najzupełniej wystarczy.

Piwo zdało się dziś być jeszcze smaczniejsze. W Delfinie było gwarno i ciężki był zaduch. To zapach przepoconych ciał. Bracia siedzieli przy koślawym, drewnianym stoliku w samym roku szynku. Sączyli tak swój napitek. W drugim roku sali Jendyger cicho brzdękał na swej wysłużonej gitarze. Nucił przy tym jakieś piosnki. Pomimo starań tego zaniedbanego rybałty, mało kto zwracał nań uwagę. - Jutro z rana wyruszamy, bracia. - rzekł Dobro. - Nic już nas tu nie trzyma. - - Tak? Ja już trochę przywiązałem się do tego miejsca – powiedział na to Piękno. - - Bo ty masz strasznie sentymentalną duszę – wtrącił Prawda. - - Zaprawdę urokliwy mają ten rynecek. - Piękno dopił swój kufel piwa. - - W co drugim mieście uświadczysz taki. To na Prawie Brandenburskim budowano tu te miasteczka. One wszystkie są do siebie podobne- Prawda był konkretny. - - No tak, no tak, pewnie masz rację – przyznał Piękno. - My mało świata widzieliśmy. Poza naszym rodzinnym wzgórzem mało widzieliśmy dotąd. - - Tu się z tobą w całości zgodzę – przyznał Prawda. - - Czas to więc, bracia, nadrobić. Cały świat jest dla nas – Dobro mówiąc to, uśmiechnął się od ucha do ucha. - - Jeszcze będziemy mieć szczerze dość tej naszej wolności – zaprorokował Prawda. - - Cóż chcesz, bracie, dlatego nas wysłał ojciec w szerokie strony, byśmy nabrali życiowej wprawy. - powiedział Dobro. - - Nie wydaje mi się, bracie, by tym kierował się nasz ojciec. - odpowiedział Prawda. - - Bracia, jakiegokolwiek by nie były motywy naszego ojca, mi się to zaczyna podobać. - Piękno chciał chyba pogodzić braci. - - Poczekaj, Piękno, jak nam się tylko skończą talary. Wtedy inaczej zaśpiewasz – rzekł Prawda. - - Ty zawsze wyszukujesz cienie w każdej sprawie. - - Bo prawda czasami bywa bolesna – rzekł średni wiekiem z braci. - A propos, jak my stoimy z pieniędzmi? - spytał Prawda. - - Dość dobrze, sakiewka jeszcze pełna – odpowiedziała mu niemal opryskliwie Dobro. - - Może nie słusznym była ta rezygnacja z nagrody? - - Może, może, Prawdo, lecz no cóż, sprawa już jest zamknięta. Trudno teraz, byśmy się od rajców domagali swej nagrody. – Bracia, popatrzcie na to z innej strony. - rzekł Piękno.- Oto mocno pomogliśmy miastu w tej trudnej sprawie. Jakby nie my, wielu by jeszcze cierpiało. Ba! Wielu by tu jeszcze pomarło. To nasza zasługa. Bracia, czyż to nie jest wspaniałe? A gdybyśmy pojechali z naszego domu inną drogą? Nikt by im tu nie pomógł. - - To przeznaczenie – uciał szybko Prawda. - - Gdzie tam przeznaczenie – rzucił hardo Dobro. -To przypadek. Najzwyklejszy przypadek. - -Bracia, nie pijmy już dzisiaj piwa – rzekł Piękno. - Już tak wypiliśmy dwa łokcie Honzy. Jak jeszcze wypijemy, to wy się tu pozabijacie – Piękno parsknął przy tym śmiechem. - - Ha, ha, ha – wszyscy bracia zaczęli się śmiać zgodnie, wtórując sobie i robiąc przy tym głupie miny. - Jak Prawda się kłóci z Dobrem, to nic z tego nie może wynikać słusznego. - Jak na komendę Prawda chwycił Dobro za rękę, niby to godząc się z nim. Uściskali się, rechocząc przy tym

szczerze do siebie. - - Jakby nie Piękno, to Dobro z Prawdą byłoby wiecznie z konflikcie. Ty nasz najmłodszy beniaminku czuwasz nad nami. - rzekł, śmiejąc się jeszcze, Dobro. Chwycili mocno swe kufle i pili piwo. W szynku był niejaki tłok i gwar, lecz pobrzękiwania gitary Jendygera dochodziły do ich stolika. A słyhać było też żaloszny śpiew rybałty. W pewnej chwili jakby ten śpiew wzmógł się, a potem zgaśł . I po chwili usłyszeli za plecami wyraźny głos grajka.: - Podobno, szlachetni, wyjeżdżacie z naszego miasta? - - A to ty. - Prawda odwrócił się doń. - No i jak? Jak leci? - - Dziękuję. Lecz ja mam do was sprawę. - - Jaką? - I Dobro odwrócił się teraz w stronę Jendygera. - Radę mam dla was. - powiedział i sięgnął ręką po kufel piwa na stole. - Mogę? - spytał się już spijając piankę piwa . - Masz radę? No, dobra rada cenniejsza nad złoto. To mów. - powiedział Dobro.

-Nie jedźcie traktem na północ. Dobrze wam radzę. Tam grasują zbóje i nikomu nie odpuszczą. Jedźcie drogą na wschód. Wprawdzie wiedzie ona w dużej mierze przez ciemny las i bagna, ale tam nie uswiadczysz żadnego złoczyńcy. Kto tam zbójuje, niech już trumnę szykuje. Jak mówią tutejsi. - - Ciekawe rzeczy mówisz. - powiedział Piękno. - Tylko dlaczego nas ostrzegasz? Dlaczego? - - No za srebrnego talara. Czyż wasze życie i zdrowie nie są więcej warte? - grajek uśmiechnął się sztucznie. - - Dobrze, damy ci talara - Dobro sięgnął do sakiewki i wyjął monetę. - Ale nim go dostaniesz, powiedz nam jeszcze, gdzie ta droga na wschód kieruje, do jakiego miasta lub sioła? - Ona wiedzie do zamku hrabiego Wuru. To stara szlachecka rodzina. Lecz gościnni to ludzie. Dzień drogi wam to zajmie. I jeszcze jedno, nie zbaczajcie z głównego traktu, bo w lesie tym pełno bagien i zdradliwych dołów. Lecz na głównym szlaku nic wam nie będzie zagrażało. - Jendyger już dopijał swoje piwo. Postawił pusty kufel i na odchodne rzekł: - posłuchacie mej pieśni? -Odsunął się bardziej na środek. Zaczął grać na gitarze.

*Kędy góry zasłaniają ci twój horyzont  
A nie wiesz dobrze, gdzie położysz na noc głowę?  
Czy śnić będziesz przy blasku gwiazd i Księżycy?  
A może ciepła pierzyna ogrzeje twoje kości?  
Pamiętaj jedno, na mnie możesz zawsze liczyć  
Gdy wróg będzie chciał bagnetem rozciąć twoje członki  
Wezwij mnie tylko  
Ja przybędę . Ja ci pomogę. Ja, czyli żalosz tego świata...*

...

Nim wyjechali z Rytssy, dali porządnie podkuć swoje wierzchowce. Z rana to było, lecz już koło południa zostawili za sobą rogatki miasteczka. Szczególnie to Piękno czuł jakiś sentyment do tej miejsciny i nawet wylał łezkę lub dwie nim na dobre zostawili za sobą zapach Rytssy. Może to z tej przyczyny, że to właśnie jego wizja, a precyzyjnie sen dały rozwiązanie tej zagadki zarazy, co szalała tam wśród ludzi i zwierząt, a może to dlatego, iż Piękno jest straszliwie sentymentalne i przywiązuje się nawet do kamienia, gdy z nim poprzestaje jakiś czas. Piękno jest manifestacją doskonałości, a zbyt wielki sentymentalizm wszak jest jej niejaki wykoślawieniem. No cóż to, i doskonałość musi też mieć jakąś usterkę lub feler, wszak bez niej nie byłaby w pełni doskonała.

Zgodnie ze wskazówką Jendygera, na rozstajach dróg, zaraz za miastem, nie pojechali drogą na północ, lecz wybrali trak wiodący na wschód. Dość szybko też wjechali w ciemny las. Po obu stronach drogi wielkie drzewa rosły. To nie były dęby lub buki, lecz raczej to były majestatyczne platany, ale zdało się, że jakieś zapuszczone i zdziczałe. Chłodniej się też od razu wydało. Prawda czuły na to założył wełniany sweter. Chłodniejsze też było powietrze. Lecz nie świeże było, tylko z nutą zbutwiałego torfu. To tu wszak, po obu stronach drogi, bagniste trawy były i doły niebezpieczne. Jechali już dobrą godzinę przez ten ciemny las. Milczeli, nikt nie chciał pierwszy rzec. I nawet ich cudne wierzchowce, tu między wielkimi drzewami, zdały się jakieś takie mniejsze i mało szlachetne, można rzec: pospolite. Jak im to Jendyger prawił, zdało się, że do zamku hrabiego Wuru pozostało jeszcze szmat drogi. I oto nagle Piękno wstrzymał konia. - Słyszycie? - rzekł do braci. - - Co? - spytał Dobro. - - No ktoś woła. Jakby wołał o ratunek. - - A gdzie tam – Dobro też zatrzymał wierzchowca. – No, nie słyszycie? Tam, z tamtej strony – Piękno wskazał na gęstwinę lasu. - - Zaraz, zaraz, i ja też coś słyszę, lecz bardzo słabo – Prawda potwierdził słowa Piękna. - - O czym wy mówicie? Może to są zwykłe odgłosy lasu? - upierał się przy swoim najstarszy. - - O! Ja widzę drózkę tam między drzewami, ruszajmy tam, kilka minut zwłoki wszak nam nie zaszkodzi. - - rzekł do braci Piękno. - - Jestem za – przyłączył się doń Prawda. Przeto i Dobro musiał uznać rację braci. - Tylko ostrożnie i powoli – rzekł im jako ich lider.

Prowadził Piękno. Ostrożnie wjechali końmi w zieliste zarośla. Paprocie omiatały kłęby końskie. A oni tak pomału, pomału wtapiali się gęstwinę leśną. Nie ujechali nawet połowy wiorsty, gdy to jakiś hałas jał się dobywać jeszcze głębiej. I to tak, że nawet Dobro mógł już to dosłyszeć. Potem już wyraźnie słyszeli, iż ktoś słabym głosem krzyczy : Pomocy! Pomocy! Ratunku!

Lecz w miarę jak wgłębiali się w gęstwinę leśną, coraz więcej było tam bagiennych grzęzawisk. Jeden nieopaczny ruch i można było się wkopać koniem po pas po szyję. Dlatego jechali też coraz wolniej, uważając by nie zrobić błędu.

W końcu jednak ich oczom ukazał się niezwykajny widok. Oto przed nimi było wielkie torfowe grzęzawisko, a pośrodku jakiś człowiek, uwięziony po szyję w bagnie, miotał się i krzyczał ile mu starczało siły. I on ich też ujrział. Dlatego tym

głośniej starał się wykrzykiwać : -Ludzie, pomocy! Pomocy! Ratujcie mnie! Nie dajcie zginąć!- Bracia jak jeden zsiadli ze swych koni. Dobro rozejrzał się wokół, jakby czegoś szukał. Potem to rzucił w stronę Prawdy – ty masz jakiś ostry i silny nożyk? -- Mam – To daj mi go. Widzisz tę osikę po lewej? - - No – usłyszał od Prawdy. - - Trzeba naciąć gałęzi. W ten sposób może, chyba to jest jedyny sposób – dodał – będziemy, chyba, mogli pomóc temu biedakowi. - - A może paskiem? - rzucił Piękno. - - Zobaczymy. Daj bracie ten kozik. - Dobro wziął od Prawdy nożyk, podszedł do zarośli i zaczął nacinać nim odrosty osiki. Nie szło mu to początkowo sprawnie, lecz już po chwili udało mu się odciąć kilka dość grubych gałęzi. - Ubezpieczajcie mnie – Dobro chwycił te gałęzie i ruszył w kierunku uwięzionego w bagnie mężczyzny. Już po chwili darń pod jego nogami zaczęła się niebezpiecznie uginać. Kroczył niby na cyrkowej batucie. Tak do końca nie mógł być pewnym, czy sam nie wpadnie w tą bagnistą topiel. Dwaj pozostali bracia stworzyli ze skórzanych pasków niby zabezpieczenie. Tym samym Dobro uchwycił jeden koniec, tak utworzonej linki, lewą ręką, prawą starał się podrzucić mężczyźnie zbawcze gałęzie. Topornie to początkowo szło. Lecz Dobro uczynił jeszcze większy wysiłek i podszedł niemal na cztery łokcie do mężczyzny. I wreszcie. Wreszcie. Jakimś cudem mężczyzna rozpaczliwie, lecz jednak skutecznie, chwycił się, tak podanych, gałęzi. Dobro, widząc to, zaczął ciągnąć mężczyznę ku granicy topieli. Cały czas czuł jak darń pod nim faluje. Lecz jednak nie zapada się ona i utrzymuje go. Dobro nawet pomyślał, iż gdyby był ciut grubszy, z pewnością zapadłby się. A wtedy to i on potrzebowałby ratunku. Pomału, pomału, zdało się, że niemal minimalnie, ale jednak mężczyzna, trzymając się gałęzi, zaczął przybliżać się do granicy bagiennego dołu. Prawda i Piękno asekurowali Dobro. I oto po zgoła kilkunastu minutach tej walki, mężczyzna w końcu chwycił już za wyciągniętą rękę Dobra. Jeszcze mały wysiłek, i mężczyzna, cały przemoczony stanął na swych nogach. Słaniając się, w końcu wyszedł już na pewny grunt, tam gdzie stali bracia. - O matko moja! - mężczyzna ciężko westchnął. Lecz dużą ulgę czuć było w jego głosie. - Panowie, uratowaliście mi życie. - - Co Pan tu robił? Przecież miejscowi wiedzą, że tu wkoło bagna są, że tu niebezpiecznie. - Dobro odrzucił osikowe gałęzie prosto w to bagno, które jeszcze niedawno więziło teraz już uratowanego. - Na grzyby się udałem z rana. Wydawało mi się, że znam tu każdy zakamarek, i wiem, jak się pilnować. - - A jednak wpadł Pan w to bagno. - stwierdził Piękno. - - No tak. Może to mój wiek. Jestem bardzo stary. Bardzo stary. Coś mi się widocznie pomyliło, albo te bagna się przemieszczają - - A nie wygląda Pan – powiedział Prawda. - - Panowie, komuż to zawdzięczam ratunek?- mężczyzna zaczął czyścić się, doprowadzać swoje szaty do względnego porządku.- My jesteśmy Dobro, Prawda i Piękno – rzekł najstarszy z braci. - - Więc dziękuję wam, z całego serca dziękuję. Wiecie – mężczyzna spojrzał tajemniczo wysoko w górę, w błękitne niebo, bo stali na niezastłoniętej drzewami polance. Uśmiechnął się sam do siebie. -Chcę się wam jakoś odwdziaczyć. Bo, choć może nie wyglądam, ja dużo mogę, naprawdę dużo mogę. Weźcie to – mężczyzna wyjął zza pazuchy, mokrej jeszcze, jakąś dziwną monetę albo krążek. - Schowajcie to dobrze i nigdy nie

wyjmujcie, do czasu, gdy los sprawi, że będziecie w beznadziejnej sytuacji. Wtedy wyjmiecie i ja się zjawię. Pamiętajcie, jeśli wyjmiecie na światło dzienne tę monetę, ja się zjawię, uczynicie więc to tylko w ostateczności. Pomogę wam i spłacę swój dług. - -A jak ciebie zwa, człowieku? - Dobro wziął monetę. Nie była ona ani ze słota, ani ze srebra, lecz dziwnym blaskiem biła do oczu. - - Nazywają mnie często Geometrą.

W tym lesie, przez który jechali, nie było chyba żadnej zwierzyny. Przynajmniej takie mogli odnieść wrażenie. Było cicho, i tylko zapach zbutwiałego torfu unosił się gęsto w powietrzu. A może to przez te pułapki bagienne? Może przez zjadliwe opary? Nawet łosie unikały tych okolic.

A wydawałoby się, że powinien tu być raj zwłaszcza dla łosi. One przecież lubią bagna i mokradła.

Po dalszych kilku godzinach zdało się, iż las się trochę przeredził. Więcej słońca trafiało na drogę, zrobiło się wyraźnie cieplej, i Prawda zdjął w końcu wełniany sweter. Potem też ten uporczywy zapach torfu przepadł gdzieś zupełnie bez śladu.

Milczeli, może cały czas myśleli o nieznanym Geometrze. Dobro zupełnie nie rozumiał, jak Piękno i Prawda mogli dosłyszeć wołanie o pomoc tego biedaka?

Wszak sam nie skarżył się na jakieś problemy z uszami. Jeszcze kilka, może kilkanaście minut zwłoki i byłoby po Geometrze. Tylko że wtedy to, gdy uratowali człowiekowi życie, Dobro jakimś wewnętrznym głosem odebrał, z czym nie zdradził się przed braćmi, że to jakieś takie sztuczne było, cała ta sytuacja. Może zaaranżowane? A może to przeznaczenie? Ten Geometra też dziwny był. Tak, właśnie jak ta sobie o tym myślał, to uświadomił sobie, że ten Geometra dziwny był. Gdzie na bagnach grzyby? Gdzie on tam grzybów szukał? Tam, gdzie na każdym kroku czaiło się niebezpieczeństwo.

I oto, nagle, pół wiorsty przed nimi, na końcu drogi szpaler platanów najwyraźniej kończył się, zaczynała się otwarta przestrzeń. Konie niby wyczuły, że to koniec drogi, i jakby nabrały świeżości. Ich tempo też znacznie się zwiększyło. Kasztanka Prawdy wręcz zarżała radośnie i spięła się cała. A i oni odczuli, że dojeżdżają do celu. I zdało się, zaraz też, nie minęły trzy minuty, a przed nimi wyrósł olbrzymi kolos, gmach. To musiał być zamek hrabiego Wuru.

- To podobno stary ród. - rzekł Prawda. - - Nie słyszałem o nich. - odrzekł mu Dobro. Zatrzymali swe wierzchowce. Przypatrywali się z daleka na potęgę budowli - - Wywodzą się prostą linią od Arpada - ciągnął swoje Prawda. - - A skąd ty to wiesz wiesz? - zirytował się Dobro. - - Wszak jestem Prawda. I dużo wiem. - - Bracia, bracia, znów się kłócicie - zareagował Piękno. - On to źle odbierał jak kłócili się dwaj najstarsi. Lecz w przyrodzie to tak jest i zawsze było, że o przywództwo zawsze się toczyły boje. Może to Dobro czuł się zagrożony ze strony Prawdy. Piękno zaś było zbyt idealne a przede wszystkim jeszcze zbyt młode, by w ogóle zaprzętać sobie tym głowę. - Podejźmy do samej bramy. Jeśli nas widzą, to ktoś nas przywita - rzekł Dobro.

Jako to ruszyli prosto do bramy wjazdowej. Rozglądali się przy tym i podziwiali nie tylko sam budynek, lecz całą zabudowę; mały park, który się stamtąd zaczynał. W oddali widzieli fontanny i mały staw, pewnie na ryby na stół hrabiowski. Okazało się, że zamek, wyglądający na opuszczony, tętni życiem. Jakiś prosty chłop, który robił coś przy gazonie, przy fasadzie frontowej zamku, zauważył ich. Zdjął w tej samej chwili swoją czapkę i uklonił się do pasa. - My do hrabiego – powiedział pełnym głosem Dobro. - - Witam panów. Ja jestem ogrodnikiem, ale zawałam odźwiernego. Helnut! Helnut! Goście zawitali. – chłop miał doniosły głos. To chyba więc nie była pierwszozna dla niego. Oni widocznie, służba zamkowa, porozumiewali się w ten sposób między sobą. - Co tam, Jure? - bracia usłyszeli z wewnętrznej części parceli zamku. - - No chodź tu, chodź. - - A idę, idę – Helnut odpowiedział Juremu. Oto ukazała się im sylwetka jakiegoś gigantycznego grubasa, który miał, co było doskonale widać, trudności w poruszaniu się na własnych nogach. Sapał przy tym i pocił się niezmiernie. - - O co chodzi, przybysze? Jestem odźwierny zamkowy Helnut. - - Jesteśmy spragnieni odpoczynku. Niemal cały dzień jesteśmy w drodze. Czy zyskamy łaskawe przyjęcie waszego Pana, hrabiego Wuru? - powiedział Dobro. - - Przybysze, Pan nasz, hrabia Wuru, jest ciężko chory. Żegna się z tym życiem. Lecz kazał nam godnie ugościć każdego przybysza z szerokiego świata. Dlatego sam was osobiście nie powita, w jego imieniu ja was witam i zapraszam. - - Chory? A na co? - spytał dość niespodziewanie Prawda. - - Hm... Panie, nie jestem medykiem, i nie upoważnił mnie do tego mój Pan, hrabia, by opowiadać o jego chorobach, ale jedno wam powiem, hrabia już jest bardzo wiekowym człowiekiem. Reszty się domyślcie. - Mężczyzna chwycił się za swój wydatny brzuch i jakby chciał tym samym dokonać zwrotu w tył. - Proszę za mną. Zaprowadzę Was do gościnnych pokoi, a przede wszystkim do stajni, gdzie będziecie mogli zostawić swe konie.

Gdy zamknęły się drzwi za Helnutem. Bracia w końcu mogli odetchnąć. Ten Helnut to był zaprawdę dziwny mężczyzna. Czy ktoś, kto ledwo kontroluje własne ciało, tak rozdęte do granic możliwości, może jeszcze pełnić jakieś funkcje, może pracować? Widocznie jednak może. A może to po prostu wynika to stąd, iż tak mało ludzi tu dociera. Bracia usiedli razem do stołu, który stał na środku ich pokoju. Oprócz tego stołu i krzeseł były tam jeszcze dwa potężne łoża, oraz stara komoda i wiklinowy fotel bujany.

Na stole była karafka z czystą wodą, do tego dwa kubki. - Bracia, coś mi się tu nie podoba – rzekł Piękno. - - Cóż chcesz? Tak w życiu bywa. Sami nie wiemy, co nas w życiu spotka. I może na tym polega nasza misja? - odrzekł mu Prawda. - - Właśnie, bracie. Po co myśmy się w to w ogóle ładowali? - powiedział Dobro. – No bo to była jedyna droga wolna od zbójów. - stwierdził Piękno. - - Może już lepsze byłoby dla nas zetrzeć się ze zbójami niż tu przyjeżdżać? - Prawda miał ponury wyraz twarzy. - - Nie bój się, już niedługo przekonamy się, po co nas tu los skierował. - Dobro nalał sobie z karafki wody i upił słuszny łyk. - - Mi się wydaje, bracia, że powinniśmy

zrobić wszystko, co się da, by hrabia, mimo swej choroby, zechciał nas przyjąć osobiście – Piękno wyciągnął z kieszeni chustę i przetarł czoło. - - No tak, no tak, to ma sens. Może w ten sposób dowiemy się coś o naturze naszej misji, przynajmniej w tej posiadłości. - przytaknął mu Dobro.

Słowa Piękna były chyba prorocze. Oto bowiem przed południem do drzwi izby braci zapukał ktoś energicznie. Bracia chyba myśleli, że to lokaj z posiłkiem dla nich. Lecz czekało ich rozczarowanie, przynajmniej w tej kwestii. Oto wlał się do izby swym wielkim cielskiem Helnut, i już od progu wręcz krzyknął. - Szlachetni panowie, mój Pan, hrabia Wuru, jak tylko dowiedział się, kto zaszedł w progi jego domu, koniecznie chce was przyjąć. Czy zgadzacie się panowie na to? - Było to raczej pytanie retoryczne. - - A cóż się takiego stało, że hrabia zmienił zdanie? - spytał Dobro. - - Panie, jak tylko dowiedział się, że w jego zamku gości Dobro, Prawda i Piękno, od razu wyraził chęć zobaczenia was, choć, powiem uczciwie, medyk mu to stanowczo odradzał. I ja też mu to raczej odradzałem. - - Dobrze – rzekł Dobro. - Niech tak się stanie. Sami jesteśmy ciekawi poznać hrabiego. To musi być ktoś naprawdę nietuzinkowy. - - O tak, Panie, masz najzupełniej rację. - przyznał Helnut. - To człowiek pełen uroku, i to pomimo tego, że wie dobrze, iż jego dni i godziny są już policzone. Ale w żadnym stopniu nie wpływa to na jego ciepły i przyjazny charakter. Służyć u niego, to nie obowiązek lecz przyjemność. - - To kiedy nas hrabia przyjmie? - spytał rzeczowo Piękno. - - Proponuję, Panowie, dzisiaj przed kolacją, może o szesnastej? Wtedy to bowiem mój Pan, hrabia, ma najwięcej siły. Będziecie więc mogli swobodnie porozmawiać, pomimo jego poważnego stanu. - - Dobrze, niech tak się. Niech lokaj przyjdzie po nas o szesnastej. Czy tak może być? - Dobro nalał sobie znów wody i upił spory łyk. - - Jak najbardziej – przytaknął Helnut. Jak tylko drzwi się za nim zamknęły, bracia spojrzeli na siebie znacząco. Pierwszy odezwał się Dobro. - Widzicie, więc jednak dane nam będzie poznać hrabiego Wuru. To ciekawostka. Bardzo mnie to intryguje, a was? - - Mnie to też ciekawi – przyznał Prawda. - - A mnie to zupełnie nie obchodzi – odezwał się szczerze Piękno. - Człowiek, jak człowiek, tylko że stary, mocno stary. - - No nie, ty nic nie rozumiesz. Ciekawi mnie nie on sam – powiedział Dobro. - lecz to, co on od nas będzie chciał. To jest ciekawe. Przecież wszyscy, w tym jego medyk, i jego służba odradzali mu to. A jednak? Coś za tym musi się kryć - - No tak, masz, bracie, zupełną słuszność. - - Piękno usiadł do stołu.

Jako to do szesnastej było sporo jeszcze czasu. A bracia nie mogli się wręcz doczekać. W międzyczasie zjedli obiad, lecz że był to posiłek pikantny, a nerwy mieli napięte, więc dość szybko poczuli się niedobrze. Jednego to paliła kolka żołądkowa, drugiego ciągnęło na wymioty. I tylko Piękno, jakby nigdy nic, nawet wspominał coś, że chętnie zjadłby jeszcze. Te sensacje żołądkowe Dobra i Prawdy wynikały w dużej mierze z napięcia nerwowego. Już bowiem nie mogli się oni doczekać wyznaczonego czasu. A zegar ścienny szedł wolno, wolno i długo, i nie chciało być prędzej. W końcu to, po, zdawałoby się tak długim czasie oczekiwania, pięć minut przed

wyznaczoną porą usłyszeli ciche stukanie do drzwi izby. Nie był to Helnut, bo ten pukał zawsze energicznie. Do izby weszła młoda dziewczyna ubrana w swoistą liberię, w rodzaj mundurka. Rzekła im od razu – Szlachetni Panowie, hrabia Wuru oczekuje was w swej alkowie. Proszę podążać za mną.-

Poszli więc posłusznie za nią. Zamek był duży i zdało się, iż alkowa hrabiego znajduje się w drugim, przeciwległym jego skrzydle. Szli więc przez komnaty, jedna za drugą i mogli przy tym podziwiać wspaniałe dzieła sztuki, jakie zgromadził właściciel. Najbardziej zachwycony był Piękno. Pierwszy to raz mógł on podziwiać tak wiele wartościowych rzeczy w jednym miejscu. A widać było, że hrabia zgromadził wspaniałe obrazy, antyki oraz wzorzyste kobierce tkane pewnie w samej Persji, było tam też sporo chińskiej porcelany. W końcu to stanęli przed drzwiami alkowy hrabiego. Dziewczyna dała im znak, by poczekali, a sama bez zbędnych ceregieli weszła do środka. Jak weszła, tak i szybko stamtąd wyszła, wręcz wyfrunęła, a miała minę niby najadła się nieświeżych czereśni. - Hrabia prosi Panów, - powiedziała tylko i szybko sobie poszła, kręcąc przy tym głową, jakby się z czymś nie zgadzała. Bracia z duszą na ramieniu weszli powoli do środka. Nie wiedzieli bowiem, czego mogą się spodziewać.

- O jakże mam wielki zaszczyt gościć tak godnych przyjezdnych – usłyszeli z rogu. Tam, skąd dobyło się to powitanie, stało wielkie łoże, niemalże królewskie łoże ze stelażem i baldachimem. I już po chwili mogli dojrzeć, iż leżał tam, w samej koszuli, jakiś stary, bardzo stary mężczyzna. - Witamy czcigodnego włodarza zamku, hrabiego Wuro – odezwał się na to Dobro. - -Witajcie. I jak wam się zdaje moje skromne domostwo? – hrabia silił się na dobry humor, lecz im od razu zdało się, że ma spore trudności, by mówić. - - Dostojne, zachwycające – rzekł Piękno. - - No tak, co mi z tego piękna, skoro ja już liczę godziny – powiedział hrabia. Lecz już nie tak radośnie. Można rzec, że z pewnym wyraźnym bólem. - Panowie, wiecie, że ja już nie przyjmuję osobiście gości. Lecz dla was zrobiłem wyjątek. Możecie spytać, czemu? Już zaspokoję waszą ciekawość. Gdy bowiem usłyszałem, że goszczą u mnie Dobro, Prawda i Piękno, postanowiłem, że z tego skorzystam. - - Nie rozumiemy – przerwał mu wół słowa Dobro. - - Zaraz się wszystko wyjaśni. Jestem bardzo pragmatycznym człowiekiem. I waszą tu obecność także wykorzystam w pełni. Przynajmniej mam taki zamiar. Zawsze kierowałem się pragmatyzmem.- - No tak, obito nam się to o uszy – stwierdził Prawda. - - Kto wam coś o mnie opowiadał? - hrabia się aż cały sprężył. - - Nie nie, nikt... niikt – Prawda zaczął się aż jękać.- Jedziemy z miasta Rytss, to tam słyszeliśmy o pańskiej gościnności. - - Ach tak! - hrabia jakby poczuł się rozczarowany. - Na pewno więc wiecie już, że jestem umierającym. Jakże ja wiele dałbym za to, by cieszyć swoje oczy radością przyrody, choćby jeszcze tylko rok lub dwa lata. Ale ja mam świadomość, że nie doczekam już przyszłej wiosny. No tak bywa. Życia swego jednak nie żałuję. I jakbym mógł, przeżyłbym jej jeszcze raz tak samo. No, może z małymi wyjątkami. Naprawdę małymi – hrabia nieco ściszył swój głos. - Czego to ja nie widziałem, czego to ja nie byłem świadkiem. Starczyło by na kilka życiorysów, nie tylko na jeden, mój osobisty.



Nic to, nie ważne. Usiądźcie, Panowie, przy moim łóżku. Korzystając z tego, że goście w moim zamku, chcę was o coś prosić. O co? To się już za chwilę wyjaśni. Bo jest zaprawdę taka rzecz w moim życiu, czego naprawdę żałuję. I zrobię wszystko, wszystko co w mojej sytuacji jestem jeszcze w stanie, by to naprawić. - Bracia przybliżyli się do łoża hrabiego. Były tam dwa zydelki, na które usiedli dwaj najstarsi. Piękno stał. Oparł się tylko ręką o konstrukcję tego masywnego łoża. - Drodzy moi, jestem człowiekiem majątnym, bardzo majątnym. Ten zamek i jego zawartość, a nawet ziemie i lasy wokół, to jest tylko mały ułamek całego mego majątku. I niestety wiedzą o tym moi krewni. Ściśle mówiąc dzieci mojej świętej pamięci siostry, Genowery. Oto ja w młodości sporo zainwestowałem w nasze zagraniczne kolonie. Dzięki temu do mnie należy kilka kopalni diamentów i złota w Afryce, liczne plantacje trzciny cukrowej, tytoniu, yerba-mate, kawy i herbaty w obu Amerykach. Mam jeszcze szereg innych dóbr, gdybym miał je wszystkie wymienić...? No jest tego sporo. Słuchajcie mnie, całe swe żyłem samotnie, nie miałem potomka. Przynajmniej tak myślałem. Nie, nie jestem w żaden sposób odchylony. Miałem liczne kontakty z kobietami. Lecz były to zazwyczaj młode aktoreczki albo szansonistki. Zamieniałem je jak rękawiczki. W trwały związek jednak nie doszło nigdy. Pogodziłem się więc z tą myślą, że mój ród się skończy na mnie. Lecz oto, dwa lata temu, dostałem dziwny list. List, który odmienił wszystko. Powiem wam dlaczego. Lecz nim to. Słuchajcie. Jakies trzydzieści lat temu nawiązałem romans z pewną ładną, lecz biedną szansonistką. Nie byłem już wtedy młody, ba, byłem już w średnim wieku. Odpowiadało mi to, bo ona nawet się nie domyślała, jak bogaty to ja jestem. Miała na imię Ewera. Romans opierał się głównie na fascynacji erotycznej. Nie wchodziły w grę żadne wyższe uczucia. Gdy po pół roku znajomości oznajmiła mi jednak, że kłopoty mogą być, bo ona chyba jest brzemienna, wściekłem się. Bowiem wiedziałem, że ja żadnych dzieci nie mogę mieć, medycy mi to kiedyś oznajmili, i ja między innymi dlatego nie szukałem nigdy kandydatki na żonę. Uznałem więc, że mi przyprawiła rogi, i to pomimo przecież tak luźnego związku między nami. Ale mimo wszystko uznałem to za zdradę, i wyrzuciłem ją z domu prosto na bruk, sam zaś wróciłem ze stolicy, mocno wzburzony, tu na zamek. Minęły lata, ja zupełnie o niej zapomniałem, ona też nie szukała żadnych kontaktów ze mną. Lecz właśnie po zgoła trzydziestu latach dostałem ten znamieny list. Niech Pan – hrabia zwrócił się do Piękno- poda te dwa sztychy, które leżą tam na stole – i wskazał mu ręką. Piękno podszedł do stołu i wziął do ręki oba rysunki. - Widzicie panowie te dwa sztychy? Niech pan poda braciom. - - No tak. - odezwał się Dobro. - Sztychy, jak sztychy. - - A co one przedstawiają? - spytał hrabia. - Bracia skupili się na obu grafikach. - - No tego samego mężczyznę, w dwóch różnych pozach. - rzekł Dobro. - - Tego samego mężczyznę? - znów tajemniczo spytał hrabia Wuru. - - No przecież. To jest ten sam mężczyzna. Nie mamy żadnych wątpliwości. Czyż nie, bracia? Ta sama twarz, ta sama sylwetka, ta sama linia podbródka - mówił dalej Dobro. --Tylko że prawda jest taka. Ten jaśniejszy sztych dałem sobie zrobić na studiach w Berlinie, to jestem ja, lecz ten

drugi, właśnie ten drugi, dostałem w liście dwa lata temu. To jest sztych przedstawiający syna Ewery. - - Co? Co Pan mówi? - wydało się, że Piękno jest mocno wstrząśnięty. - - Wiem, że to jest syn Ewery, bo sama mi to napisała w tym liście. Napisała też, że jest ciężko chora. Widzicie więc, i chyba rozumiecie, jak i ja zrozumiałem, gdym spojrział pierwszy raz na sztych Gyra, syna Ewery, że musi to być, musi to być także i mój syn – zapadła cisza. Pierwszy odezwał się Dobro.- No dobrze, ale nie rozumiemy, jaka jest tu nasza rola? Co Pan, hrabio, od nas oczekuje? - No właśnie, oczekuję – powiedział wolno hrabia. - To się zaraz, mam nadzieję, wyjaśni. Otóż, jak wam mówiłem, dzieci mojej siostry sterują teraz moim życiem. Właściwie jeszcze trochę i stracę zupełnie kontrolę nad moimi dobrami. Nawet moi prawnicy są przez nich przekabaceni. Nie mogę ufać już nikomu. A ja cały czas myślę o tym, no przynajmniej od tych dwóch lat, odkąd przekonałem się, że mam syna, jak mu pomóc. Więcej, ja chcę mu przekazać cały swój majątek, a także tytuł. Chcę go usynowić. Tylko, czy zdążę? Na szczęście trafiliście tu do mnie, do mojego zamku. Dobro, Prawda i Piękno. Teraz myślę sobie, że to chyba jakieś zrządzenie losu. To ostatnia moja szansa. Tak, wy jesteście ostatnią moją szansą. - - Nadal nie wiemy, jak możemy Panu, hrabio, pomóc? - Dobro stał przy swoim. - - Dam wam pieniądze. Tyle ile będziecie chcieli. Tylko mi pomóżcie. - - Jak? - rzekł Prawda. - - Przekażę wam moją ostatnią wolę, mój testament. Wiem bowiem, iż gdybym go zostawił normalnie w biurze u rejenta, moi siostrzeńcy unieważniliby go skutecznie. Jest pewne, iż przepłaciliby radcę. To więc będzie moje pierwsze zabezpieczenie. Niech ten testament trafi do Dobra. A Dobro przekażę go ewentualnie przed sądem. Prawdę zaś biorę sobie na świadka. Świadka tego, że czynię to o zdrowych zmysłach. - - Hrabia wyciągnął spod poduszki jakiś pergamin. Widocznie był na to wcześniej już przygotowany. Podał to pismo Dobru. -Ale to jeszcze nie wszystko. Proszę was o jeszcze więcej. Udajcie się na północ kraju, do miasta Lijk. Tam żyje mój syn. Jest samotny. Pracuje ciężko jako górnik. Ledwo starcza mu na utrzymanie. Chciałem mu już wcześniej pomóc, lecz bałem się odkryć swoje karty przed moimi siostrzeńcami. Gdyby bowiem oni się zorientowali, to życie mego syna byłoby mocno zagrożone. Nawet sobie bowiem nie zdajecie sprawy, do czego zdolna jest moja rodzina, a precyzyjnie rodzina mojej siostry. Te moje miliony przesłaniają im oczy. Oślepia ich żądza bogactwa. Z drugiej strony sami są też majątnymi ludźmi. Lecz im człowiek bogatszy, tym bardziej zdaje się chciwy na pieniądze. I po kim to oni mają? Moja siostra wszak była taką dobrą i uczynną kobietą. Ale nic to. Niech Pan, - tu hrabia zwrócił się do stojącego Piękno. - otworzy tę komodę – pokazał mu ręką.- I wyciągnie stamtąd dwa worki. - Piękno uczynił to. Wyciągnął dwa brzęczące worki. Były ciężkie. Jak mogli się przekonać bracia po odgłosach były w nich najpewniej monety. - - To są dwa worki pełne złotych dukatów – potwierdził te przypuszczenia hrabia. - Jeden należy do was za waszą fatygę i pomoc, a drugi ... Właśnie o to was proszę. Przekażcie ten drugi worek memu synowi, Gyro. Udajcie się w długą podróż do Lijk. Ja wiem, że to teraz dla was nie po drodze. Lecz bardzo was o to proszę. Mój syn bowiem będzie potrzebował pieniędzy, by poprawić swą

dolę a także, gdy po mojej śmierci będzie walczył o swój już teraz majątek. Jestem bowiem pewien, że Efy i Jut, moi siostrzeńcy, wytoczą mu długotrwałe procesy. Oni tak łatwo nie zrezygnują. A ja już wtedy nijak mu nie będę mógł pomóc. Dlatego moja trzecia prośba. Pomóżcie mu w tym, by to on stał się prawowitym włodarzem mojego majątku. - - Hm ... - Dobro wziął jeden worek z dukatami. Niby ważył go w dłoniach. Był naprawdę ciężki. - A nie boi się Pan, hrabio, że my przywłaszczymy sobie pieniądze dla Gyro? Przecież to wielka pokusa. Cały worek pełen złota?! - - Ależ skąd, ależ skąd, nie lękam się o to – niemal krzyknął swym słabym głosem hrabia. - Przecież jesteście, to wy jesteście Dobro, Prawda i Piękno.

Słońce mocno grzało im w plecy. Duszno było, gorąco. A woda w bukłakach była już na wyczerpaniu. Najbardziej na spiekotę narzekał Dobro. Może dlatego, że najstarszy. Droga była równa, to był szlak solny. Lecz na razie na drodze nie spotkali nikogo. Choć przecież jechali już kilka godzin. Wierzchowcom, tak jak i im, doskwierał ten nadmierny gorąc. Trzeba będzie się gdzieś zatrzymać. Lecz dotąd nie spotkali jeszcze żadnej oberży na szlaku. Tu wszędzie to było pustkowienie. Choć i las hrabiego Wuru mieli już dawno za sobą, ale żadnego człowieka nadal nie spotkali. Można by wtedy uzupełnić zapas wody. Można by, lecz nie było okazji. Za jednego złotego dukata nie jeden by nie tylko sprzedał porcję życiodajnej wody, ale pewnie też i swoją duszę. Takie czasy, takie to czasy. W końcu to, gdy jasna chmurka przesłoniła na moment słońce, Dobro rzekł: - Bracia, ja już nie wytrzymuję. Musimy się gdzieś zatrzymać. Musimy uzupełnić na gwałt wodę. Bo ja się wykończę, i wykończą się też nasze konie. - - Ej! Daj spokój. Czuję lekki zapach bryzy – odpowiedział mu na to Piękno. - Tu gdzieś zaraz rzeka musi być albo jakieś jezioro. - - Jesteś pewny? Ja wiem, że ty masz intuicję i zmysły wyostrzone w nadmiarze. - powiedział Dobro. - Tak, pewny jestem. Nie zatrzymujmy się tu teraz, lecz jedźmy jeszcze z kwadrans albo pół godziny. Sprawa się szybko wyjaśni. - - No dobrze, Piękno. Wytrzymam jeszcze pół godziny, ale potem już nie ręcę za się. Wypiję wam jak nic całą żelazną rezerwę wody. I co wtedy? Co wtedy będzie z wami? - - Daj spokój, tylko tak mówisz. - rzekł Prawda. - Wszak ty jesteś z nas najbardziej waleczny i wytrzymały. Na pewno damy radę. Ty dasz radę. - - Waleczny i dzielny to ja jestem po obiedzie. - odrzekł mu na to Dobro, uśmiechnął się przy tym. - - Ha, ha, ha – bracia zaśmiali się jeden przez drugiego. Konie chyba też wyczuły wodę. Ich krok stał się jakiś lżejszy i bardziej dynamiczny. Bracia nie musieli wcale poganiać swe wierzchowce, a one wyraźnie przyśpieszyły. Nie minęło to dziesięć minut, kiedy nagle aż po widnokrąg wyrosła przed nimi tafla ogromnego jeziora. Po prawdzie bracia nie wiedzieli, co ich spotka na drodze, bo z nikim tego nie omawiali wprzód, jechali po prostu głównym traktem i przed siebie, ale na widok tego zbiornika z wodą aż odebrało im oddech; zaparło im w piersiach. - - No, bracie, wody teraz będzie aż nadto – powiedział Prawda. - - Tylko czy ona pitna? - Dobro miał jeszcze jakieś wątpliwości. - No jak? Przecież to nie morze, słone morze. Choć ogromne, to jednak jest to jezioro a w nim słodka woda. Wydaje się, iż jest ono pełne ryb i raków. Jak one mogą je pić, tak i my

możemy, nieprawdaż, bracie? – Aha, to dobrze. Zaraz się wykąpiemy po uszy. Taki skwar z nieba, że tylko mi kąpieli trzeba. - zrymowało się - - To co ty chcesz? Pić czy kąpać się? - słyhać było w głosie Prawdy nutę przekomarzania się, ale takiego spolegliwego przekomarzania.

W miarę jak się przybliżali, jezioro rosło w oczach. W końcu stanęli przy brzegu. Jeszcze krok czy dwa i kopyta końskie na dobrze ugrzęzłyby w piachu i wodzie. Stanęli; wiatr wzmógł się; zapach wodnych wodorostów stał się dominującym. Woda zdała się przezroczysta, doskonale widać było piaszczyste dno, a nawet drobne ryby i muszle małży. Wiatr wzmógł się, upał doskwierający im cały dzień, odkąd wyjechali z zamku hrabiego Wuru, wyraźnie zelżał. Bracia zeskoczyli z koni. - No, wydaje się, że to jest zdatna woda – Dobro podszedł pod sam brzeg wody; schylił się; wyciągnął dłonie i nabrał wody w utworzony w ten sposób czerpak. Potem ostrożnie zwilżył język. -Dobra! Naprawdę dobra. - rzucił swoim braciom. - Można ją pić bez obaw. Ma smak wody ze studni. - mówił dalej, przerywając jednak piciem tej wody. - - No to uzupełnijmy bukłaki – powiedział rażno Piękno. I on nabrał wodę w ręce; upił łyk. Odkręcił jeden z bukłaków i zaczął doń czerpać wodę. Słońce było już na dobre zasłonięte ciemnymi chmurami. Zdało się nawet, że się ochłodziło, a na pewno już nie było tak ciepło. - Może się wykąpiemy? - rzucił im Dobro. - A nie, daj spokój. Widzisz, że pogoda się pogorszyła – odpowiedział mu Prawda. - To nie jest dobry moment na to – mówił dalej. - Było widać, że w samej rzeczy Dobro poniechał realizacji swojego pomysłu. Może i jemu wydało się, że jest chłodniej? A może to ten wiatr, który z minuty na minutę jakby się wzmagał? Pojawiły się nawet większe fale w jeziorze. I dochodziły one do kopyt koni, pieniąc się przy tym. Te zaś jak gdyby nic spokojnie piły wodę prosto z jeziora. Piana z fal tańczyła wierzchowcom między kopytami. Bracia w końcu uzupełnili wodę w bukłakach i nasycili wodą swoje pragnienie. I oni mokrzy po kolana wyszli w końcu na suchy brzeg i położyli się na piaszczystej wydmie. - No, dzień podróży dziś już się dla nas skończył. Musimy znaleźć gdzieś schronienie. - rzekł Dobro. - Bracie, możemy dziś spać pod gołym niebem. A jutro skoro świt ruszymy dalej. - odpowiedział mu Piękno. -Tak uważasz? Lepiej zanocujmy w tamtym zagajniku. - Dobro pokazał na kępę drzew, która dochodziła niemal do brzegu jeziora. Oddalona była od nich o kilkaset łokci. - Tam przynajmniej będziemy mogli rozpalić ognisko. - Jakiś daleki odgłos gromu jął się przemieszczać i ślizgać po wzburzonej dość mocno tafli jeziora. - Noc może być bowiem dość zimna – mówił dalej Dobro. - Dobrze prawisz – przyznał Prawda. - mamy wszak ziemniaki w kulbakach. Możemy je upiec w ogniu. Może uda się nam także złowić jakieś ryby? - uśmiechnął się przy tym niepewnie, bowiem nie mieli ze sobą żadnej wędki lub innego sprzętu do łowienia ryb. Ani to oni nie spodziewali się, że trafią w swej podróży na tak wielki akwen wodny. - Z tymi rybami to będzie ciężko – jakby na potwierdzenie tego rzekł Piękno. - No chyba, że gdzieś tu w okolicy są jacyś rybacy. Przecież ktoś pewnie łowi tu ryby. Takie wielkie jezioro, nie uważacie? - - Musi tak być. Lecz może z drugiej strony jeziora jest jakaś osada rybacka? - Prawda dalej miał niepewność w głosie. - Niespodziewanie zaczęło

kropić. Gdzieś tam daleko błyskawice poczęły tańczyć na tafli jeziora. Początkowo sporadycznie, lecz z minuty na minutę było tego coraz więcej. Wyglądało to przecudnie. Niby to błyskawice wywijają hołubce nad taflą wody, huk z tym związany był coraz silniejszy i dojmujący. W końcu bracia wstali pośpiesznie. Konie bowiem wyraźnie się płoszyły. Trochę to trwało, nim zapanowali nad swoimi wierzchowcami. Szczególnie siwek Dobra był poddenerwowany, ale ciepły głos Piękna i jego w końcu uspokoił. Cały czas mogli obserwować ten niesamowity spektakl piorunów nad jeziorem. Grzmoty były naprawdę potężne i dostojne. Gdy tak kontemplowali siły natury, zdało się nagle, że ktoś, jakiś mężczyzna, wprost z tej nieodległej kępy drzew wyszedł prosto w ich kierunku. Prawda zrobił gest, by bracia mogli dojrzeć tego mężczyznę, ale i bez tego i Piękno i Dobro doskonale to dostrzegli. - Kto to? Co to za typek? - trochę z lekiem w głosie odezwał się Piękno. - Zaraz przekonamy się. Wygląda na to, że to chyba jakiś rybak z tych okolic, albo włóczykij, co to przemierza całą krainę – powiedział Dobro. - - Przemierza? Czyż i my nie czynimy podobnie? - spytał retorycznie Prawda. - - Ale my mamy pieniądze, a włóczykij ich z reguły nie ma – zdało się, że znów na włosku wisi konflikt między najstarszymi braćmi. Mężczyzna był coraz bliżej, i z daleka wyglądało, iż miał dość łychy ubiór na sobie, toć to były nędzne łachy. Mężczyzna w końcu stanął pięć łokci przed braćmi i rzekł:

-Panowie, czy nie macie nędznego miedziaka, by poratować ubogiego?

-Ach! - jakby całe napięcie wyszło z braci. - A co ty tu robisz? - spytał się Dobro. - Ja jestem tutejszy; łowię ryby. - - A rybak? - Dobro dopytywał. - I co nie ma brania? - - No właśnie, Panowie, posucha, nie ma brania, już od tygodnia. A dzieci w domu chcą jeść. - - A jak się zwiesz? - Dobro spytał. - - Janer, rybak Janer. Rybak od siedmiu pokoleń. - - A skoroś ty rybak, i parasz się uczciwą pracą, to masz – Dobro wyciągnął z sakiewki srebrnego talara. - - Ależ, Panowie, dzięki wam, dzięki. To tak wiele. - - To nic, to nic. Powiedz nam tylko coś o tym cudnym jeziorze. - tym razem odezwał się Prawda. - A wy, Panowie, nietutejsi? Z dalekich krain? - - O tak, właśnie tak. My z dalekich stron jesteśmy. -powiedział Dobro. - - Panowie, to jezioro się nazywa Erly. To największe jezioro w tym landzie. Dużo ludzi żyje z samych dóbr, które to jezioro dostarcza, ale też przede wszystkim z połowu ryb. No, ale że teraz dziwny czas, że posucha, więc wielu, tak jak i ja, bieduje. Panowie, od jakiegoś czasu cuda tu się dzieją. Te błyskawice to raz, ale trzy dni temu był tu grad wielkości przepiórczych jajek. Mój ojciec mówił mi, jak jeszcze żył, że gdy pioruny będą tańczyć nad Erly, to wojna będzie. A ja sam takiego zjawiska jak to, to jeszcze nie widziałem. - Aha, czyli te pioruny nad jeziorem, to rzadkość? - Dobro był ciekaw. - - Tak, Panie, takiego zem jeszcze nie widział. No jak są burze, to tam raz czy drugi piorun uderzy o jezioro, ale żeby było tak jak jest teraz – rybak zakreślił ręką koło. - To ja nigdy jeszcze nie widziałem. - - Jakby na potwierdzenie tych słuch gromy zaczęły jeszcze bardziej zajadle tańczyć nad taflą Erly. A huk był coraz bardziej donośny. - - Wojna, powiadasz, będzie? - Piękno spytał, ale tak po prawdzie jakby samego siebie. - - O tak, Panie – rybak przytaknął. - - A gdzie ty masz swój dom, swoją rodzinę? - spytał.

- O tam – rybak znów zakreślił ręką koło. - Dwie wiorsty za tym małym zagajnikiem. - - Skąd przyszedłeś, tak? - najmłodszy z braci spojrział w ty kierunku. - - Tak, Panie. - A dałoby się tam przenocować nam i naszym koniom? Zapłacimy ci za to. Bo może całą noc będą szaleć tak te pioruny, a deszcz się jeszcze wzmoże? Trudno nam będzie tu wytrzymać. Nasze konie się płoszą. - rzekł Dobro. - - Ależ to zaszczyt będzie dla mojej rodziny. Gościć was, Panowie, to będzie dla nas zaszczyt, ale jadła żadnego nie mam. Przez tą posuchę w połowach. - - My mamy swój prowiant. Jeszcze ciebie i twoją rodziną poczęstujemy. - powiedział Prawda.

Już z daleka widzieli jaka to lepianka. W niewielkiej odległości stało też tam kilka innych domów, a raczej lichych zabudowań, sąsiedzkich zabudowań. Dom Janera miał jednak tę zaletę, iż obok stała drewniana szopa, rodzaj stajni albo obory, lecz na tyle duża, że zmieszczą się w niej konie braci. W środku tego gospodarstwa był rodzaj placyku, a tam na wielkich stojakach wisiały sieci rybackie. Dużo tego było, i dużo pewnie z tym było roboty. Janer, gdy przekraczali progi domu krzyknął: -matka, gości prowadzę. - Na te słowa pokazała się dość tęgawa kobiecina, przypuszczalnie była przy nadziei. A obok niej, niemal zakręcone w jej fartuch pojawiły się dwa maluchy, dwa brzdące. Nie mieli skończonych nawet pięciu lat. - I poślij Silwie do Hery, dam ci talara, niech kupi jakieś dobre mięso i jajka i chleb. Ci Panowie, których prowadzę, poratowali nas. Już głód nam nie będzie dokuczał. - Kobieta coś tam krzyknęła do środka domostwa, potem wzięła talara z ręki męża i zniknęła, właśnie tam gdzie wprzód wołała. - Moja żona to dobra kobieta. Dzieli ze mną los, a Bóg obdarował nas szóstką dzieci, w tym czworo to moi synowie. - I wydaje się, że spodziewacie się następnego dziecka- powiedział Piękno. - No właśnie, nie da się ukryć – przytaknął Janer. - Ale jak to powiadają, dzieci są naszym najlepszym zabezpieczeniem na starość. - Otóż to, święte słowa. - przytaknął szczerze Dobro. - Weszli głębiej, do izby. Dom podzielony był na przynajmniej trzy takie pomieszczenia razem z kuchnią. Więc, chociaż to była zwykła lepianka kryta strzechą, to w środku sprawiała wrażenie dość solidnej konstrukcji. Znajdowali się w tej kuchni, to tu przy dużym piecu matka sprawiała jadło, a przy dużym wykoślawionym stole rodzina zjadała posiłki. Tu też pewnikiem omawiano wszelkie zwykłe sprawy, które dotyczą tak licznej rodziny. Usiedli przy tym stole. - Nie wiem, jak sprawi się Silwia, może i u Hery nie będzie jadła, ale jest duża szansa, że ma córka wróci wkrótce z jedzeniem, wtedy was, Panowie, godnie ugoszczę. -Mówiliśmy ci, że mamy swoje jedzenie – rzekł Dobro. - Ależ, Panowie, nie róbcie mi dyshonoru. Choć biedny jestem, lecz swoją godność też mam. - No, dobrze, dobrze, gorącej zupy nie odmówimy. Najlepiej rybnej, ale nie masz przecież żadnej?- rzekł Dobro. - Panie, postaram się dla was nawet o zupę rybną. Na podwieczorek będzie gotowa – ożywił się Janer. Jakiś wyrostek pojawił się niespodziewanie w izbie. - Nie przeszkadzaj, widzisz, że tata rozmawia z gośćmi. No już, smaruj do mamy. - Janer jakby zbyt gwałtownie zareagował. - Jak masz na imię, chłopcze? - przerwał mu Piękno. Odpowiedzią była cisza. - To Nuew, mój najstarszy – Janer

przerwał ciszę, - No już, do mamy – jeszcze raz fuknął na syna. - A co wy tak gwałtownie reagujecie na to dziecko? - Piękno był uparty. - Ten chłopak ma takie mądre spojrzenie. Ja znam się na tym. Wyczuwam w nim wielki umysł. - Tak, tak, Panie. I z tym jest właśnie bieda. - przytaknął Janer. - On wiecznie się o wszystko pyta. Jakimś cudem nauczył się czytać, i kradnie mi stare gazety, co to je czasem dostaję od Hery. On nie pasuje zupełnie na rybaka. A kim on to chce być w przyszłości? - Janer spytał raczej samego siebie. - Tak? - zainteresował się Prawda. - No rzeczywiście ma takie mądre oczy – zgodził się z Pięknem. - On tu się, bracia, zmarnuje jak nic. - mówił dalej. I Dobro też zaczął się przypatrywać chłopakowi. Potem rzekł: - chłopcze, kim chciałbyś być? Powiedz mi szczerze. - Ja chciałbym być tym, co wii...e wszystko – chłopak wydusił z siebie. - Niebawem – westchnął Dobro. - Już do matki ty mi pędź, bo zaraz dostaniesz paskiem – zdenerwował się Janer. - Spokojnie, dobry człowieku – na to mu rzekł Dobro. - Chłopcze, a co to znaczy? Czy ty wiesz, jak tacy ludzie, co wiedzą dużo, się nazywają i gdzie pracują? - To są uczeni, oo...ni pracują na uczelniach. - chłopak odparł rezolutnie. - Ten chłopak powinien iść do szkoły, ile on ma lat? - Dobro westchnął przy tym ciężko, tak jakby przejął się. - Szlachetni Panowie, gdzie on do szkoły? Gdzie ja mu tu szkołę znajdę w naszym małym siole rybackim? - Chłopak jest bystry – rzekł Piękno. - Już to, że sam nauczył się czytać, świadczy o tym. Więc ile ma lat? - Ósmy rok mu idzie. - Osiem lat?! - ważył słowa Piękno. - To najlepszy wiek, żeby zacząć lub w jego przypadku kontynuować naukę. Słuchaj no Janer, ty musisz wysłać tego chłopaka do jakiejś szkoły z internatem. - Panie, ja? A za co? My czasem sami głodujemy i odejmujemy sobie, ja z żoną, od ust, byle te dzieciaki miały co zjeść. Lecz to wszystko, co mogę zrobić. - Janer popatrzał na braci bezradnie, i bez kamienia, bez magicznego diamentu, było widać, że nie zadaje kłamu. - Chłopcze, a ty, czy ty chciałbyś się uczyć? - spytał Dobro. - Nooo..o tak, Panie, tak. - A czy pojechałbyś do miasta, daleko od domu, od mamy? Możesz dużo przecierpieć początkowo, nim się nie przyzwyczaisz do nowego miejsca, do nowych kolegów, ale uwierz mi, to jedyna droga by, jak ty to powiedziałaś, wiedzieć wszystko. - Chłopak poczerwieniał na licu. - Od mmmamy? - widać było, że zbiera mu się na płacz. Bracia popatrzeni na siebie znamiennie. Tak jakby każdy z nich pojął, co drugi myśli - Słuchaj no, Janer. Twój syn musi się uczyć. - rzekł Dobro, Wyjął spod pazuchy monetę. - Widzisz tego złotego dukata? - Janera jakby coś uderzyło w sam brzuch. - O jeny! - wydusił tylko z siebie. - Dostaniesz go, lecz musisz nam przyrzec, że wyślesz swego syna, właśnie Nuewa, do miasta, do bursy. - Jak to? Jak to? - Janer się zaperzył. - No właśnie ty. Dobro bowiem zawsze wygrywa. Prawda wychodzi na wierzch, a Piękno jest wyrazem doskonałości – rzekł najstarszy z braci. Oto przez umysł Janera przetoczyła się w tej chwili ogromna burza myśli, większa nawet chyba, a na pewno ważniejsza, niż ta burza, co to była niedawno nad jeziorem. - Szlachetni Panowie, mam przez to rozumieć, że pomożecie mnie i memu synowi najstarszemu? - Janerowi jakby w tej chwili coś się odmieniło, jakby zobaczył nową szansę dla siebie, a przede wszystkim dla swego dziecka. - Kup za tego dukata

chłopcu godny przyodziewek, bieliznę i dobre buty. Kup skórzany tornister. Za jakiś czas, myślę że za miesiąc z okładem, przyślemy kogoś po chłopca. O koszta nie musisz się martwić. Pokryjemy je wszystkie.

Za resztę pieniędzy kup sobie nową łódź i nowe sieci. - Szlachetni Panowie, jak ja wam mam dziękować? - po licu Janera było widać prawdziwe szczęście. - Niech chłopak się rozwinie – powiedział Dobro.

-Widzicie to? Jakiś człowiek tam idzie? - Piękno niemal wykrzyczał to. - Gdzie? Ty wszystko lepiej słyszysz i lepiej widzisz. - rzekł mu na to Dobro. - Ja też tam coś widzę. - potwierdził słowa Piękna Prawda. - Ktoś idzie zupełnie na piechotę. Nie ma konia ni wozu. - mówił Piękno. - No i co? Co z tego? - Dobro był trochę rozeźlony. - Zapytamy się, bracie, gdzie ta droga wiedzie? Wszak wiesz dobrze, że od wczoraj błąkamy się w kółko. Ja już te same drzewa widziałem wczoraj. Myśmy, bracia, po prostu zblądzieli. - Piękno aż cały pokraśniał. - Przesadzasz, jak zwykle – odpowiedział mu najstarszy. - No ale spytać się, masz rację, możemy. W końcu to dla nas zupełnie nowe strony. - A piechur ów, którego zauważył Piękno był już niemal na wyciągnięcie ręki. - Jakiś to mizerny człek – zauważył Prawda. - Ale szaty ma niczego sobie, chyba lepsze od naszych –wtrącił Dobro. - My jednak mamy wierzchowce, przynajmniej swe nogi nie trudzimy. - na to rzekł mu Piękno. - Człowiek, nieznanany wędrowca, jakby wyczuł, że ktoś jedzie mu prostym celem w plecy. Odwrócił się, i jak zobaczył trzy konie, a na nich trzech jeźdźców, zatrzymał się więc i pomachał im rękoma. Trzej synowie Wolności i Sprawiedliwości pomału dojechali doń. Rzeczywiście to był jakiś konus, mały człeczyna. Lecz szaty miał on niemal świąteczne i mocno barwne.

- Witam podróżników na szlaku. - mężczyzna pierwszy się odezwał. - Witamy, witamy – rzekł głośno Dobro. - A gdzie to Pan idzie? - spytał się wędrowcy. - Tako i jak wy, zgaduję, przed siebie, prosto przed siebie. - powiedział mężczyzna. - Bracia musieli więc uznać, że to nadzwyczaj inteligentny człowiek, skoro ich tak, tylko po wyglądzie, rozszyfrował. - Ja jestem medykiem i filozofem – powiedział – idę do Pydry. - To ta droga wiedzie do miasta Pydry? - spytał Dobro. - Między innymi. Słyszałem, że tam mają budować nowy szpital, mam więc odpowiednie referencje ze sobą i będę się starał o posadę w tym nowym szpitalu, ale wprzód udowodnię praktycznie rajcom tego miasta, iż dobrym, bardzo dobrym jestem medykiem. Będę leczył tam ludzi. Leczył prawie że za darmo. A wy, Panowie, kim jesteście?- My jesteście trzej bracia. - powiedział Dobro. - Właściwie to my jedziemy z pewną misją do miasta Lijk. Ale to jest sprawa poufna, więc, wybaczy Pan, nie wyjawię jej istoty. - Ach! Rozumiem, rozumiem, Panowie. Ale z tego, co ja wiem, Lijk jest daleko, daleko stąd na północ. Długa droga przed wami. - Ale tą drogą dojedziemy tam? - spytał nagle najmłodszy z braci. - No teoretycznie tak, lecz wprzód czekać na was będzie kilka mieścin po drodze. - A to dobrze, dobrze, bo już myślałem, że źle idziemy. - mówił dalej Piękno. - Może chcecie się Panowie praktycznie przekonać o moich umiejętnościach? - A to w jaki sposób? - zaciekał się Dobro. - Skoro



jesteście bracia, zbadam za darmo najstarszego, a jeśli się to potwierdzi dwóch was pozostałych zbadam za talara. Widzę, że jesteście majętni, więc stać was będzie na to.

- Bracia popatrzeni na siebie znamiennym wzrokiem. Odezwał się Dobro – Niech i tak będzie. Ja to jestem najstarszy. -Więc niech Pan zejdzie z konia. To nie będzie długo trwało – powiedział medyk. Jako to i stało się. Oto stanął przed nim prawie o głowę od niego wyższy Dobro. - Proszę wystawić język. - Jak to język? - Dobro był zaskoczony. - Język, język. Język dużo mówi o stanie zdrowia. - Tak? Nie wiedziałem – przyznał się Dobro, lecz posłusznie wystawił swój język. - No tak, no tak. - medyk jakby mówił do siebie. - Spójrz, Panie, mi głęboko swymi oczyma w me oczy. - Jak to w oczy? - Dobro był niemal skołowany. - W oczach, Panie, można dojrzeć mnogo bóleści ciała ale także i duszy. - Chwilę to trwało, ale w końcu medyk skończył. - Mam dla Pana dobrą i złą nowinę. Od czego zacząć? - Od złej. Mów mi, co mi dolega. - Otóż Panie jesteś niemal w pełni zdrowy, jedyny twój feler, iż często zółć cię zalewa. Jesteś zbyt impulsywny. Dlatego moja rada. Zawsze, jak coś cię wyprowadzi z równowagi, nie reaguj słownie, lecz zaciśnij w tej chwili mocno pięści, i policz w myślach do czterech. A złość szybko minie. - To cały ty, bez obrazy, bracie – zakrzyknął niemal Piękno. - A dobra, a dobra nowina? - Dobro był niemal rozbawiony tym, co usłyszał od medyka. - Dobra nowina to ta, iż żyć będziesz do później starości. Masz bowiem niezwykle wieki zapas wrodzonych sił witalnych. To są te siły, które nijak nie można uzupełnić czy to jadłem, czy ćwiczeniami oddechowymi. Więc tak oto wygląda darmowa porada, czy wy dwaj pozostali chcecie także poznać stan swego zdrowia?- Ja nie- rzekł Prawda. - A ja tak – rzucił wesoło Piękno. - Wydaje mi się bowiem, że coś mnie słabo pobolewa w dołku. - A czy masz, Panie, regularne wypróżnianie?- No ta, jak najbardziej. Codziennie. - Aha, No to stań tu, Panie przede mną. - Na te słowa Piękno rażno zeskoczył ze swego karego. - Mam pokazać język? - zaśpiewał niemal przed medykiem. I on był co najmniej o głowę wyższy od tego konusa. - No tak, no tak.- Tym razem medyk jakby dłużej wpatrywał się w oczy.- No tak, no tak – powtarzał do siebie. Lecz nareszcie i skończył. - Hm.... Panie. Jesteś młody, lecz zważ na to by nie oziębłać swych nerek. Powinieneś od dziś do trzech tygodni, codziennie brać ciepły termos na tył pleców i leżeć tak przed zaśnięciem. Bowiem, Panie, widzę u ciebie osłabione nerki. Czy kolor twego moczu nie jest teraz ciemny? - Masz praw, medyku, tak jest,jako mówisz. I to mi ma pomóc? - No tak, lecz taki codzienny kompres musisz stosować każdorazowo co najmniej przez godzinę. Pamiętaj o tym. Ty , Panie, bowiem nie masz takich dużych sił witalnych jak twój brat. Ale za to masz taką cechę, że stosunkowo szybko pokonujesz wszelkie bóleści. - Medyk najwyraźniej skończył. Rzekł tylko – należy się jeden talar. - Daj, bracie mu tego talara, bo ceną mi dał poradę. - Na te słowa Piękna, Dobro sięgnął do swego mieszka, co to mu wisiał przy boku, po lewej stronie. Wyjął stamtąd monetę i podał medykowski. - A wiesz Pan , jak daleko jest do tego miasta Pydro? - No wam, konno, zajmie to jeszcze ze trzy godziny, a ja na piechotę dojdę tam pod wieczór. Aha, bo zapomniałbym – medykowski niby się coś przypomniało. - Mam tu ze sobą butelki wspaniałego eliksiru,

sporządzonego według tajemnej receptury Bonifacego, największego medyka co żył to na świecie. Sprzedam wam taką buteleczkę, za pięć grajcarów. - Wyciągnął ze swego tobołka ciemną, zalakowaną flaszeczkę, taką co to podobnież piwem handlują. - Ten eliksir odmładza, przywraca młodość. Choć wyście młodzi jeszcze, lecz jak go wypijecie, dawkę albo dwie, to poczujecie się niemal jak dzieci. Taki to jest mocny specyfik. - Medyk zachwalał eliksir tak, aż mu się oczy świeciły. - Powiadasz jak dzieci? - Dobro westchnął niemal. - To dobrze, dawaj go. Receptura Bonifacego? Brzmi całkiem dobrze. - Dobro już trzymał flaszeczkę w swej dłoni. - Bracia, może wyślemy hrabiemu Wuru ten cudowny specyfik?! He, he, he - zaczęli się śmiać. Jeden przez drugiego.

Już od tygodnia byli tu i nadal coś ich jeszcze tu trzymało. Wprawdzie Dobro rzekł, iż musi iść w końcu do kowala, by ten wyrwał mu bolący ząb, a Prawda miał iść skrócić włosy do balwierza, to jednak nie zrobili tego i żyli raczej w jakimś transie niemożności, wiecznie odkładali to na drugi dzień. I tak minęło im bez mała tydzień. Piękno za to znikał codziennie na wiele godzin. Bracia nie wiedzieli, gdzie on przesiaduje. Pydro to była mała miścina, lecz jakże urokliwa. O pogodzie ducha mieszczan świadczyło choćby to, że prawie każda kamienica była pomalowana w innym kolorze. Dobro nawet powziął przypuszczenia, że może Piękno znalazł kobietę, i to tam znika całymi dniami. Podzielił się swymi domysłami z Prawdą, lecz ten szczerze ubawił się tym, i wyśmiał te nedorzeczne mniemania brata. Miścina była przyjazna, lecz jak powiedział Piękno, jakaś dziwna atmosfera nosiła się tu w powietrzu. Najmłodszy miał najlepszą intuicję. Dlatego też starsi bracia nie mogli tego zlekceważyć. Coś faktycznie tu było nie tak. Jaką to też tajemnicę skrywali przed światem ci, wydawać by się mogło, przyjaźni mieszkańcy? Może to właśnie był główny powód tego, że jeszcze stąd nie odjechali. Chcieli poznać tę tajemnicę. Wydawało się, iż to głównie Dobro chciał poznać tę tajemnicę. A przecież Dobro trzymał kasę i był ich liderem, więc co jemu się podobało, tak też bracia robili. Nie mogli jednak dowolnie długo pozostać w Pydro. Ich główna misja. Ta, którą dostali od hrabiego Wuru, wymagała, by nie zapuszczać zbytnio korzeni w mijanych miastach. Główny cel to było wszak miasto Lijk. Mieli przecież przekazać testament hrabiego Wuru jego synowi Gyro. To była odpowiedzialna misja. W końcu więc, mając to lub nie mając na uwadze, Dobro poszedł do kowala. Wrócił po półgodzinie z opuchniętym policzkiem. Pluł krwawą śliną. I nie umiał mówić. Położył się więc. Prawda widząc to, i widząc że dziś już to Dobro nie będzie się nadawał na żadną pogawędkę, poszedł do balwierza. Piękna, co było już regułą, od kilku godzin nie było. Bracia zajmowali pokój u jednej wdowy. Pomieszczenie było dość skromnie umeblowane, ale miało trzy oddzielne łóżka, co bardzo się spodobało braciom. Starszy więc brat leżał obolały na swoim łóżku, średni poszedł skrócić włosy. I właśnie wtedy to z hukiem wpadł do pokoju Piękno. Już niemal od progu zakrzyknął: - Mam, już wiem. Bracia, już wiem – lecz odpowiedziała mu cisza i słabe pojękiwania Dobra. - A nie ma Prawdy? - Piękno się zorientował, że nie ma brata. Od razu też

pojął w jakim to stanie jest Dobro. Rzekł na to: - bracie, wiem, co tu się dzieje. -Hm..mm . Nooo cooo? - odpowiedziała mu półgębkiem Dobro. - Banda terroryzuje mieszkańców miasta. Każdy sklepikarz, i każdy kmieć, wszyscy muszą płacić daninę. - Taak? Jaaak to? - Dobro się jednak zainteresował. - No, mówię ci. To jest pewne. Zaprzyjaźniłem się z miejscową trupą teatralną. Dziś mi wyjawili tę tajemnicę. Tylko musimy to zachować we własnym gronie. Wiesz ja coś czułem. Jak przyjechaliśmy, to zobaczyłem na afiszu, że w mieście działa trupa teatralna. Zacząłem chodzić na ich próby. - Aaa toooo tam chodziłeś. Terrraz rozumiem – wystękał Dobro. - No, właśnie tam. W końcu się z nimi skumałem. Dopuścili mnie do swych sekretów. - Toooo...co ci konkretnie rzeeee..kli? – Dobro mówił z trudnością. Miał mocno spuchnięty prawy policzek. - Słuchaj więc. Oto banda łotrzyków podporządkowała sobie niemal całe miasto. Sami siebie nazywają Zakonem Czarnego Tura, ale ludzie miastowi, jak nikt nie słyszy, mówią na nich sępy. Mer miasta woli udawać, że o niczym nie wie. Nawet rajcowie siedzą im w kieszeni. Każdy kramarczyk, każdy kupiec, szynkarz muszą im płacić po dwa talary miesiąc w miesiąc, a każdy mieszczanin po pięć grajcarów. A jak nie, a jak się kto zbuntuje, to koniec z nim. Spalą, zabiją, zamęczą. Już niejedna kamienica w Pydro spłonęła. Dlatego ludzie milczą, zaciskają pięści, ale płacą bandytom haracz. I wyobraź sobie, nie ma na to rady. Ci, co próbowali się przeciwstawić, już wachają kwiatki od korzeni. Popatrz, skoro nawet władze miasta nie reagują, to co mają zrobić zwykli mieszkańcy. - No może wyp...prowa..dzie się stąd? – rzekł Dobro. - I ,masz rację, wielu tak zrobiło. Ci, co zostali, nie mają się jednak gdzie wyprowadzić. Skoro od wieków są związani z tym miastem, to nie jest im tak łatwo zostawić wszystko, i uciekać byle dalej, byle prędko od tej nieprawości. -A jak liczna jest ta banda?- Nie wiadomo. Nikt nie wie. Nawet nie wiadomo dokładnie, kto jej przewodzi. Wydaje się, że musi to być ktoś miastowy, bowiem oni wiedzą o wszystkim, co tu się dzieje. Stąd bierze się ta wyjątkowa siła i zjadliwość tej bandy, oni bowiem każdy bunt tłumią już w samym zarodku. Ci zaś, co przychodzą po pieniądze, mają twarze przewiązane chustami, tak by nikt ich nie mógł rozpoznać. To chyba także znaczy tyle, że te bandziory muszą być tutejsi. - No więc, i co to dla nas znaczy? - spytał nagle Dobro. - Myślisz, że to my mamy się przeciwstawić bandytom?- Nie wiem , bracie, nie wiem – Piękno nieco przygasł. - Żeby się przeciwstawić takim bezwzględnyom ludziom, to trzeba poznać, bardzo dobrze poznać, ich słaby punkt. - mówił Dobro. - To jest jedyna metoda, ale my mamy za mało czasu, by się w to bawić, mamy przecież swoją misję. Dlatego proponuję zostawić to miasto z tym problemem samym jego mieszkańcom, a my jutro skoro świt ruszymy w dalszą drogę. - A co? A co na to powie Prawda? Może poczekajmy jeszcze z decyzją na niego, jak wróci. Jak znam życie, on coś wykombinuje.

Dobro odwrócił się tyłem do Piękna, jakby chciał tym samym zakomunikować bratu, że skończył z tym tematem. Przykrył się dodatkowo kołdrą tak, iż wystawał mu tylko czubek głowy. A i Piękno zamknął się w sobie. Wziął gazetę, co leżała na stole, i zaczął czytać. Była to miejscowa gazeta. Jej treścią były głównie drobne ogłoszenia,

jakieś lokalne uroczystości, lecz ni słowem było o rzeczywistych problemach miastach, tych problemach związanych z Zakonem Czarnego Tura. Nie minęło jednak wiele minut, kiedy to w końcu Prawda wrócił od balwierza. Odświeżony, ogolony i z wyraźnie mniejszą czupryną. - Bracie, musimy ratować miasto – rzekł mu od razu na powitanie Piękno. - A co się stało?- Prawda zupełnie nie kojarzył- Banda, szajka terroryzuje mieszkańców, żądają haraczy. Dowiedziałem się z pewnego źródła - Ach! I to jest ta tajemnica miasta - No właśnie. Dobro chce, byśmy zostawili miasto swemu losowi i jutro skoro świt ruszyli w dalszą drogę. - Tak, tak, tak właaa...śnie chcę – Dobro odezwał się spod kołdry. - A co tu można zrobić? - spytał bezradny Prawda. - Musi być jakiś sposób, by pomóc miastu. - Piękno był nieustępliwy. - Ten idealista by się najchhhh.ętniej poświęcił, byleby pomóc ludziom – Dobro mówiąc to, odrzucił kołdrę i wstał z łóżka.

Jako to ani Dobro ani Prawda nie widzieli ratunku i pozytywnego rozwiązania sprawy, lecz jest jeszcze Piękno, ono zawsze pośpiesza z pomocą ukrzywdzonym. Boć przecież Piękno jest wyrazem doskonałości.

Z rana nad miastem przetoczyła się potężna burza, zdało się, że to tornado dziś utworzy się nad tym miejscem bezprawia, i wysie swą trąbą do nieba dokładnie każdy dom, każdego obywatela miasta razem z jego łóżkiem. Pogrzmiało, pogrzmiało; pompa spadła i zalała kanały i rynsztoki. Lecz potem było już tylko lepiej. Świeże powietrze, oczyszczone przez nawałę, osiadło na trawie, drzewach i kominach. Ludzie oto mogli napawać się tym powietrzem, oczyszczając przy tym swoje zbolące ciała.

Bracia skoro świt zjedli pożywe śniadanie. Śniadanie z miejscowych rarytasów. Szczególnie dobrym był tutejszy chleb, puszysty niby chmurka. A także rodzaj śmietankowego sera. Dobro już zapomniał skutecznie, co to ból zęba. Zajadał się niby za dwóch. Piękno, jak zwykle, ledwo co dziobał. A Prawda, jak to prawda, był minimalistą i znów się odchudzał i był na diecie.

Wczoraj wieczorem bracia ustalili, że pójdą dziś wszyscy, cała trójka, na próbę owej trupy aktorskiej, której przychylność zyskał Piękno. Mieli oni oto nadzieję, że wyciągną jeszcze więcej informacji, na temat szajki złoczyńców, co to terroryzuje tak skutecznie całe Pydro.

Wychodząc z kamienicy, natknęli się na właścicielkę. Kobieta była cała zapłakana. Nie kryła się z tym. Stała przy głównym wejściu do budynku, opierała się lewą ręką o ścianę, a w drugiej ręce trzymała już mokrą lnianą chustkę. Bracia jednak nie zatrzymali się, spieszyli się, bo próba trupy teatralnej już się zaczęła. Dobro sam był zainteresowany tym, jak aktorzy pracują nad rolą. Chciał to zobaczyć. Zobaczyć na własne oczy. Już to tyle słyszał od Piękna na ten temat. Piękno uważał, że dobrze by się czuł jako aktor. Tylko że aktorstwo to był mało poważany zawód w tych czasach. A pozycja aktorki była niemal równoznaczna z kondycją kokoty.

Szli więc tak pośpiesznie, mijali ludzi, mijali kamienice. Droga nie była długa, ale miejsce prób było w niewielkim oddaleniu od centrum miasteczka. W końcu dotarli

na miejsce. Dobro był wyraźnie zmęczony. Czy to tak obfite śniadanie, czy to brak kondycji, sprawiło, że brakowało mu powietrza, właśnie wtedy, gdy wchodzili do budynku teatru. To był wszak teatr na miarę Pydro. Nieduży, raczej kameralny. Ale regularnie wystawiano w nim sztuki. A często gościli w nim i występowali tam przeróżni przyjezdni rybacy i bazarze. Teatr był przecież miejscem, które uczyło obywateli miłośnicy, jakie problemy życiowe mają inni, ci, co to żyją w innych stronach, w innych czasach. Jest też miejscem, obok tylko jeszcze księgarni, gdzie można poznać, co prawda z dużym poślizgiem, co nowego dzieje się w polityce, w całym kraju. Czy to w rodzinie cesarskiej narodził się nowy potomek? A może Kanclerz zawarł korzystną ugodę handlową z Francją lub Hiszpanią? Gdy wchodzili na salę tego teatru próba już trwała. Aktorzy powtarzali swe kwestie. Byli to wszystko młodzi ludzie. Aktorki, urodziwe niewiasty, emanowały jakimś takim wewnętrznym spełnieniem, urokiem. Były one wszystkie niczym gwiazdy wokół których krążyli tak jak planety aktorzy. Wejście braci spowodowało jednak małe zamieszanie. Jakiś człowiek, może reżyser, pokazał braciom gest by byli cicho i by usiedli na ławach, na których zwykła w czasie spektaklu siedzieć publiczność. Tam było miejsca może na sto, może na sto pięćdziesiąt osób. Tyle mieściło się oto publiczności w czasie spektakli. Bracia więc czym prędzej usadowili się na ławach i obserwowali próbę. Piękno był tu już bywalcem, więc pokazywał braciom na migi, na co mają szczególnie zwracać uwagę. Tak jak w każdym teatrze były tam gwiazdy, chimeryczne gwiazdy, oraz średni wyrobownicy, którzy zwykle grywali ogony. Już po chwili bracia szybko się zorientowali, kto jaką funkcję spełnia w tym zespole. Gwiazdą pierwszej wielkości, jeśli w tak małym teatrze są w ogóle takowe, była jedna szczególnie urodziwa dziewczyna. Bardzo pewnie wypowiadała swe kwestie. A miała znaczną rolę w tej sztuce, grała główną bohaterkę. Ów człowiek, reżyser, był nią wręcz zachwycony. Stale przesyłał jej promienne achy i ochy. Jego mowa ciała była tak sugestywna, iż wyglądało na to, że wyrwałby sobie własne serce z piersi, byleby tylko zapewnić dziewczynę o swoim dla niej uwielbieniu. Jeden zaś chłopak, przystojny efeb, grał przypuszczalnie główną rolę męską, bowiem co chwilę, zgodnie z tekstem, wchodził jej w słowo, i tak przekomarzając się toczyli spór na oczach publiczności. W pewnym to jednak momencie, owa diwa, zrobiła grymas i rzuciła w kierunku reżysera : -Edmundo, robimy na chwilę przerwę. Pozwól, kochany. - Na to reżyser, krzyknął wesołym głosem : - przerwa na kwadrans. Moi drodzy, wznawiamy o jedenastej. - W tej to chwili wszyscy pozostali aktorzy, jakby z uczuciem ulgi, rozeszli się. Każdy poszedł w swoją drogę. Diwa poszła pewnie do swego buduaru, a ten chłopak, właśnie ten amant, który partnerował dziewczynie, krzyknął w kierunku Piękna : O Mój drogi! Dobrze że jesteś. - I podszedł prosto ku braciom, chwycił w gorącym uścisku Piękno i pokłonił się pozostałej dwójce braci. - To są pewnie twoi bracia, jak mniemam?! – powiedział. - Właśnie, oto oni. Mówiłem ci, jak dorodne mam rodzeństwo. - rzekł ze śmiechem Piękno. - Chodźcie, przejdźmy do garderoby. Ja tam mam mały pokoik. W spokoju porozmawiamy. - Ruszyli więc za aktorem. Sam budynek teatru, choć z zewnątrz wydawał się taki ciasny i mały, miał spore

zaplecze. Garderoby aktorskie, choć małe, wydawać by się gwarantowały jednak aktorom pewien rodzaj intymności, tak cennej po zagranej sztuce lub w czasie antraktu. Weszli do pokoju tego aktora. - Siadajcie, gdziekolwiek. - Powiedział. - Zgaduję, że brat już wam powiedziała o tej szajce bandziorów, co to terroryzują miasto. I nasz szef, Edmundo, także musi co miesiąc odpalić szajce dwa talary. Czy wy wiecie, jak to dużo dla nas aktorów? - Zdajemy sobie sprawę – przytaknął Dobro. - I co? Nic z tym nie da się zrobić? - mówił dalej. - Wielu już próbowało. Lecz teraz są już tylko historią. - A czy ty, osobiście, znałeś choć jedną osobę, która by zaprotestowała? - spytał nagle Prawda. - Tak, osobiście znałem. To był sklepikarz, który handlował mięsem. Często u niego kupowaliśmy mięso, cała nasza trupa. Jak możecie się domyślić, nie pożył długo. - A co on konkretnie zrobił? To znaczy jak się przeciwstawił? - Prawda był szczerze ciekaw. - No on, postanowił, że nie będzie płacił. Wiem to, co mi koledzy aktorzy rzekli. - Czyli to był bierny opór, nieprawdaż? - mówił Prawda. - No tak, tak. - A czy był ktoś, kto podjął bezpośrednią, czynną walkę z bandziorami? - Ja nie znam nikogo. Popytam kolegów, może oni coś wiedzą. - A co wy wiecie o tej szajce? - Dobro poprawił sobie włosy, uśmiechnął się przy tym, tak serdecznie i przyjaźnie niczym mały chłopczyk. - Niewiele o nich wiadomo- powiedział aktor. - Jedno jest pewne zastraszyli skutecznie wszystkich, w tym i samego mera. - Nie może być, więc mer wie o wszystkim? - Dobro był poruszony. - Tak, tak. Na tym polega cała tragedia tej sytuacji. Władze doskonale wiedzą o wszystkim, lecz są bierne i nic nie robią. - Czyżby mer bał się o swoje życie? - ta uwaga Prawdy wprawiła wyraźnie w zakłopotanie aktora. Wziął więc papierosa w usta i zapalił go od zapałki. - Daleki jestem od tego, by twierdzić, iż mer ma w tym udziały – powiedział aktor, wypuszczając kłąb dymu. - Ale musi być jakiś istotny powód tego, że mer nie reaguje. A może on się boi, on, choć już niemłody, wszak niedawno poślubił młodą żonkę, a dziecko w drodze? Może on się boi o ich życie? Sam nie wiem. Jednak, gdy Mure został merem, był bardzo energicznym i prężnym człowiekiem. Takim, co to wszystko zrealizuje, o czym tylko pomyśli, co tylko zaplanuje. Ludzie przez pierwsze jego lata na tym urzędzie czuli się w Pydro bezpiecznie. Wiem to, bo choć młody jestem, lecz pochodzę z tego miasta, rodzice mi to powiedzieli. - To może trzeba by uderzyć najpierw do mera, przekonać go, że musi działać? - Do rozmowy włączył się, dotąd milczący, Piękno. - Tylko jak to zrobić? - Dobro wydawał się być bezradnym. - Coś trzeba nam wymyślić – mówił Piękno. - Prześpijmy się z tym dzisiaj, a jutro się zobaczy. - Jakiś rozgardiasz się zrobił na zewnątrz. Aktor na to rzekł: - muszę już iść. Pewnie przerwa się skończyła. Jolenta jest tak kapryśna, raz chce przerwy, drugim razem jej końca, jest tak kapryśna, że podpaść jej to jakby z diabłem się skłócić. Przyjdźcie tu jutro, ja jeszcze popytam kolegów aktorów, to coś wam dodatkowo jutro rzeknę.

Gdy wychodzili z budynku teatru mieli doskonałe nastroje. Może poza jedynym Piękno. Było tuż przed dwunastą w południe - Chodźcie za mną, coś wam pokażę. -

rzekł im, przy czym wskazał ręką jakiś mało określony kierunek. - Ale po co? - Dobro był wyraźnie na nie. - Chodźcie, chodźcie, to całkiem niedaleko – Piękno był uparty. Więc starsi bracia, chcąc, nie chcąc, poszli za nim. Mijali kolorowe kamienice, ale wyraźnie oddalali się od rynku. W końcu to sprawa się sama wyjaśniła. Oto zobaczyli po chwili, może kilkadziesiąt łokci przed sobą, dość makabryczny widok. Rozwalona, spalona kamienica. Zawalony, spalony dach, pokruszone, osmalone ściany. Obraz prosto z pożogi. - I to chciałeś nam pokazać? - spytał Prawda. - Tak, bracie, właśnie to. Jeszcze dwa miesiące temu, tętniło tu życie. To była kamienica i warsztat pewnego szewca... - Szewca, który nie chciał płacić, czyż nie? - odpowiedział mu Dobro. - Miał trójkę dzieci, zginęły w płomieniach – Piękno miał ponurą minę. Zdało się, iż był wzburzony. - A on, a co się z nim stało? - spytał Prawda. - Przeżył, lecz nikt go od tamtej pory w mieście nie widział. Nie było go też na pogrzebie swych bliskich.

Zostawili za sobą te zgliszczącej dawnej pracowni szewca. Z ciężkim sercem ruszyli do siebie. Kamienica, w której wynajmowali pokój, należała do Kyry, wdowy jeszcze nie starej, lecz młodość już miała dawno za sobą. Wynajęła im pokój po dość niskiej cenie pięciu grajcarów za każdą dobę. Pięć grajcarów jak na trzy osoby to nie było wiele. Ale oni nie mieli też wielkich wymagań. Już samo to, że w pokoju stały trzy łóżka, to było dla nich dosyć. Zważywszy, iż czasami musieli w innych miastach spać po dwóch w jednym. Pydro, choć było zupełnie małym miastem, miało pewne ambicje. Wszak to tu był teatr, to tu już prawie wybudowano szpital dla okolicznych ludzi, nie tylko z samego miasta, lecz także z najbliższych wiosek. To tu także był wielki park publiczny, do którego chętnie chodzili starzy, głównie stare niewiasty, a także młode matki ze swymi pociechami. Ale miasto z tą swoją mętną rzeczywistością, z tą swoją tajemnicą, niby to odpychało innych ludzi spoza tego rejonu. Rzadko więc tak było, iż ludzie pokroju Kyry mogli zarobić na wynajmowaniu przyjezdnym pokoi.

Gdy wchodzili do swego pokoju, usłyszeli jakiś hałas na dole. Ktoś z impetem trzasnął drzwiami, a potem jeszcze było słychać jakieś męskim tonem wypowiedane przekleństwo. Po chwili zapanowała cisza. Dobro rzekł: - To chyba było u Kyry. Idź, Piękno, i zobacz co się stało? - Kto? Ja? - No ty, a kto? Może ja? - Dobra, dobra, już idę – Piękno wyszedł z pokoju. Nie było go może z kwadrans albo dłużej. Dobro wziął się tymczasem za czytanie gazety. Prawda zaś położył się na swoim łóżku, zdjął tylko buty. Było tak cicho, iż hałasem się zdało brzęczenie muchy, co to chciała się wydostać przez okno z pokoju, lecz okno było zamknięte. W końcu najmłodszy przyszedł. - No tak, bracia, w tym mieście nie da się normalnie żyć – powiedział. - A co tam się konkretnie stało? - zaciekał się Dobro. - Znowu te bandziory. Jak wszedłem do pokoju Kyry, to ta była zalana płaczem i się cała trzęsła. Powiedziałem jej wtedy, że my wiemy o szajce. Wtedy to z nią się coś się stało, i wypowiedziała mi się z wszystkiego. - I co ci rzekła? - spytał Prawda. - Ta szajka żąda od Kyry, dodatkowych opłat. Ma zapłacić dodatkowo dziesięć grajcarów, bo bandziory

dowiedziały się, że wynajmuje nam pokój. Jest załamana. Nie wie skąd wziąć te pieniądze, bo kupiła już farby i tapety na odnowienie pokoi. Nie ma pieniędzy, po prostu nie ma. Te przekleństwa, to była wiązanka od jednego z bandziorów. - No i co jej rzekłeś na pociechę? - Wkurzysz się, Dobro. Rzekłem jej, że damy jej te dziesięć grajcarów. - Na te słowa Dobro się tylko uśmiechnął. - No i masz rację, bracie. Damy jej. Lecz coś musimy tu wykombinować. Konkretnie ty, Piękno, a właściwie twoja intuicja musi się wziąć ostro do roboty – mówił Dobro. - Ja wierzę, że coś wymyślisz. - Masz rację bracie. Ja sam czuję, że u mnie zanosi się na jakiś przełom. Zawsze tak mam, nim intuicja mnie nie oświeci. Na krótko przed tym. - No dobrze możemy zostać tu w Pydro jeszcze kilka dni. - Dobro zdjął z przemęczonych stóp obuwie. Od jakiegoś czasu miał bóle w stopach. -W tym czasie musi dojść do przełomu. Staraj się więc. Lecz na mój rozum, to to miasto jest już skończone. - A może Gwardia Narodowa? - odezwał się z łóżka Prawda. - Co Gwardia Narodowa, jak tu jest zmowa milczenia? - ostro zareagował Dobro. - No jak co? Oni mogą wybić tych bandziorów co do nogi. Za takie coś, za taki horror, rozumiecie, jest tylko jednak kara. - Prawda aż się zaciętrzewił. - Wiesz, gorszą karą niż śmierć, byłoby, gdyby każdemu bandziorowi wypalić żelaznym prętem na czole stygmat potępienia. Może uciąć palce, albo prawą rękę? Takie coś, to gorsze od śmierci. - Mówisz, bracie – Prawda poprawił koc na swym legowisku. - Tak, masz rację – rzekł Piękno. - oszpecić kogoś w widocznym miejscu, to największa męka.- No właśnie, o tym mówię. Wtedy by naprawdę odczuli prawdziwą karę za swe czyny, Mówię o tych bandziorach. - Dobro wziął swoje buty i postawił je w rogu pokoju. Wracając, otworzył okno. Mucha, chyba pijana ze szczęścia, mogła w końcu wyfrunąć z tego dusznego pokoiku.

Już to czas pobytu w Pydro przedłużył im się snadnie. Ponad dwa dalsze tygodnie gościli u Kyry. Cały to czas ufni, że znajdą w końcu jakieś rozwiązanie korzystne dla wszystkich obywateli miasta, oczywiście z wyłączeniem tylko tych, którzy byli po stronie szajki. Dobro cały czas nosił się z tym, by osobiście udać się do mera miasta. Tylko na razie nie miał jeszcze z czym. Intuicja Piękna była w tej sytuacji bezradna. Żadnego dobrego pomysłu. Żadnego. Z dnia na dzień więc przedłużali swój pobyt w mieście, ale przecież gdzieś musiał być kres tego wszystkiego. Mieli przecież swoją główną misję, której nie mogli zostawić samopas. W końcu to pewnego dnia, konkretnie w drugi piątek przed wielkim odpustem w Pydro, jarmarkiem Eweregeta, Dobro zdecydował, iż jak nie znajdą rozwiązania do jutra, to następnego dnia on wyciągnie monetę, którą dostali od Geometry, a która to miała im pomóc w jednej, dowolnej, lecz trudnej, naprawę trudnej sytuacji. I, w samej rzeczy, zanosilo się na to, iż faktycznie są właśnie teraz bracia, trzej synowie Wolności i Sprawiedliwości, w takim położeniu.

Jedyną pociechą dla tak zmęczonych już miastem braci było to, iż Kyra, niby to z wdzięczności, iż dali oni jej te dodatkowe dziesięć grajcarów, przygotowywała im rarytasy na obiady i kolacje. A to miejscowe cynadry w sosie serowym, lokalny



przysmak, a to flaki z kwaśną śmietaną, a to knedliczki z nadzieniem makowym. Trzeba przyznać kobiecina się bardzo starała. I miała też do tego spory talent. Niejeden mistrz kucharski mógłby u niej terminować. Choć była wdową, lecz dzieci nie miała. Cały swój wolny czas spędzała w domu lub w kościele. Przy kościele istniał lokalny chór mieszany, do którego to i ona należała. Gdy więc nie było jej w domu, to była najpewniej w kościele. Gdy nie było jej w kościele, to najpewniej była w domu, w swej dużej kuchni i przygotowywała coś pysznego dla swoich gości. Dobro to już dobrze poznał ten kunszt kucharski Kyry, bowiem zdało się, że jeszcze trochę i nie będzie się on już mieścił w swych starych portkach. Właściwie wśród trójki braci, to Dobro był tym, który najbardziej cenił kunszt kucharski. Prawda bowiem był na wiecznej diecie, a Piękno dziobał tylko pobieżnie to, co mu podawano, bez względu na to, co to akurat było, czy to akurat nie był cudowny i pyszny miejscowy rarytas, czy to był zwykły obskurny pasztet lub kaszanka. Najchętniej on to dałby swoją porcję najstarszemu. Dobro zawsze się zastanawiał, skąd to Piękno czerpał swe niewyczerpane siły witalne, skoro prawie że nic nie jadł? Może to były jakieś siły metafizyczne albo ezoteryczne? Może nie z jadła tylko z powietrza najmłodszy czerpał swe siły i w konsekwencji był tak witalny, bystry i żywotny? Piątek zanosił się na kolejny upalny dzień. Rano, jak zwykle, Piękno zniknął. Poszedł na próbę trupy teatralnej. Nie będzie go aż do południa. Dwaj najstarsi bracia byli skazani więc tylko na swoje towarzystwo. Prawda przeglądał najnowszą lokalną gazetkę. *Nowiny w Pydro* to były raptem cztery strony, pisane gotycką czcionką. I były to przede wszystkim drobne ogłoszenia oraz bieżące sprawy. Wszak jednak na pierwszej stronie, w samym centrum, tłustym drukiem pisało : **Arcyksiężę Kygel wizytuje okręg Ner** . Najwidoczniej redaktor *Nowin* uznał to za ważną wiadomość. Mało to chyba jednak obchodziło mieszkańców Pydro. Raz, że arcyksiężę daleko stąd, dwa, że i okręg Ner na drugim końcu kraju.

Dobro siedział przy stole i próbował ułożyć pasjansa. Lecz dziś to mocno opornie szło. Dobro był trochę przesądny i ogólnie lubił, jak mu pasjans z rana wychodził, bo wtedy to zanosilo się zwykle, że dzień będzie udany. A dzisiaj nic. Już trzeci raz próbował, a tu nic. - Słuchaj, Dobro. - odezwał się nagle, dotąd zatopiony w lekturze gazety, Prawda. - No, no, mów – Słuchaj, tu jest anons jakiegoś egzekutora. Co ważne, on się ogłasza, że podejmuje się każdej sprawy. - Jest stąd? - Dobro odłożył karty. - No nie stąd, z Dych, miasto bardziej na Południe od Pydro. Ale ogłasza się w *Nowinach w Pydro*. - Pokaż to – Dobro wstał i podszedł do łóżka Prawdy. Chwycił gazetę – Gdzie? - rzekł. - Na trzeciej stronie. - A! Widzę. Faktycznie. Ogłoszenie licencjonowanego egzekutora Adsa. Podejmuję się każdej sprawy – Dobro czytał nagłos. Ty, Prawda, coś mi świta w mózgu. Czuję, że to jest ważne. - Dla kogo? - spytał Prawda. - Dla nas ważne. Teraz to odezwała się moja intuicja. Na razie nie wiem jak to powiązać, jak to wykorzystać, ale ... - Nie?! - Prawda był szczerze zdumiony, z tego wrażenia aż go poderwało na nogi- Nie, ty chyba nie chcesz tego wykorzystać w tej sprawie szajki bandziorów terroryzującej miasto?- Właśnie oto chodzi, że to wiąże. Właśnie o to chodzi; ale jeszcze nie wiem, jak to w pełni

wykorzystać. Jutro już będę wiedział. Jutro.- Ty, słuchaj, ja sprawdzę moim diamentem, czy ty dobrze kombinujesz.- To mówiąc, Prawda sięgnął głęboko za pazuchę. Tam miał mały lniany woreczek, w którym trzymał diament, który dostał od ojca. Wziął go do ręki, pod światło. - Bracie, diament lśni, nie zmętniał. Więc chyba twoja intuicja jest właściwa. - No widzisz- Dobro się ożywił.- No widzisz. Ja czuję, że już za dwa trzy dni ruszymy z tego miasta. Pierwej jednak udamy się do ratusza na spotkanie z merem Mure.

I tak to się stało, iż Mure zgodził się przyjąć braci dopiero, jak ci zadeklarowali się, iż wyłożą na rzecz skarbcza rajców miasta pięć złotych dukatów. Toć to była przecież duża kwota. Jednakowoż to Dobro stwierdził, iż łatwo pieniądze przyszły, więc niech też łatwo pójdą. Trzeba też to zauważyć, że dotąd ten worek dukatów, co to go dostali od hrabiego Wuru, był niemal nienaruszony, więc w sumie bracia dużo nie stracili.

Ratusz to był piękny budynek, dobrze utrzymany z ozdobną fasadą. Nad wejściem dwaj Atlasi podtrzymali niby firmament całą tę budowlę. Tak by nie zawaliła się ona pod własnym ciężarem.

W środku czekał na nich już sekretarz mera, usłużnie kłaniając się, zaprowadził ich wprost do pokoju Mure. A tam mer Mure siedział za potężnym bukowym biurkiem. Po wstępnym przywitaniu Mure, podali sobie ręce, nieco po licu znużony, rzekł: - I czegoż to oczekujecie, szlachetni przyjezdni, po władzach Pydro? - My tu w konkretnej sprawie – rzekł Dobro, siadając na ozdobnym krześle na wprost Mure. Prawda i Piękno stali za nim. - Więc słucham, o co chodzi? I z góry mówię, że nie mam wiele czasu. Więc proszę się streszczać.- To dziwne. Dziwne i smutne, że ty, ty który sprawujesz tę godną funkcję, tak mało robisz – powiedział Dobro.- Ale o co chodzi? Nie mam czasu na czcze gadanie. Do rzeczy.- Jak do rzeczy, to do rzeczy, merze. Więc mówiąc wprost, dlaczego do tego doprowadziłeś?- Do czego? - Muru zdało się, że zaraz wstanie i wyjdzie. - Do tego, że miastem rządzi szajka bandycka, która pobiera od mieszkańców haracze. Ale ty, słuchaj no ty, może i ty im płacisz? - Dość tego. Co to za bzdury? Żegnam was. Jaka szajka, jaka szajka? To są jakieś chore wymysły. - Muru w samej rzeczy wstał, i już chciał zadzwonić na służbę. Lecz wtedy to Dobro rzekł: Dobro zawsze zwycięża, Prawda wychodzi na jaw, a Piękno jest wyrazem doskonałości. - W tej to samej chwili jakby z Muru uszło powietrze. - Co? Co? Co? - ledwo wystękał. Usiadł ciężko, i nie zadzwonił dzwonkiem na służbę, tylko go z pewną rezygnacją odłożył na blat biurka. Westchnął kilka razy ciężko, otarł chustą zroszone potem czoło.- Jestem bezradny – powiedział powoli. - Jestem bezradny – powtórzył. Na to Dobro wyciągnął z kieszeni złożoną gazetę, *Nowiny w Pydro*, i rozłożył ją starannie. - Czytaj, merze. Czytaj. - podsunął Mure pod sam nos. - No i co, codziennie ją czytam- Mure mówił z wyraźną rezygnacją w głosie. - No dobrze, powiem ci. W tej gazecie jest ogłoszenie pewnego egzekutora, który podejmuje się wszelkich spraw, nawet tych wydawałoby się beznadziejnych. Ustaliliśmy, ja i moi bracia, nie pytaj jak, że ten człowiek ci pomoże, tak iż w konsekwencji miasto pozbędzie się kłopotliwej szajki. - Nie może być?!-

Mure jakby się ożywił.- Gdzie to jest? - wziął jeszcze raz, tym razem z ożywieniem, do ręki gazetę.- Masz praw, pisze tu, że niejaki egzekutor Ads podejmuje się każdej trudnej sprawy, wyraźnie pisze, że mi to też umknęło uwadze- mer podrapał się po nosie.- Macie rację. Tylko czy on podoła? To nie jest łatwa sprawa. - Podoła, podoła. My mamy takie możliwości, by to ustalić – powiedział Dobro. Odwrócił się do swych, stojących z tyłu braci i uśmiechnął się do nich. - No jak, moi drodzy bracia. Nie jest tak przecież źle na tym świecie. Nie jest tak źle, bracia.

Przejeżdżali przez jakąś pustynię. Droga wiodła między popękkanymi skałami i głazami ,był to więc rodzaj jaru lub małego kanionu. Na szczęście Kyra uprzedziła ich o tym,więc mieli dostateczny zapas wody; przed podróżą napoili także konie. Pustynia miała się ciągnąć kilkanaście mil w prostej linii,lecz potem,przynajmniej tak twierdziła Kyra, miała się zacząć strefa zadrzewiona. Lecz jak to na każdej pustyni i tu było gorąco i duszno. Bracia mieli założone słomiane kapelusze,które choć częściowo chroniły ich od blasku słońca. Na grzbietach mieli tylko lekkie lniane koszule. Starali się optymalnie dopasować odziewek do warunków pogody. Dobro, chyba najbardziej z nich czuły na to ciepło, co kilka minut upijał solidny łyk wody ze swego bukłaka. Ale on to już przezornie przygotował dla siebie nie jeden czy dwa, jak to zrobili bracia, lecz cztery pełne bukłaki. Już on to przecież dobrze wiedział, że gorąc go będzie bezlitośnie męczył. Co było jednak dosyć dziwne, jego koń, siwek, chyba najlepiej z wszystkich koni znosił te upały. Jechali więc nieśpieszno, nie forsowali tempa, tak by konie się jak najmniej męczyły. Wokół rozciągały się piaski i piaskowe wydmy oraz głazy i popękane skały. Wydało się,iż to tędy musiała przepływać w przeszłości jakaś rwąca rzeczka. Teraz to po niej został tylko ten jar. I tylko tyle. Gdy już zdało się, że nic się dzisiaj nie wydarzy,Piękno nagle rzekł : - widzicie tam, w oddali, jakaś kolumnada wozów jedzie? - Gdzie? Gdzie? - żywo zareagował Dobro. - No tam,przed nami. - Wszak coś tam jest. – przyznał Dobro. - Chyba jadą oni ku nam. Tak mi się wydaje, lecz pewności nie mam – powiedział Piękno. - Nie, chyba nie. Te wozy jakby się w ogóle nie ruszały, to my się do nich zbliżamy – powiedziała Prawda.- No tak,ty masz rację, tak jest w istocie – przyznał mu Piękno.- Ja nic takiego nie widzę – znowuż bezradnym okazał się właśnie Dobro. - Nic nie widzisz? Nie widzisz, że stoją. To dziwne -odpowiedział mu najmłodszy. - Widzę tylko jakieś wozy.-

Lecz w miarę jak zbliżali się to i Dobro musiał przyznać, że bracia się nie mylili. Oto już po kilkunastu minutach mogli się przekonać, że coś złego musiało się tam stać. Wozy bowiem ułożone były w jakimś bezwładzie, chaosie, a niektóre to nawet były przewrócone. - To chyba są kupcy; lecz co im się stało? - powiedział Dobro. - Zda się, że ktoś na nich napadł. Ja wyraźnie widzę rannych i takich, co leżą bezwładnie. - Widzisz zabitych? - Prawda był mocno wstrząśnięty.- Tak, tak, tam są zabici. - Do tej karawany braciom zostało kilkaset łokci. Już teraz to dobrze było widać, że najprawdopodobniej na kupców napadli zbójnicy. - Zawracajmy! - krzyknął wręcz Prawda. - Nie, bracie, nie,musimy pomóc rannym – odpowiedział mu Piękno. - On

ma rację, musimy im pomóc – odezwał się najstarszy. - A może zbóje są niedaleko, i już nas namierzili? Wszak mamy dwa worki pełne złotych dukatów. - Bracie, o tych workach nikt nie wie oprócz nas, nie lękaj się, nic nam nie grozi – Dobro starał się uspokoić brata, lecz Prawda był mocno przerażony. Pierwszy raz w życiu był w takiej sytuacji zagrożenia.

Już mogli to w końcu dosłyszeć jęki i zawodzenia rannych. Jakiś przerażony człowiek z zakrwawionym ubraniu wybiegł im naprzeciw. - Bandydzi! Banda Czarnego Szakala nas napadła. Złupili nas! Pomocy! - lecz człek ten był w szoku, bo, jak szybko przybiegł, tak też szybko odbiegł od nich, jakby szukał wciąż nowej publikacji dla swojego cierpienia, stale to wykrzykując o bandytach, co złupili karawanę kupiecką. Może zwariował on ?, przynajmniej sprawiał wrażenie niby postradał zmysły. Jakiś inny człek, ubrany w barwne szaty, biadolił nad zabitym koniem. Ten rabunek musiał się dokonać zupełnie niedawno, bo ci z kupców, co przeżyli, byli jeszcze całkowicie rozbici i niepozbitani. Wyglądało na to, że ta sytuacja zupełnie ich przerosła. A przecież wiadomo to jest na całym świecie, że właśnie kupcy, ich karawany oraz ich statki, są najbardziej narażeni na rabunki i gwałty. Zbyt wielu jest bowiem takich, którzy tym samym chcą się łatwo wzbogacić, właśnie kosztem kupców. Często to też karawany kupieckie mają własną ochronę, ale bywa tak, iż nawet taka ochrona nie gwarantuje kupcom pełnego bezpieczeństwa. I w tym przypadku musiało być podobnie. Bracia bowiem szybko zorientowali się, iż wśród zabitych było kilku takich ubranych w uniformy niemal żołnierskie. To musiała być ochrona karawany. Więcej nawet, prawdopodobnie nie ocalał żaden z tej ochrony, jakby bandyci za pierwszy cel postawili sobie właśnie likwidację ochrony karawany. Bandyckie napady są tym groźniejsze, im bardziej przecież dokonuje się je z zaskoczenia. Widocznie w tym przypadku zaskoczenie musiało być zupełne. Gdy tak stali w milczeniu, przypatrując się zniszczeniom, które dokonali zbóje, podszedł do nich jakiś mężczyzna. Mężczyzna ubrany godnie, miał jednak wyraźną ranę na ręce. Rękę miał bowiem obwiniętą białą chustą. - Straciliśmy cały towar – rzekł niby na powitanie. - Czy Pan jest szefem tej karawany? - odparł mu na to Dobro. - Tak, właśnie ja. - Niech Pan mówi, co tu się stało? - Brak mi słów. Straciliśmy cały towar. Sól, wanilię i futra sobolowe. Wszystko nam wydarli. Gdy ktoś stawiał opór, zabijali bez żadnych skrupułów. To banda Czarnego Szakala. - Skąd to wiadomo? - Dobro był dociekliwy. - Sami wykrzykiwali jego imię. To znaczy te bandziory. - Może się pod nich tylko podszywali? Wie, Pan, tak dla zmylenia. - Odezwał się nagle Prawda. - A widzisz, bracie, ty możesz mieć rację. Łatwo jest tym sposobem zwalić na kogoś winę – Dobro przyznał rację bratu. - E! Wątpię. To by się chyba dało odczuć, gdyby oni tak wołali na zmyłkę – człowiek ów miał jednak określony osąd w tej sprawie i się go konsekwentnie trzymał. - A ile wart był wasz towar? - spytał Dobro. - Przynajmniej kilkadziesiąt złotych dukatów. Wiecie, mieliśmy laski wanilii z samej Kartageny, a sól, najlepszej jakości sól, z Wieliczki. Futra sobolowe z Syberii. Na pewno wszystko warte kilkadziesiąt dukatów. Na pewno. I co my teraz zrobimy? - człowiek ów zadał to pytanie jakby do siebie samego.

Odpowiedzi się raczej od nich nie spodziewał. - Co my zrobimy? - powtarzał do siebie mechanicznie. - Dokąd jedziecie? - powiedział w końcu do nich. - Do miasta Ken – rzekł Dobro.- Mam do was prośbę. Jeśli nie macie żadnych maści na zadane rany, to raczej nam tu nie pomożecie. Ale prosiłbym was, byście zgłosili strażnicy Ken o tej na nas napaści. Niech oni przyślą tu, na miejsce, zbrojnych. Będziemy na nich czekać. Stąd do Ken jest może dwie godziny wierzchem. Czy możecie to dla nas zrobić? Ja się nie mogę stąd ruszać.- w głosie człowieka wręcz słychać było nutę błagalną. - Tak, tak, na pewno tak zrobimy.- przytaknął Dobro- Bracia moi, czyż ojciec nasz nie dał nam jakichś maści n a rany?- W samej rzeczy, bracie, dał- Piękno, mówiąc to, sięgnął głęboko w kulbakę przy swoim koniu. I po chwili wyciągnął stamtąd jakiś ciemny słoik.- I mamy też eliksir,który nam sprzedał medyk. Weście i to,Panie.

Wracali z karczmy. Było teraz dość ciemno. Uliczki brukowe były niemal puste. Prawda był dziwnie pobudzony, niemal nie zamykały mu się usta. Bracia jakoś źle znosili tę aktywność Prawdy. Ale bo więcej w tym było pijackiego bełkotu, niżli jakiejś sensownej treści. To fakt, dzisiaj to sobie Prawda nie ograniczał napitku. Jak byli w karczmie, to Prawda najczęściej sobie dolewał wina do kielicha.

Ken było bardzo gościnnym miastem. Na uliczkach to najczęściej było młodych. Młodych wiekiem i młodych duchem. Dało się to wyraźnie odczuć, iż obywatele i mieszczenie Ken byli bardzo otwarci i przyjaźni sobie oraz przyjezdnym. Ni żadne złe słowo nie padło w stronę braci od tubylców, żadna wiązanka przekleństw nie padła w ich kierunku, co przecież zdarzało się im w innych miastach. Szczególnie tam,gdzie niechętnym okiem patrzano na nowych.

Miasto Ken leżało na małym płaskowyżu. Było mocno naświetlone, dużo więc w nim było słońca i blasku. Uliczki też były niby nieco szersze, niż w innych miastach, w których bracia już byli, ale może to też było tylko takie złudzenie, przez to słońce i przez to bogactwo światła, jakie tu zwykle bywało do późnych godzin popołudniowych.

Prawda cały czas, i w kółko i w kółko,mówił o tym dziwnym człeku w karczmie. Miał on na myśli to, że byli oni faktycznie dzisiaj świadkami dziwnego zachowania w karczmie. Oto przyszedł mąż w czarnym habicie, i zamówił wino. Nie byłoby w tym nic dziwnego, lecz gdy w końcu usiadł przy stoliku, szybko się stało wokół niego pusto. Nikt, dosłownie nikt nie dosiadł się do niego, a w promieniu czterech łokci od niego nie było też nikogo odważnego. Mąż ów pił swe wino samotnie. Sącył je powoli, a minę miał, niby go z tortur puścili. Ludzie w karczmie też mieli nietęgę miny. Po ich oczach było widać, że bali się oni chyba tego dziwnego męża w czarnym habicie. Potem zaś, gdy on wyszedł, tylko szmer się wzmógł i gwarno się stało, ale tak jakoś nieobyczajnie. Najwidoczniej tutejsi komentowali między sobą całe to zajście. - Ja wam mówię, będzie jakieś nieszczęście – bełkotał Prawda. - Ja wam mówię. - Skończ już to – powiedział ostro Dobro. - Mało to jest odmieńców w

każdej stronie. A i my się do takowych przecież także zaliczamy. - Doo..brze, dobrze, bracie. Ale widziałeś te oczy? Takie ciemne, wręcz czarne, niby gadzie oczy. - Nie, jakoś się specjalnie nie przypatrywałem. - A ty, bracie, widziałeś? - tu Prawda zwrócił się do najmłodszego. - Ja to jedynie dziewczynom patrzę oczy, tylko i wyłącznie dziewczynom – Piękno sobie wyraźnie dworował. - Ja wam mówię, będzie nieszczęście. Będzie, będzie. - Przymknij już się w końcu – zdenerwował się Dobro bo się ludzie za nami gapią. - Jacy ludzie? Przzzz...cież tu ludzi nie ma. - A są, a są. Tylko ty jesteś tak zajęty tą swoją głodną gadką, że nic nie widzisz. - Dobro był już mocno wzburzony.

W końcu dotarli pod kamienicę, gdzie mieli nocleg. Cały to czas Prawda nie przestawał im prawić, jakie to ich też nieszczęście spotka, lecz w końcu uspokoił się. Bracia mogli trochę odetchnąć. Tylko na jak długo? Znali się na tyle dobrze, każdy każdego, iż wiadomym to było, że Prawda, jak się za dużo napije, to potem szybko w łóżku zasypia. Z tą nadzieją w sercu, bracia weszli zgodnie do swego pokoju. Szybko tak to się stało, iż Prawda zdjął odziewek i położył się do łóżka. Istotnie, zaraz też szybko zasnął. Gdy bracia upewnili się, że już śpi, Dobro rzekł do Piękną: - Powiedz mi, jak twój kamień zareagował, na tego człeka, o którym mówił Prawda? - No wiesz, rzeczywiście obserwowałem swój kamień, ale nie ściemniał on i nie zmienił koloru. - No widzisz, i mój kamień nie zareagował negatywnie – Dobro się ożywił. - wygląda więc na to, iż ten człowiek nie jest zły, i nie zagraża nikomu, a Prawda się go tak lęka. - Tak by się zdało – zgodził się z nim Piękno. - Z jednym się muszę jednak zgodzić z Prawdą, spotkanie tego człeka nie było przypadkiem. Ja tu widzę, jakąś głęboką rozgrywkę tych sił, które rządzą naszym losem. - Myślisz? - Piękno chyba miał podobne zdanie na ten temat. - I ja coś takiego czuje – przyznał. - Lecz jak na razie myślałem, że to moja wybujała intuicja mnie zwodzi. Lecz teraz widzę, że nie tylko ja mam takie odczucia. - Ja myślę, że to my, właśnie my, musimy spowodować, by spotkać się raz jeszcze i porozmawiać z tym dziwnym typem. - Hm... To raczej nie powinno być skrajnie trudnym – przyznał Piękno. - Jak Prawda dojdzie do siebie uzgodnimy w trójkę wszystkie szczegóły. - opinia Dobra była z reguły decydująca.

Nie było trudnym dostanie dokładnego adresu tego dziwnego typu. Piękno także dowiedział się, jakie miano on nosił. Nazywano go Dur. Czarny Dur jak zwykło się go nazywać. A to z tego względu, że zwykł on się nosić na czarno, czy to w zwykłe dni, czy to w święta. Ludzie i bali się go i szydzili zeń bez oporów, gdy tylko zebrała się na tyle duża grupka mieszkańców Ken, by wyzbyć się lęków i strachów. Jak mawiał ojciec braci, mag Wolność, ludzie w grupie zachowują się zupełnie inaczej niż w pojedynkę. Szydzono więc sobie z niego, ale tylko wtedy, gdy już nie czuli strachu. Piękno dowiedział się, że Dur był dziedzicem wielkiej fortuny, największej rodziny kupieckiej, jaka panowała w Ken. Lecz to już były odległe czasy. Ewentualny majątek, jakim jeszcze dysponował Dur, nie mógł być już tak wielki. Ludzie powiadali, iż Dur, syn kupca, sam nigdy nie został kupcem, a poświęcił się

zglębieniu tajemnic tego świata. Lecz ten, co tak rzekł to Piękno, zastrzegając się od razu, by nie powoływał się on na niego. I tu ten atawistyczny strach przed nieznanym odmieńcem dało się od razu wyczuć u miejscowych ludzi.

Tak więc to się stało, że trzech bracia, Dobro, Prawda i Piękno, stanęli przed masywnymi drzwiami sadyby Dura. Domostwo to znajdowało się w dość zapuszczonej części Ken. Oto więc Dobro ujął masywną kołatkę i silnie i mocno zapukał. Cisza. I nic. Żadnej reakcji. Dobro ujął kołatkę jeszcze mocniej i jeszcze silniej zapukał. Zapukał raz, dwa, trzy. Zdało się, że nieskutecznie. I, gdy bracia myśleli już, że chyba nikogo nie ma w środku, usłyszeli – Kto tam? Kto tam się dobija? Otwarte. Proszę wejść. - Na tę niewątpliwą zachętę, Dobro pchnął drzwi. O dziwo tak masywne bardzo lekko ustąpiły i uchyliły się tak, iż bracia mogli wejść do środka. Wnętrze było dość ciemne i ponure. Wszędzie było mnóstwo książek i ksiąg wszelakich. Takich to, co były niby rulony oraz takich, co to miały grube drewniane, powlekane skórą, okładki. Te książki wały się dosłownie wszędzie. Były na stole, były na podłodze, pod oknem, przed ścianami, były też na regałach, chyba specjalnie właśnie na to zrobionych. Lecz mieszkanie Dura nie składało się tylko z jednego pokoju. Jednak w pozostałych izbach było podobnie. Bracia stanęli bezradnie na środku pokoju, i tylko baczili, by nie potrącić jakiejś książki, bo to mogło skończyć się jakąś katastrofą, jedna książka pociągnęłaby za sobą kolejne. Już Dobro chciał chyba zakrzyknąć, że są w środku i że czekają, lecz wtedy to w końcu wszedł Dur. Był jak zwykle ubrany w czarny habit. - Czego Panowie sobie ode mnie życzyacie? Nie zwykłem gości przyjmować w swoim domu. - rzekł do nich. - Wy chyba jesteście nietutejsi. Nigdy was wcześniej nie widziałem. - Zgadza się, nie pochodzimy z tych stron – powiedział Dobro. - Więc o cóż chodzi? - Dur powtórzył. Hm ... No wie Pan, słyszeliśmy wiele o Panu, chcemy się po prostu zaznajomić. - Dobro uśmiechnął się do mężczyzny. - Nie rozumiem. Zaznajomić? Wy się chcecie ze mną zaznajomić? Ze mną? Czyż ludzie miejscowi wam nie powiedzieli, że ja się z nikim nie przyjaźnię, nawet z kobietami. Jestem samotnikiem z wyboru. Nie potrzebni mi są przyjaciele. - mężczyzna przy tym skrzywił się, niby dostał sierpowym w samą szczękę. - Ale po co te nerwy – rzekł, stojący z tyłu, Piękno. - Nikt tu nie mówi o przyjaźni, tylko o znajomości – Piękno ciągnął dalej, lecz przerwał mu Dobro gestem ręki. - Dużo właśnie słyszeliśmy o Panu, stąd ta nasza ciekawość. Ale, niech nam Pan wierzy, nie chcemy Panu uczynić żadnej szkody czy jakiegoś okrutnego żartu. - mówił Dobro. - Aha, rozumiem, chcecie się czegoś dowiedzieć. Lecz uprzedzam was, nie stawiam kabały, choć umiem. Nie leczę, choć też mógłbym. Nie robię tego tylko i wyłącznie dla zasady, bo nie taka jest moja misja życiowa. - mówiąc to, Dur znowuż wykrzywił usta w grymasie bólu. - A właśnie my w tej sprawie. - wtrącił Dobro. - Ludzie powiadają, że Pan, Mistrzu, czegoś szuka. Ale czego? - Czego? Czego? - Dur powtórzył za Dobrem. I było to niby dostał obuchem w głowę. - Czego? - Dur aż chwycił się za głowę. Jakiś spazm płaczu wydarł mu się z piersi. Bracia byli zdumieni. Aż zamarli w ciszy. Dur płakał. I starał się, jak mógł, zapanować nad sobą, lecz to było silniejsze. Usiadł więc ciężko na krzesło, lecz dalej

płakał. - Mistrzu, co się stało? - Dobro był poruszony. - Ach! Przyjezdni. - Dur łkał. - Ja zrozumiałem, że nie wiem, po co żyję. - Teraz to Pan zrozumiałeś? - Nie, ja już to czuję od wielu lat, ale teraz to do mnie tak otwarcie dotarło. Teraz jak się spytaliście, czego ja szukam. O bogowie! - Dur szlochał coraz gwałtowniej. - Spokojnie Mistrzu, spokojnie. Zawsze w każdej sytuacji jest przecież jakieś jedno dobre wyjście. - mówił Dobro. - Nie, przyjezdni, nie ma dla mnie żadnego dobrego wyjścia. Jestem skończony. Jestem skończony. - powtarzał, łkając. - Słuchajcie, powiem wam wszystko, wszystko, po kolei. W młodości postanowiłem sobie, że będę wiedział wszystko. Wszystko zrozumiem, wszystko poznam. Oczywiście, chodzi mi o naukę, o wiedzę i to o tę ezoteryczną także. I postanowiłem, że odkryję także tym sposobem sekret Kamienia Filozoficznego. Z całą młodzieńczą pasją rzuciłem się na książki. Pochłaniałem je tak jak inni pochłaniają bułki na śniadanie. Wszelkie książki. Miałem ten zamiar, że zrozumiem wszystko. Czy wy to rozumiecie, jak byłem pyszny? Czy to rozumiecie? Dzisiaj wiem, że postawiłem przed sobą zadanie zbyt wielkie jak na jednego człowieka. - Więc do czego doszedłeś, Mistrzu? - spytał nagle Prawda. - Do tego, że cała wiedza to nic, to brzdąkające fałszywym tonem cymbały. Teraz wiem, że jadłem owoce zatrutego drzewa. - Dur już nie płakał. Zdołał się opanować. Tylko te oczy, te jego oczy, jakieś takie smutne i puste były, zatracone były. - I co teraz? - powiedział Dobro. - Właśnie, co teraz? - Dur powtórzył za nim. - Kupcem już nie będę, za stary jestem. Nawet bym nie potrafił z zyskiem sprzedać te wszystkie książki, które tu tak leżą bezwładnie i tylko przypominają mi, jak zmarnowałem swe życie. Majątek już jest prawie że roztrwoniony. Wy wiecie, ile kosztują książki? Na to poszedł majątek, który zostawił mi ojciec. Ale ja teraz najpewniej odzyskałbym tylko nędzne ochłapy, gdybym rzeczywiście chciał sprzedać te książki. Mój ojciec zawsze mawiał: „handel to jest, synu, wojna, walka na śmierć i życie, nikt się tu nad nikim nie lituje, jeśli ty nie wyzyskasz klienta, to klient wyzyska ciebie”. Więc w tym rzecz, że ja tak, jak mój ojciec, już nie umiem. W tym się trzeba szkolić od samych podstaw, od małego, gdy się tylko zostanie kupcem, od pierwszego dnia w zawodzie. Mam za mało, by żyć, lecz za dużo, by umrzeć. Tak to wygląda. - Czy masz, Mistrzu, na jedzenie? - spytał Dobro, równocześnie sięgnął do kiesy. I, nie czekając na odpowiedź, położył na stole przed Durem złotego dukata. - Oto masz, to ci pomoże. Czekaj jutro na naszą wizytę.

Nie odzywali się. Milczeli. Tak byli przejęci wizytą u Dura. Najbardziej przeżywał to Piękno. Tak mocno, iż z trudnością oddychał. Jak szybko weszli do swej izby, tak też szybko Dobro wziął się za układanie pasjansa. Wtedy to bowiem mu się najlepiej myślało. Prawda jął sobie przygotowywać posiłek. Najczęściej jadali razem, tym bardziej w szynku lub w karczmie, ale czasami, bywało, każdy sobie samemu i tylko dla siebie szykował specjały kulinarne. Tymi specjałami były z reguły kanapki z serem lub równie wyszukane dania. A Piękno zmoczył frotowy ręcznik w zimnej wodzie i nałożył go sobie na kark. Bracia to dobrze widzieli, iż w takich razach najlepiej nie przeszkadzać Pięknu, on wiedział co mu najlepiej służy. Jeśli teraz



uznał, iż pomoże mu zimny okład, z pewnością tak i było. Już tak było, że Prawda kończył drugą kanapkę, kiedy to z pełnymi ustami odezwał się: - Niesamowity człowiek, nie uważacie? - No- mruknął mu Dobro.- Tak to jest, jak ktoś zatracą się cały w jednym, a potem okazuje się, że to była ślepa uliczka – dodał. - Myślicie, że mu można pomóc? - odezwał się Piękno. - Cały czas myślę o tym, i chyba mam coś. Mam pomysł. Tylko pozwólcie jeszcze chwilę i zaraz wam go wyłożę. - mówił Dobro, a pasjans, jak to pasjans, nie chciał mu wychodzić. - Swoją drogą, czy to nie ironia losu, człowiek, który wie tak wiele, może że wie wszystko, jest taki bezradny wobec prozy życia – powiedział z pełnymi ustami Prawda. - No właśnie, powiadają, że im więcej wiesz, tym jesteś słabszy na ciosy, jakie niesie życie. Stara zasada konspiratorów brzmi wszak: wiesz mniej, żyjesz dłużej. - stwierdził filozoficznie Dobro. - Nie żartuj, bo tu chodzi o zanego człowieka. Mój kamień nie stracił ni blasku ni koloru, jak byliśmy tam u niego. - powiedział Piękno. - I mój kamień takowoż- przyznał mu Dobro.- Dlatego ten człek jest wart tego, by mu pomóc – podkreślił to głośniejszym tonem. - Zgadza się z tobą – stwierdził Prawda. - I ja się z tym w pełni zgadzam – przyznał Piękno. - No, chyba mi trochę ulżyło ten ból głowy, bo widzę, że chyba będziemy mu mogli pomóc. Skoro i ty tak twierdzisz, Dobro. - Wiecie- Dobro się ożywił; zgarnął karty na kupkę; i rzekł -ja mam pomysł. Ja już nad tym myślałem. I coś jednak wymyśliłem. Posłuchajcie ...

Jakiś to był festyn, jakaś zabawa. Wąskimi uliczkami maszerowały parady dziwnie ubranych ludzi, przebierańców. To było ponoć jakieś wielkie święto Bractwa Kurkowego. A głośno było, a tłumnie. Ludzie wyszli całą gromadą ze swych domostw. Atmosfera była przednia, istotnie świąteczna. Na rynku stały odświętne kramy. Sprzedawano lukrowane ciastka, pierniki i karmelowe bombony. Lecz braciom nie to było w głowie. Wprawdzie i im ten nastrój zabawy się nieco udzielił, ale oni przecież byli tu obcy, przyjezdni, więc całkiem obojętne były dla nich lokalne święta. Traktowali to jako ciekawostkę, jako tutejszy folklor. Gdy dochodzili do domu Dura, jeszcze tam w oddali słychać było muzykę marszową.

Dur już na nich czekał. Jakimś cudem wiedział, że już nadchodzą, może miał wyostrzone zmysły. Jak tylko bowiem pojawili się na schodach, on już szeroko otwierał drzwi do swego mieszkania. - Witam, Szlachetni – powiedział im na powitanie. I przepuścił ich od razu do pokoju. A tam, jak mogli to zauważyć, już nie panował taki nieład jak wczoraj. Księgi były nawet poukładane, nie walały się po kątach. A i podłoga była umyta. Stół przetarty. No, słowem, gospodarz się mocno postarał. Może Dur chciał wyrzucić na nich dobre wrażenie, może lepsze niż po wczorajszej wizycie. - Witamy cię, Mistrzu. - rzekł na powitanie Dobro. Dur wskazał im krzesła. Usiedli przy stole.- Wybaczcie, choć dziś w naszym mieście święto, lecz ja nic nie mam. Chociaż mam jednak coś. - powiedział niepewnie.-Może napijecie się najlepszej herbaty na świecie? Nie mam nic innego. Ten dukat, który od was dostałem, oddałem wierzycielom. Przynajmniej na jakiś czas będę miał z nimi spokój. Lecz, w samej rzeczy, herbatę mam najlepszą. To moja jedyna pasja, właśnie

parzenie herbaty, oprócz, oczywiście, czytania książek. To co? Napijecie się? - Tak, jeśli można. - za braci odezwał się Dobro. Dur wyszedł na chwilę. Lecz nie było go bardzo krótko. On chyba już był przygotowany. Na pewno na piecu już stał imbryk na herbatę. Po minucie bowiem to już Dur wrócił. Na tacy miał parujące wrzątkiem kubki. Wokół roznosił się cudny zapach egzotycznej herbaty. - Proszę to dla was. Częstujcie się- powiedział. - Zaraz docenicie ten smak mojej herbaty. Sprowadzam ją z Cejlonu. Kupuję zawsze większą partię. By potem móc się nią cieszyć cały okrągły rok. - Z tego co ja wiem, to taką cenną herbatę należy starannie przechowywać. - odezwał się Piękno. - Najzupełniej racja, Dur potwierdził słowa najmłodszego. - Ja przechowuję swoją herbatę w specjalnych kufrach. Szczelnych i tak zaprojektowanych, by herbata nie utraciła nic ze swego aromatu. - Bracia zaczęli powoli pić herbatę. Dur z dumą obserwował reakcję gości na, przez niego zaparzoną, herbatę. - No i co? Smakuje? - spytał się. - O tak, nigdy nie piłem jeszcze czegoś takiego, a jak wy? - Dobro rzucił w kierunku swych braci. - No, jest oryginalna, bardzo oryginalna – przyznał Prawda. - Tylko że z cukrem byłaby jeszcze lepsza – niby od niechcienia powiedział Piękno. - Tę herbatę winno się pić bez cukru i innych dodatków – odrzekł Dur. - Aha?! – Piękno nie był jednak przekonany. Pili tak i obserwowali Dura. Dziś zupełnie dobrze wyglądał, przynajmniej teraz sprawiał takie wrażenie. Wczoraj to była kupa nieszczęścia. Wydało się im, iż przez noc doszedł do jakiegoś porozumienia ze samym sobą. W końcu Dobro odłożył pusty kubek na stół i napał na gospodarza. - Wiesz, Mistrzu, nikt w życiu nie ma lekko, to prawda. Chodzi jednak o to, by kierować się jakimiś zasadami, i głównym celem życiowym. - Święte słowa – przytaknął mu Piękno. Na to Dur znów, tak jak wczoraj, zasmucił się wyraźnie. Co gorsza nie umiał tego przed nimi ukryć. To swoje zażenowanie próbował rozpaczliwie zakamufłować pijąc herbatę. - Ty straciłeś sens życia, a także majątek, czyż nie tak? Popraw mnie, jeśli się mylę. - Dur tylko przytaknął głową, w geście, który mówił, że to prawda, najszczerza prawda. - Lecz my mamy dla ciebie propozycję – mówił Dobro. - Kupimy od ciebie, po godziwej cenie kilka książek. Po cenie, jaką ty sam wyznaczysz. Niech to będą te książki, których już nie potrzebujesz, których z chęcią się pozbędziesz. Czy masz takie książki? - Tak, tak, na pewno mam – Dur się wyraźnie ożywił. - Wybierajcie. Te wszystkie książki, które tu mam- wskazał ręką na całą izbę - są już tylko dla mnie balastem. Na te słowa Piękno aż wyskoczył z krzesła i niemal podbiegł do książek ułożonych pod oknem. Zaczął z zapalem przeglądać je i wybierać. W pewnym momencie chwycił jedną książkę i zawołał. - „Nowerdus – Księga magii zdrowia”. Czy może być ta książka? - Jeśli ją tylko chcecie? - Dur przytaknął. - A za ile ją kupiłeś? - Dobro wyciągnął skórzaną sakiewkę. - Ja dałem za nią trzy złote dukaty, ale moim zdaniem warte jest tej ceny. - Więc i my ci za nią damy trzy dukaty – Dobro wyciągnął z sakiewki trzy dukaty i położył je przed zdumionym Durem. A do Piękna rzekł: - wybierz jeszcze jedną książkę, lecz dzisiaj już ostatnią. - Piękno chwycił do ręki kolejną książkę - „Wudest – Prawa naturalne” - niemal krzyknął. - Tę za ile nabyłeś? - Dobro mieszał palcami dukaty w mieszku. - Za dwa dukaty - Oto i one. - Na stole w

sumie było teraz pięć złotych, błyszczących dukatów. Dur z całej tej konfuzji, do jakiej doprowadzili go bracia, aż przecierać zaczął chustą oczy. Lecz w końcu pohamował się i rzekł niemal spokojnie. - Te księgi już są wasze. - Mistrzu, wiemy doskonale, że nawet te pięć dukatów, to tylko mała suma. - mówił Dobro. - Będziesz jednak musiał spłacić swoje długi. Lecz my od ciebie kupimy więcej tych ksiąg. Nie dziś, nie jutro, ale wkrótce. Umówmy się, że co miesiąc od ciebie kupimy trzy księgi. A jak? Spytasz. Otóż raz w miesiącu wysyłaj do Berlina na Poczta Główną, na Poste Restante, z nagłówkiem: do trzech synów Wolności, listę trzech ksiąg, z zaznaczoną ceną za nie. Jeśli nam ufasz, możesz od razu pod ten adres wysłać te księgi. Do dwóch tygodni powinieneś od nas otrzymać całą tę kwotę. Odpowiada ci taki rodzaj transakcji? - Na Poste Restante do Berlina? - Dur jakby chciał się upewnić. - Bo my jednak, my synowie Wolności i Sprawiedliwości, nie mamy jeszcze swojego domu. Dlatego to tak. Ale swoje pieniądze na pewno otrzymasz. Zaufaj nam. Jest jeszcze jedna sprawa. Ty szukałeś Kamienia Filozoficznego i nasz ojciec również go szukał, a i szuka nadal. Lecz nasz ojciec nigdy nie miał kryzysu, bo miał jedną rzecz. Chcesz wiedzieć jaką? - Te słowa sprawiły, że oblicze Dura jeszcze bardziej spochmurniało. - No, chcę wiedzieć – zdołał tylko tyle wydukać. - Otóż nasz ojciec miał, i ma, rodzinę. To jest najważniejsza rzecz, która wielu ludzi utrzymuje w dobrej kondycji, niezależnie co czynią lub będą czynić. - Lecz ja już jestem za stary na własne dzieci. - To nic ! Dobro zawsze zwycięża, Prawda wychodzi na jaw, a Piękno jest wyrazem doskonałości! - wręcz zakrzyknął Dobro. - Może na swoje jesteś za stary, tak. Lecz nie to jest najważniejsze. Ty możesz uczyć. Możesz uczyć cudze dzieci. A precyzyjniej, odpowiednio mądre i bystre dzieci innych ludzi. Z naciskiem na mądre i bystre. Oto my mamy dla ciebie propozycję. Jest taki młody chłopak, on chce to, co i ty w jego wieku chciałeś. On chce wiedzieć wszystko. I ty możesz mu pomóc, tak by to właśnie jego nie spotkało to, co zdarzyło się w twoim życiu. - Ciekawe – twarz Dura nabrała blasku. - Możesz dla niego stać się nauczycielem. Chłopak jest bardzo mądry, ale też bardzo biedny. Życie wybrało dla niego dołą rybaka, takiego samego rybaka jak jego ojciec. Ale na szczęście myśmy go w odpowiednim momencie spotkali na swej drodze. No i jak, przyjmiesz go pod swój dach i nauczysz wszystkiego tego, co i sam umiesz? A może to on, nie ty, ani nie nasz ojciec, odkryje wreszcie tajemnicę Kamienia Filozoficznego? - Zapanowała cisza. Dur głęboko się zastanawiał, a bracia zgodnie milczeli. - Nie wiem- w końcu Dur się odezwał. - Przyzwyczajony jestem do samotności. Nie wiem, czy chłopak by to wytrzymał? Trzeba bowiem wielkiej siły, by żyć w zgodzie z mizantropem. - Dasz radę. I on da radę – Dobro sięgnął do kieszeni, wyciągnął zeń kartkę papierusu. - Oto masz tu jego dane. Ty mógłbyś w sumie pomóc nie jednemu chłopcu, lecz całej grupce mądrych i bystrych chłopakom. Lecz to już zostawiamy tobie. Może ta rola nauczyciela tak przypadnie ci do gustu, że zdecydujesz się i na to. Ze swej strony my za naukę tego chłopaka co rok wyłożymy cztery dukaty. To powinno starczyć na jego całoroczne utrzymanie. - Dur ujął kartkę w rękę i zaczął czytać. - Nuew, syn Janera – czytał powoli, wręcz sylabizował. - No, ciekawe, no

ciekawe, bardzo, może się na to zdecyduję? Może? Muszę to rozważyć. Kiedy chcecie poznać moją decyzję? - Będziemy w Ken jeszcze dwa, najwyżej trzy dni. Potem musimy jechać. Mamy bowiem ważną sprawę do załatwienia. - Dobro widział to doskonale, i pozostali bracia widzieli to też, iż Dur jakby się otworzył. On już chyba sam w podświadomości czuł, że ten pomysł z nauczaniem innych mu się spodobał. I nawet wyraz twarzy Dura mówił to tyle, że chyba w końcu uznał on, iż jego życie może nabrać jeszcze głębokiego sensu. Tylko dlaczego ten człowiek sam na to nie wpadł, nie wpadł na ten pomysł? Taki mądry człowiek. Człowiek, który wiedział wszystko. To pozostanie na zawsze zagadką. Tym bardziej zagadką dla trzech synów Wolności i Sprawiedliwości, dla Dobra, Prawdy i Piękna.

To miasto miało architekturę starą, średniowieczną. Wszak pierwsza kronika miejska powstała tu w trzynastym wieku. I ludzie tutejsi niby tacy szlachetniejsi byli, przynajmniej takie starali się sprawiać wrażenie. Nosili się z godnością. Gdy znajomy spotkał znajomego, to nie witali się podaniem rąk, lecz robili to przez gest głową. Wyglądało to wprawdzie cudacznie, ale tylko i wyłącznie dla tych, którzy nie byli stąd, tak jak dla braci, którzy byli tu tylko przejazdem. Od razu też braciom zdało się, jak tylko zawitali do Perby, że w mieście tym bardzo dużą rolę odgrywa proboszcz i przeor. Bo w mieście od wieków już to działał klasztor franciszkanów. Szybko też bracia przekonali się, iż ich intuicja była prawidłowa. Okazało się, że w mieście panuje polowanie na czarownice. Na miejscowym rynečku, o tak charakterystycznej średniowiecznej architekturze, w ostatnich dniach stało pogorzelsko po stosach. Już to cztery kobiety tą drogą pożegnały się z życiem. Ale entuzjazm proboszcza i przeora był na tyle rozbudzony, iż zanosilo się, że polowanie jest dopiero w toku, i jeszcze wiele temu brakuje, by miało ono się już ku końcowi. Kobiety te wszak, to były miejscowe prostytutki, które, jak je oskarżono, zawarły pakt ze złym, doprowadzając tą drogę, rzekomo, do śmierci kilku z nobliwych obywateli miasta, w tym sędziego i starego medyka. Z podkreśleniem starego, a nawet bardzo starego. Zamiast przyjąć, iż śmierci te były tylko i wyłącznie przypadkowym splotem zdarzeń, a także były one zgodne z pewnym naturalnym biegiem czasu, miejscowy proboszcz, prałat Bid, miesiąc temu wygłosił porywające kazanie, w którym wykazał, iż w mieście zagnieździły się wyznawczynie złego, czyli po prostu czarownice. O tym wszystkim bracia bardzo szybko dowiedzieli się zaraz po przyjeździe. Zorientowali się też, iż cała sprawa jest jeszcze w fazie rozwoju. Bid tak się rozpędził w swych atakach, głównie na miejscowe kokoty, iż wydawało się, że wkrótce zabraknie w mieście drewna na stosy. Kolejne to też dwie niewiasty już czekały w tutejszym więzieniu. Już to raczej ich los był przesądzony. Bowiem żaden, nawet trzeźwo myślący człowiek, a takim dla wielu obywateli miasta był na przykład sędzia Ves, nie miał zamiaru mieszać się w poczynania prałata. Tym bardziej że i przeor Hud był cały po stronie Bida. I inni też, też rozsądni, woleli się w tej sytuacji nie wychylać i nie narażać wszechmocnemu prałatowi. Chyba to wszyscy dziękowali opatrności za to, że prałat upatrzył sobie ofiary tylko i wyłącznie w kręgu

miejscowych prostytutek. Wszak dobrego mniemania o nich nikt nie miał. W tych to czasach profesja kokoty, to była najbardziej urągająca godności kobiety kondycja społeczna i patent na życie. Były to najczęściej biedne dziewczyny ze wsi, które albo padły ofiarą gwałtów, nierzadko o charakterze kazirodczym, i zostały wprzód napiętnowane tam, skąd pochodziły, albo to za sprawą swych mężów, trafiały na ulicę. Często, w wyniku tych gwałtów, rodziły niechciane dzieci. W konsekwencji zaś, by przeżyć, dziewczyny te, słabo wykształcone- a można rzec, że zupełnie bez żadnego wykształcenia, tak że nawet czytać nie umiały- musiały zacząć pracować w burdelu i na ulicy pod latarniami. Nobliwe niewiasty ani miały zamiaru bronić te prostytutki, te zakały. Kat miał więc zajęcie. Procesy to, można rzec, była farsa. Podstawiani świadkowie, oraz wymuszone torturami wyznania samych tych kobiet, to było dość na to, by skazać je na męki i śmierć w ogniu. Najgorzej w Perby czuł się Piękno; było mu tu tak ciężko, iż z trudnością łapał oddech. Nie było ku temu jednak żadnej obiektywnej przyczyny, bo pozostali bracia nie mieli takich problemów. Chodziło raczej o przyczyny psychiczne, osobiste, czy duchowe. Piękno dusił się tu, bo jego dusza chciała pewnie, by jak najszybciej porzucili to miasto. Lecz Dobro postanowił, że zostaną. Intuicja Piękna mówiła, że nic tu po nich, lecz Dobro postanowił sobie, że mają tu jakieś zadanie do przepracowania. Więc zostali i czekali na rozwój wypadków. Na razie było wiadomo, że za kilka dni szykuje się kolejny proces. Proces tej biednej dwójki dwóch młodych kobiet. Wyrok wydawał nie sędzia, nie prałat, ani nie przeor. Wyrok wydawali zebrani na rynku mieszkańcy Perby. To był jeszcze prastary zwyczaj Perby, niemalże przywilej- prawo uznawane powszechnie przez suwerena, księcia Firy, a przez niego także przez cesarza- że mieszkańcy miasta, a ściśle dorośli mężczyźni, w swoim walnym zgromadzeniu na rynku miasta decydowali o istotnych sprawach dotyczących miasta. I w ten właśnie sposób tłum uśmiercił już tu cztery młode kobiety, tylko dla tego, iż prałat Bid wymyślił sobie, że są czarownicami i szkodzą miastu. Co wielce dziwiło braci, mieszkańcy miasta zachowywali się, niby dział się tu jakiś odpust albo karnawał. Zupełnie byli wyluzowani. Kobiety szczerze i z życzliwością uśmiechały się do siebie z wzajemnością. Małe dzieci bawiły się na ulicach i placykach. Pogoda też była przyjazna. Wprawdzie lato się już kończyło, ale słoneczne dzionki ogrzewały nadal starych, tak potrzebujących tego, ludzi. A i młodzi, nastolatki, chętnie paradowali w kusych strojach. Oczywiście, dotyczyło to tylko chłopców, bo dziewczynki obowiązkowo musiały mieć stroje odpowiednie do norm obyczajowych tamtych czasów, czyli, inaczej mówiąc, suknie i sukienki fiszbinowe do samych łydek. Młodszy bracia zupełnie nie rozumieli, co takiego planuje Dobro? Dlaczego nie opuszczą oni w końcu tego przekłętą miasta? Przecież tu się nie da nic zrobić. Nic nie uratuje tych biednych, już tak pokrzywdzonych przez los, kobiet, dziewczyn jeszcze, tych co to w lochu czekały na swoją kaźnię. Już nie tylko Piękno się buntował, ale też Prawda wyraźnie sugerował najstarszemu, że powinni się stąd wynieść jak najszybciej. Ale przecież to Dobro rządził kasą. I chodź zostało im z worka złotych dukatów za ledwie jeszcze tylko może kilka, ale mieli jeszcze w

zapasie te talary srebrne, które dostali od ojca. Tych, jak mówił sam Dobro, mieli prawie tyle, ile na początku swej podróży. Dlatego też młodsi bracia musieli się podporządkować najstarszemu. Jeśli oczywiście liczyli na solidne śniadanie i dach nad głową. Ponadto ojciec wyraźnie wyznaczył najstarszego na ich przywódcę, z wszystkimi tego konsekwencjami. W tamtych ciężkich czasach przywództwo liczyło się najbardziej. Pełno było wszak przegranych, łazików, trampów, samotnych strzelców, co to spali pod gołym niebem, a jedzenie wykradali z karmy gospodarskim zwierzętom. Bracia byli jednak zwarci, byli jednością. Może i sobie Prawda i Piękno psioczyli na Dobro po cichu, ale jak co, to zawsze stawali za nim murem. Zawsze mógł na nich liczyć, a i oni na niego. Solidarność braterska, to była chyba najważniejsza zaleta i cecha braci. Piątek się bardzo dłużył. Bracia siedzieli zgodnie w przegrzonym pokoju i tylko liczyli, że może burza da im w końcu trochę ochłody i wytchnienia. Co prawda okno mieli zamknięte, bo mnogo było komarów i much na zewnątrz. Najpewniej gnieździły się one w studzienkach kanałowych i tam się też lęły. Nie było więc na nie skuteczniejszej metody, jak tylko pozamykać wszystko, co się tylko da. Ale przez to pokój, który wynajęli, był mocno przegrzany. Nic to jednak braciom, wszak byli to okazy zdrowia. Jedyne co im tylko brakowało, to Dobru jednego zęba mądrości, Piękno był prawie idealnie zdrowy, prawie, bo miał w tym mieście wszak kłopoty z oddychaniem, a Prawda lubił jedynie jasne i przejrzyste sytuacje, czego mu tu w tej mieścinie brakowało o zgrozo. Jedno było pewnym, woleli oni upały i palące słońce niż mroźne dzionki, kiedy to skutecznym antidotum na nie była jedynie ciepła pierzyna i rozpalona cegła w nogach. Dobro to teraz układał pasjansa. Był to od pewnego czasu jego patent na szczególne sytuacje, a to takie, gdy obmyślał coś w głowie. Wtedy to, w czasie układania pasjansa, najlepiej mu się myślało. Młodsi zaś bracia, w drugim rogu stołu grali zgodnie w kości. Na zapałki. Po prawdzie Prawdę to nudziło i nużyło, ale nie chciał psuć zabawy najmłodszemu, który dziwnie miał chyba inklinację do hazardu, bo aż cały był podniecony i podekscytowany. Gdybyż to chociaż stawką były miedziaki. Ale nie. Tylko zapałki. Prawda złapał się na tym, iż obawia się, naprawdę boi się tego momentu w życiu Piękna, gdy przekroczy on progi prawdziwego kasyna gry. No wtedy mogą być naprawdę kłopoty. Spore kłopoty, i to nie tylko dla najmłodszego. Cała rodzina bowiem może dziwnie odczuć konsekwencje tego upodobania Piękna. Na razie jednak Piękno grał o zapałki. Oby zatrzymał się on w życiu tylko na tym etapie. - Musimy dotrzeć do tych dwóch kobiet. Na gwałt, i to prędzej niż tłum poświęci je na stosie. - powiedział nagle Dobro do braci. - A jak to sobie wyobrażasz? Wszak one są mocno pilnowane. - odrzekł mu półgębkiem Prawda. - Cały czas nad tym myślę. Musimy coś znaleźć. Jakies rozwiązanie. Musi być przecież jakiś sposób. No myślcie coś. Kombinujcie. Dlaczego wszystko musi być na mojej głowie? - powiedział Dobro z pewną goryczą. - Przecież jesteście młodsi. Wam się lepiej myśli. - He, he, he, aleś wymyślił, bracie – zaśmiał się Piękno. - Jesteś przecież ode mnie starszy o cztery lata. To nie jest więc powód, by tak sądzić. - Mówię tak bardziej metaforycznie. - Nawet nie mów metaforycznie, bo ktoś to jeszcze usłyszy. - wtrącił

się Prawda.- No,ale to nie zwalnia was od myślenia. Jak uda nam się uratować te dwie kobiety, to będzie naprawdę coś. To jest chyba najtrudniejsze zadanie, z jakim nam się przyszło zmierzyć. - No tak, tu się z tobą zgodzę – rzekł Prawda.- A zostało nam mało czasu. Dzisiejszy dzień i jutrzejszy. W poniedziałek podsycą już stos. - mówił Dobro. - Jak dziś nie znajdziemy sposobu, to faktycznie lepiej nam będzie do poniedziałku wynieść się z tego miasta, żeby tylko nie być świadkami tragedii. Naocznymi świadkami. - My ci już od kilku dni to samo sugerujemy. - na to odezwał się najmłodszy. - Jeśli o mnie chodzi,to już dzisiaj się mogę pakować. Tu się, bracie nie da nic zrobić. Kobiety są dobrze pilnowane. Zero szans by je uwolnić. A inaczej się tej sprawy nie rozwiążę. Jak ty chcesz przekonać tłum,by odstąpił od swego zamiaru. Odkąd prałat Bid wpłynął na te masy... - No tak, tak,ja się z tobą zgodzę, ale spróbujmy jednak coś zrobić. Dajmy sobie jeszcze czas do niedzieli. Jak się nie uda,to w niedzielę wyjeżdżamy – powiedział Dobro.

W nocy z daleka pobrzmiwała burza. Niby to Zeus szykował ludziom,mieszkańcom miasta, jakąś niespodziankę. Burza jednak nie doszła do samego miasta. I tylko jedynie lekki wietrzyk i słaby deszcz przyniósł orzeźwiająca bryzę. Bracia dość spokojnie spali, może jedynie Piękno miał jakieś problemy, bo nawet śpiącemu trudno mu było oddychać. Przewracał się z boku na bok, łapał z trudnością oddech. To miasto było wyraźnie wrogie dla najmłodszego syna Wolności. Nie było wszak żadnej obiektywnej przyczyny tych problemów z oddychaniem u Piękna. Z rana, bardzo wcześnie, tym razem Dobro szybko gdzieś zniknął. Gdzieś sobie poszedł. Tak szybko, że nawet i Prawda, a tym bardziej Piękno spali jeszcze. To było raczej niezwykle, bo to z reguły Piękno się urywał braciom, chodził, jak mówił, zwiedzać atrakcje akurat tego miejsca, gdzie byli, tego miasta gdzie byli w danym czasie. Najstarszy zostawił im wszak talara, jak przystało na troskliwego brata, i napisał na kartce, że mają iść śniadaniować i obiadować do szynku, a on wróci późno. Może nawet dopiero przed kolacją. Było też widać,iż Dobro spakował przed wyjściem wszystkie swoje rzeczy. Tak też i się stało. Bracia wprzód,po zwykłej porannej toalecie,poszli spokojnie do szynku,który się mieścił na tej samej uliczce, gdzie mieli wynajęty pokój. Zjedli jajecznicę na rydzach, do tego wypili po kuflu piwa. Potem to, w tym samym szynku, na obiad zjedli solidny i pikantny gulasz z miejscowym pieczywem, też, oczywiście, popili go piwem. Nawet, jak przyznał Prawda, całkiem dobrym. Potem zaś, kilka godzin im zbyło na grze w kości. I gdy zdało się, że dzień ten cały nudny i nudą się skończy, nagle, a było to już przed czwartą popołudniu,usłyszeli z korytarza jakiś hałas. Oto to, do pokoju wpadł cały podekscytowany Dobro, krzycząc od progu: -szybko,pakujcie się! Macie piętnaście minut! Zmywamy się z stąd, z tego miasta! No szybko,szybko! Co do was mówię! - Dobro się chyba jeszcze bardziej zdenerwował,widząc tę ślamazarną reakcję braci. - A co się stało? - na to rzekł Prawda. - Nie mędrkuj,nie mędrkuj, tylko pakuj się. Ja już jestem spakowany,rano się spakowałem, a konie czekają na dole. Szybko, bracia, bo za półgodziny może być tu

piekło! - krzyczał cały czas Dobro. Chcąc, nie chcąc więc, Prawda i Piękno spakowali swe tobołki. Już schodząc, na schodach. Dobro jeszcze raz krzyknął. - Wszystko wam wytłumaczę w drodze. Ale dopiero kilka mil za miastem. Jak będziemy już bezpieczni.

Pędzili więc na złamanie karku. Siwek Dobra na przedzie, a kary Piękna ostatni. Cwałem, galopem, byle prędzej, byle dalej od miasta. W końcu już dobrych kilka mil od Perby Dobro dał znak ręką, by zwolnić tempo. Konie już były mocno zmęczone. Stanęli więc na chwilę. Wtedy to też Dobro w końcu rzekł: - Przekupiłem kata, za nasze ostatnie dukaty. Swoją drogą, czego to ludzie nie zrobią dla kawałka złota, tego żółtego metalu. Puścił dziewczyny, a te są już teraz w drodze do Berlina. Zorganizowałem im transport, dałem trochę pieniędzy na początek. A teraz najważniejsze. Chcecie wiedzieć, dlaczego prałat zorganizował tę całą nagonkę na czarownice? - No, mów. Skoro wiesz, to powiedz. - odezwał się Piękno. - Było to tak. Kilka tygodni temu dziewczyny miały w burdelu niezwyklego klienta. To był sam prałat Bid. Przyszedł do burdelu z doklejonymi wąsami i brodą. Myślał, że go nikt nie rozpozna. Poszedł z jedną z dziewczyn na górę. A ta dość szybko go jednak rozpoznała. Po tym zaś, już wieczorem, powiedziała wszystko innym dziewczynom, po czym strasznie wyśmiała prałata, a ściśle jego możliwości erotyczne. Powiedziała, że takiej oferty to jeszcze nie miała w łóżku. Dziewczyny potem całą noc się śmiały i drwiły z prałata. To jeszcze nic, bo tak to często bywa w życiu, najgorsze jednak, że jedna z tych dziewczyn, prostytutek, chyba jakoś niedorozwinięta umysłowo, poszła potem do spowiedzi i wszystko to wygadała Bidowi. Jak z niego drwiły, jak się bawiły, jaką miały z niego zabawę. No chyba ją sumienie bolało. Ale to doprowadziło Bida prawie do załamania nerwowego. Poprzysiągł straszną zemstę. I, trzeba przyznać, szybko ją zrealizował. Stało się tak, iż w mieście jakieś dwa miesiące temu zmarło w krótkim przedziale czasowym kilku ważnych notabli miejskich. I Bid to bezwzględnie wykorzystał. Resztę już wiecie. Powiem wam tylko, że i ta, której klientem tej nieszczęsnej nocy był prałat, i ta co potem poszła z tym do spowiedzi, zginęły już okrutną śmiercią w płomieniach.

Do miasta Lijk, do syna hrabiego Wuru, Gyro, zostało jeszcze jeszcze. Po drodze będą musieli zahaczyć o kilka pomniejszych miast i miasteczek. Lecz jedno było pewnym, ten worek pełen dukatów przeznaczony dla Gyro był cały. Cały i bezpieczny. I choć bracia, a właściwie Dobro, wydał już wszystkie dukaty, które dostali od hrabiego Wuru na własne potrzeby, to nie byli wszak biedni. Srebrnych talarów mieli dosyć. Gdyby się jednak zdała jakaś okazja, by zarobić trochę, to bracia byli ochotni. No, na pewno nie do kopania rowów i okopów. Ale przecież swój rozum mieli, i byli wszak młodzi. Na razie jednak żyli chwilą. Na horyzoncie już majaczyło nowe miasto. A ściślej miasto garnizonowe Vur. Stacjonował w nim regiment kawalerii. Miasto to więc żyło z wojska. Regiment stacjonował tak, że niemal wżynał się głęboko w zabudowę miejską. A koszary to wręcz dochodziły do samego ryneczka. Tak więc to było, że poranna trąbka na apel, budziła także okoliczną



ludność, a głośnie komendy wojskowe przy żołnierskiej musztrze to dobiegały do samego ratusza, i sam mer mógł je doskonale słyszeć. Lecz wszyscy byli zadowoleni z tego układu. Cesarskie wojsko wszak to same zalety i stały dopływ pieniędzy do budżetu miasta, a i zwykli obywatele, na przykład kupcy, nieźle na tym wychodzili. Pewnej więc deszczowej niedzieli bracia zawitali do Vur. Szybko znaleźli kwatery. A jak tu nie znaleźć kwatery w tak sytuowanym mieście? Okazało się nawet, że w pokoju, który wynajęli były nie trzy lecz cztery łóżka. Zachwyciło to wręcz braci. Właścicielka tłumaczyła im, że ma tyle łóżek, bo w czasie świąt żołnierskich i państwowych, gdy są przewidziane wojskowe parady i marszruty przez miasto, to ze wszystkich okolicznych sioł i wsi przyjeżdżają, specjalnie na to, ludzie, by podziwiać wojsko w jego pełnej gali. Wszak widok żołnierza w odświętnym mundurze na swym wierzchowcu, w pełnej krasie i uzbrojeniu, to przecież wręcz widokówkowa scenka. Gospodyni, okazało się miała urodziwą córkę, wołała na nią Bela. Dziewczyna, pewnie jeszcze nastolatka, emanowała nie tylko egzotyczną urodą Indianki, ale także ciepłą aurą. Miała czarne włosy i mocno piwne oczy. Co wydaje się rzeczą naturalną od razu urzekła ona Piękno. A i dwóm starszym braciom też niezmiernie się spodobała. Dobro nastawił się, że w Vur spędzą trzy, może cztery dni, a potem w drogę. Dyskutowali zawzięcie, jak by tu zarobić parę groszy. Dobro słyszał, że czasami ludzie grają w kafejkach w różne gry na pieniądze. Nie chodziło tu jednak o gry hazardowe, lecz o gry w pełni sprawiedliwe, czyli takie w których wygrywa ten, kto jest obiektywnie lepszy. Były to więc takie gry jak szachy, brydż lub warcaby, a nawet tryktrak czy rzutki. Wszak przecież szachy to była pasja Prawdy. Gdy mieszkali jeszcze z rodzicami, bywało, że Prawda analizował samotnie po nocach przy blasku lampki oliwnej partie wielkich szachistów. A sam też był silnym graczem. Nauczył się tego wszystkiego z książek i gazet. Jedyne co mu brakowało to istotnej praktyki. Do końca Prawda nie wiedział, jak zareagowałby na grę o wysoką pieniężną stawkę z prawdziwym przeciwnikiem.

Zdarzało się więc tak, iż to sam Prawda deklarował, iż, w czasie ich wojaży, zagrałby z kimś miejscowym, lecz wtedy to Dobro ucinął te zapędy brata, bo mieli wtedy jeszcze mieszek pełny złotych dukatów. Nie było na to potrzeby. Teraz jednak sytuacja się odwróciła. Nie mieli już tak dużo pieniędzy, i sam Dobro coś przebąkiwał, iż może Prawda poszedłby zagrać z kimś za słuszną stawkę, by w końcu poszedł wypróbować swoje siły. Niech weźmie kilka grajcarów lub jednego talara i postawi taką stawkę, może ktoś z miejscowych zagra. Jeśli zaś przegra, to pogodzą się z taką stratą, nie będzie dużej ujmy. Bracia bowiem wiedzieli, że co jak co, ale Prawda był faktycznie dobrym graczem.

Było to raczej kwestią przypadku, a może zrzędzeniem losu, ale w Vur działało prężne Koło Szachowe, które było pod opieką samego Komendanta jednostki wojskowej, VI Regimentu Kawalerii, pułkownika Arota. Odkrył to Piękno, gdy przeglądał miejscową gazetę. Wyraźnie na ostatniej stronie było ogłoszenie, iż miejscowe Koło Szachowe, Hetman Vuru, organizuje w drugiej dekadzie października turniej szachowy. Wpisowe do turnieju wynosiło dziesięć grajcarów. Szkopuł w tym, iż dopiero mieli

wrzesień. Nie będzie więc na to żadnej szansy, by Prawda mógł zagrać w tym turnieju. Nie będzie szansy, ale pierwsza nagroda była wielce kusząca, było to bowiem trzydzieści talarów, druga nagroda to było dziesięć talarów, a trzecia pięć. Jak wkrótce mieli się dowiedzieć bracia, był to doroczny turniej, i rok w rok, już od zgoła dziesięciu lat, pierwszą nagrodę zdobywał zawsze pułkownik Arot. Główną nagrodę oraz tytuł Mistrza Miasta Vur w Szachach na dany rok. Nie jest więc wielkim to zaskoczeniem, jeśli zestawimy tę liczbę z liczbą lat, od kiedy pojawił się w Vur pułkownik Arot. Oto bowiem to będzie w tym roku jedenaście lat, gdy to Komendanturę w Vur objął pułkownik Arot. Jedenasty też tytuł Mistrza Szachowego szykował się dla niego w tym roku.

Dzisiaj, w niedzielę, bracia to szykowali się właśnie z wyjściem na miasto, głównie po to, by popodziwiać te wszystkie stajnie i budynki koszarowe. Tak bardzo to interesowało Piękno, tak go to ciekawiło, iż nakłonił on w końcu braci na ten wspólny spacer po okolicy. Potem zaś planowali pójść na obiad do restauracji.

Schodząc, natknęli się, wręcz się otarli, a ściślej to Prawda wręcz zderzył się z jakimś przystojnym żołnierzem. Żołnierz ów jakby się śpieszył, jakby gdzieś gonął, był ubrany w pełny rynsztunek, nawet miał przy pasie kaburę, pewnie z pistoletem, a w ręce trzymał skórzaną aktówkę. Lecz jak to mogli łatwo usłyszeć wszedł on prosto do mieszkania gospodyni, Aldony. Tej samej, co braciom wynajmowała pokój. Nic to jednak, bracia poszli swoją drogą. Najpierw chcieli zobaczyć, oczywiście tylko przez płot, owe stajnie, a może i same konie. VI Regiment słynął w całym kraju ze swoich arabów, które, jako produkt uboczny, także tu hodowano. Nie uszli kilkuset łokci i już faktycznie natknęli się na pierwsze budynki wojskowe. Co prawda za wysokim, drucianym parkanem, ale to była kuźnia. Pracowała pełną parą. I tylko słyhać było rytmiczny stuk młota o kowadło, przeplatany wiązankami pospolitych przekleństw, które tu też stamtąd dochodziły. To pewnie kowal robił sobie taki przerywnik w pracy. Albo uczył w ten sposób młodego do fachu. Takich kuźni musiało tu być z kilka. Jedna wszak nie wyrobiłaby się. Piękno z podniecenia aż cały był czerwony. Pokazywał palcami braciom, gdzie stoją konie. I w samej rzeczy były to szlachetne wierzchowce. Aż szkoda takie zwierzęta marnować w walce na polu bitwy. Gdzie, tak jak i żołnierzy, nie chroni je praktycznie żadna ochrona od kul i ostrych lanc. Chyba jednak bardziej od koni szkoda ludzi, którzy sami sobie fundują wojny i konflikty zbrojne.

Bracia przypatrywali się z uwagą tym wojskowym obiektom. Sami zaś żołnierze i obsługa, ci, co byli po drugiej stronie płotu, uznawali to chyba za normalkę. Nikt tu takich turystów, jak bracia, nie podejrzewał o szpiegostwo. No, sytuacja mogłaby się zmienić, gdyby toczyła się wojna.

- Tam musi być chyba okropnie ciepło? - odezwał się Piękno. - Gdzie? - zareagował Prawda. - No tam, w kuźni. - No pewnie że. Zimą to jest przyjemność, lecz latem to koszmar – powiedział Prawda. - No, ale to wielki zaszczyt. Wielu by chciało pracować dla wojska. - przyłączył się do rozmowy Dobro. - To ty myślisz, że ci kowale tam, to nie są wojskowi? - spytał Prawda. - Pewnie, że nie. Oni są, tak mi się

zda, najęci, to cywile, żołnierze muszą być dyspozycyjni, a ci tu harują cały czas w jednym miejscu. - No chyba się jednak mylisz. - Prawda był pewny swego. - Możemy się zapytać. - rzekł Dobro. - Kogo? - Jak kogo? Jakiegoś mieszkańca Vur, oni będą wiedzieć. Spytamy się Aldony. - Masz rację – przyznał Prawda. - Nie pomyślałem o tym. Tak, tak, po tylu latach stacjonowania tu wojska, oni będą wiedzieć. Bracia poszli dalej. A dalej było równie ciekawie. W oddali widać było plac, na którym podoficerowie prowadzili musztry. Było przed obiadem, więc pusto było na tym placu. Dalej były budynki żołnierskie. Trzypiętrowe, ceglane, bez zbędnych ozdobników na fasadzie. Proste, nieduże okna. A za oknami widać było słabo sylwetki żołnierzy, kawalerzystów. Trochę to szpeciło okolicę. W końcu bracia uznali, że jak na razie to dość. Dobro już to czuł z głodu ssanie w żołądku.

Po obiedzie, bracia wrócili do swego pokoju. Cała ta eskapada zajęła im dobre dwie godziny, lecz nie żalowali tego, nie był to na pewno czas stracony. Oto Dobro wziął się znowu za układanie pasjansa, a Prawda czytał lokalną gazetę. Piękno zaś położył się w ubraniu na swoje łóżko. Nie minęła godzina, gdy nagle na korytarzu słychać było jakiś rumor. Jakiś hałas. Wzburzone męskie głosy. Piękno zerwał się z łóżka i chciał zobaczyć, co też tam się dzieje, lecz Dobro go gestem ręki powstrzymał. - Nie wtrącamy się. - Dobro powiedział dobitnie. - Sami nie prowokujemy zdarzeń – dodał. Piękno się więc wycofał, ale widać to było po nim, był mocno wzburzony. Aż całe łóżko stęknęło, gdy znowu się nań położył. Zapanowała cisza. Jakby w całej kamienicy wszyscy posnęli. Dobro układał swego pasjansa, a Prawda z niezmaconym spokojem czytał swą gazetę. Gdy już zdało się, że nic się dziś nie stanie, bracia wyraźnie usłyszeli, że ktoś mocno szłocha na korytarzu. Najwyraźniej ktoś tam rozpaczał. Na to Dobro nie mógł już nie reagować. - Zobacz, co się tam dzieje. - Tego nie trzeba było Pięknu dwa razy powtarzać. Wyskoczył jak z procy. Wybiegł wręcz na korytarz. Szybko też wrócił, lecz nie sam. Razem z Pięknem do pokoju weszła, wsparta o ramię Piękna, Aldona. Cała była zapłakana. I chyba nie mogła nad tym zapanować. - Co się stało? - Dobro odezwał się na widok gospodyni. - Niestety, Raja żandarmeria wzięła. Bela tylko rozpacza i biadoli. - mówiła płacząc. - Jakiego Raja? - Dobro nic jeszcze nie rozumiał. - No, Raja, narzeczonego Bely. - Dlaczego go to więc żandarmeria wzięła? Ja wiem że miasto żyje z wojska, ale są przecież pewne granice. - Bo Raj też jest żołnierzem – mówiła Aldona. Dobro i Prawda chyba zaczęli się domyślać, co się stało. - Żołnierzem, z tutejszej jednostki? - spytał Prawda. - No tak. - To co on tu robił, dlaczego nie był w koszarach? - Prawda już raczej wiedział, co tu się stało. - Panowie, Raj to jest kurier wojskowy, on roznosi rozkazy. - Aha – głośno westchnął Dobro. - Niech Panie opowiada. - No było tak, że Raj dziś przyszedł do Bely. Oni żyć bez siebie nie mogą. - Aha, już rozumiem, a miał najpierw zgłosić się z jednostce z rozkazami? Czyż nie tak? - przerwał jej Prawda. - No tak, ale wtedy by nie mógł odwiedzić Bely, bo by musiał się ubiegać o przepustkę. A on już ma limit wyczerpany na trzy kolejne miesiące. Dlatego zamiast od razu iść z rozkazami, on wprzód przyszedł do nas, to znaczy do Bely - poprawiła się Aldona. -

Rozumiemy – powiedział Prawda. -A w jednostce ktoś dowiedział się, że Raj zamiast zameldować się od razu w jednostce,najpierw poszedł do swej dziewczyny. - Stwierdził Prawda. - Właśnie,jest tak,jak Pan mówisz. Ktoś nam nieżyczliwy musiał donieść na Reja. Bo to już nie pierwszy raz jak tak się stało,jak oni się tak po kryjomu spotykają. Oni się tak kochają. Chcą być tylko razem, tylko ze sobą. - Niech Pani powie, te hałasy przed chwilą, to żandarmeria brała Reja? - spytał Dobro.- Tak, powiedzieli nam. To znaczy Beli i mnie, że może za to dostać pięć lat odsiadki. Bela jest zdruzgotana. Ja też nie wiem,co teraz zrobić. My nie bogaci jesteśmy. Nie stać nas na adwokata. Zresztą procesy woskowe toczą się innym trybem,innym trybem niż normalne sprawy karne. A mieli w tym roku brać ślub. I co teraz? - Aldona znowu zaczęła biadolić. - Moja córka chyba tego nie wytrzyma. Jak ja jej mam pomóc? No jak?-

Sytuacja był trudna. Bracia doskonale wiedzieli, że szczęście tych młodych jest mocno zagrożone. - Ja nie wiem,co to będzie? Nie wiem. Chyba jedynie komendant Arot mógłby go uratować? - Co Pani mówi? Pułkownik Arot? - Dobro spytał zdumiony. - Że też mi to od razu nie przyszło do głowy- dodał. - Tak, tylko on – potwierdziła. - Ale on jest znany ze swej surowości. On wiele wymaga od innych, ale też jeszcze więcej od samego siebie. Z tego jest tu u nas znany. Wybaczcie Panowie,ale muszę już iść,muszę pilnować córki,bo ona z tej rozpaczki jeszcze może sobie coś zrobić. - Rozumiemy,rozumiemy – usłyszała od Piękna jeszcze na odchodnym.

Zaraz też,jak tylko Aldona zamknęła za sobą drzwi, Prawda rzekł. - Ja też nie wróżę nic dobrego temu Rajowi. - Wiecie,jak ona rzekła, że tylko Arot może zatrzymać tę procedurę wojskową, to przyszedł mi taki pomysł. - zagadkowo odezwał się Dobro.- I wiecie, wtedy właśnie pomyślałem, że jest szansa uratować tego absztyfikanta. - Co ty mówisz? Przecież powiedziała też, że Arot jest bardzo wymagającym, a można sobie dośpiewać już, że strasznym służbistą. - rzekł na to Prawda. - Ale,bracia,on ma jeden czuły punkt. - Jaki, Dobro, jaki? Ty go znasz? - Piękno powiedział to z pewną zaczepką w głosie. - Słuchajcie, jego słabą stroną, czułym punktem są szachy. No nie?- Ach! W samej rzeczy szachy. Lecz co to nam daje? Jak ty chcesz to wykorzystać? - powiedział Prawda. - Nie widzicie, naprawdę nie widzicie tego? Przecież można go wyzwać na szachowy pojedynek – Dobro ostatnie zdanie celowo mocniej zaakcentował. - Ach! Teraz rozumiem. Wyzwać na szachowy pojedynek,którego stawką będzie wolność dla Raja? Tak mamy cię rozumieć? - Prawda już zrozumiał swego starszego brata.- Tylko co my mu możemy zaoferować? I ,ma się rozumieć, to ja mam z nim rozegrać tę partię? - Dobrze rozumiesz. Talary. Normalne talary. Możemy postawić wszystkie swoje talary, cały mieszek. - Ty chyba Dobro postradałeś zmysły? Chcesz żebyśmy poszli na żebry? Przecież to bardzo dobry szachista. Nie mam pewności, czy z nim wygram. - No to co innego proponujecie? Jeśli nie talary, to co? - Zapanowała znacząca cisza. Bracia wyteżali swoje szare komórki. To była istna burza mózgow. Wreszcie najmłodszemu nagle wpadł pomysł do głowy- Hm... Bracia,ja myślę, że my mamy jeszcze jedną ceną

rzecz? - odezwał się. - Jaką?Jaką? - powiedzieli niemal razem starsi bracia. - No, nasze rumaki. Co, zgodzicie się chyba ze mną? - No, tak. Ty masz rację. Absolutną rację.- przyznał Dobro. Po minie Prawdy widać było, że i on się z tym zgadza. - Bracia, zawsze przecież z miasta do miasta możemy pójść piechotą – Piękno widział po braciach, że zgadzają się oni z nim co do joty.- To, co mówisz bracie, ma głęboki sens.- powiedział Dobro.- Wszak trudno zakładać, iż dowódca kawalerii nie ceni urody i pochodzenia cennych wierzchowców. Czyli musimy tylko wyzwać na szachowy pojedynek komendanta, a jako zakład postawić swoje wierzchowce. On zaś jako swój zakład musi postawić wolność Raja. Tylko jest mały szkopuł. Jak go do tego przekonać? Przecież siłą go do tego nie zmusimy.

Bela już nie płakała. Wypłakała bowiem już wszystkie łzy, jakie miała. Aldona siedziała w kącie i uważnie obserwowała swoją córkę. W pokoju należącym do gospodyni był jeszcze tylko Dobro. Dwaj pozostali bracia czekali u siebie. Ta wizyta Dobra nie była przypadkowa. Aldona bowiem powiedziała braciom, iż Bela zna jakiegoś przyjaciela Raja, też żołnierza i to nie wysokiej rangi, prawdopodobnie wachmistrza, który mimo to gra regularnie w szachy z samym komendantem. Służy, można tak rzec, pułkownikowi Arotowi jako taki sparing partner. Zwłaszcza przed jakimiś turniejami, odbywającymi się w całym okręgu Ive, w których pułkownik zamierzał wziąć udział. - Czyli mówisz, że pułkownik stale poszukuje nowych partnerów do gry? - spytał Dobro. Sączył powoli grzańca.- Tak, tak mówił Alek. - dziewczyna od tego płaczu miała zaczerwienione oczy. - Ten wachmistrz Cer? - Tak, my mu mówimy Alek.- I co ci jeszcze ten Alek powiedział? - No, że pułkownik nie ma tu godnego przeciwnika. Z wszystkimi lokalnymi graczami łatwo wygrywa. Dlatego, tak twierdzi Alek, komendant wiele by dał, by spotkać się z jakimś dobrym mistrzem szachowym spoza okręgu Ive. Bo, jak sam twierdzi, tylko porażki uczą pokory. - A czy mogłabyś zorganizować nam, to znaczy mi i moim braciom, spotkanie z tym wachmistrem? - Jeśli tylko jest w jednostce, to tak. Tak, tak. - dziewczyna potwierdziła. - W tym tygodniu? - Ja myślę, że tak. On chyba przyjdzie tu do nas jutro, albo pojutrze. On wie, że Raja aresztowano, a to był dobry przyjaciel Raja, więc będzie chciał mnie wesprzeć. Tak myślę. Jak tylko będzie miał przepustkę, to tu przyjdzie. Powiem mu, by do panów na górę wstąpił. To jest bardzo sympatyczny człowiek. Pomimo tego, że Raj ma tylko stopień kaprała, to przyjaźnił się już od kilku lat. Właściwie od samego początku, odkąd Raj podjął służbę w jednostce. Zresztą Alek mówi, że poznał bardzo dobrze styl gry komendanta. Mi to oczywiście nic nie mówi, ale Alek kiedyś przy piwie mówił, że doskonale zna wszystkie najchętniej znane i najczęściej grane, jak on to powiedział, debiuty komendanta.- Aha! Aha! Wiesz, to będzie cenna informacja dla mojego brata. Mogę ci zdradzić, że my chcemy zorganizować mecz szachowy mojego brata z komendantem, dlatego się tak interesuję jego osobą. Raczej brat wykorzysta tę wiedzę. Pewnie będzie on chciał przepytować Aleka z tych spraw. Ja też się na tym słabo znam, ale z tego, co wiem, to ważne jest, jak przeciwnik zaczyna grę lub jak się

broni. Brat mi mówił, że właśnie na tym polegają debiuty. A do Pani, Aldono, mam jeszcze małą sprawę. - Dobro odwrócił się do Aldony. - Tak? - odezwała się gospodyni. - Otóż my, ja i moi bracia, przedłużymy nieco wizytę w mieście. Rachunek uregulujemy przed odjazdem, nie ma Pani nic przeciwko? - Nie, nie. Nic nie szkodzi.

Przez kilka następnych dni nic się właściwie nie działo. Jeśli przez nic uzna się stałe starania głównie Dobra, aby móc spotkać się lub bezpośrednio zetknąć z pułkownikiem Arotem. Tu jednak w pełni okazała się siła cesarskiego wojska. Do dowództwa nie tak łatwo się dostać. Nawet jeśli to jest tylko lub aż regiment kawalerii. W okresie wojny jest to jak najbardziej cenny walor, jednak w czasie pokoju to wada i sprawia ona zwykłym obywatelom niejaki problemy. Nic się więc nie działo. Nie działo, aż do czwartku wieczorem. Oto w czwartek o szesnastej do pokoju wynajmowanym przez braci ktoś zapukał. To był, co warte uwagi, wachmistrz Cer.

-Melduję posłusznie, Panie Pułkowniku, to są ci trzej przybysze, o których Panu, Panie Pułkowniku, mówiłem. - Aha. Dobrze, wachmistrzu, dobrze. Spocznij, możecie się odmeldować. - Na te słowa komendanta wachmistrz Cer naprężył się jak struna, stuknął obcasami i wyrecytował. - Tak jest, odmeldowuję się. - Po czym zrobił zwrot na pięcie, pomaszerował do drzwi i wyszedł. Starannie zamknął za sobą drzwi. W środku zostali bracia oraz komendant VI Regimentu Kawalerii, Pułkownik Arot. On siedział na drewnianym fotelu, za olbrzymim biurkiem, oni zaś stali pokornie w koncie pokoju. - Proszę, proszę usiąść. - powiedział Arot. - Wachmistrz Cer już mi wytłumaczył wstępnie, jaką macie Panowie do mnie sprawę. - pułkownik wskazał im ławę, na której mogli spocząć. Bracia zajęli swoje miejsce. Najbardziej jednak eksponowany był Dobro. On to też głównie się odzywał. - No właśnie, pułkowniku, mamy do Pana sprawę. - Tak wiem, chodzi o szachy. Ale proszę o konkrety. - rzekł Arot. - Otóż chcielibyśmy, by rozegrał Pan partię z moim bratem. Ale tylko jedną partię i to w dodatku o wysoką stawkę. - Tak?! - Arot chyba dokładnie nie wiedział o co chodzi Dobru, może się tylko domyślał. - Słucham, słucham. - Chcielibyśmy, by rozegrał Pan, pułkowniku, partię, a ze swej strony oferujemy nasze trzy konie jako stawkę, oczywiście przy przegranej. - Jak to? Te trzy konie? - Nie rozumiem? - powiedział Dobro. - Czy chodzi wam o te trzy precudne konie, które od kilku dni przebywają w naszym mieście? - Jak to? Pan wie o jakie konie chodzi? - No tak, ich sława wyprzedza miejsca, w których one przebywają. To są wasze konie? Te trzy precudne Hadbany? Widziałem, widziałem. Cenne, bardzo cenne wierzchowce; rzadki widok, nawet dla mnie, a ja już wiele pięknych koni widziałem. - Nie rozumiem - powiedział Dobro. - No, jak to ja, kawalerzysta, mógłbym przepuścić tę okazję, by nie zobaczyć tak cenne araby. I wy je stawiacie jako zastaw w grze? - No tak. Tak. - potwierdził Dobro. - Ale z kim ja to miałbym grać? - Z moim bratem. - Ze

mną -odezwał się Prawda. - A mogę poznać Pańskie miano? - Pułkownik uśmiechnął się do braci. - Jestem Prawda.- Jak?Jak? Bo chyba nie zrozumiałem. - No,Prawda. - Ależ Pan masz dziwne miano. A ojciec Pański jak się zwał? - Mój ojciec to Wolność. - Ach! Do diaska !- Pułkownik uśmiechnął się do się siebie, zrobił lekki nieco złośliwy grymas, ale tak tylko do siebie,szybko opanował swą fizis, do braci zaś rzekł tylko- Ach teraz rozumiem. - znowu się zagadkowo do siebie uśmiechnął. - Ale wy Panowie chyba sobie nie zdajecie sprawy, jak cenne to są konie. Mój specjalista wycenia je wszystkie trzy na czterysta złotych dukatów. - Ile? - aż krzyknął Dobro. - No, tyle oczywiście nie za jednego, ale za wszystkie trzy. Najcenniejszy jest ten kary,ogier; wart jest dwieście złotych dukatów. I tyle chcecie położyć w stawce? I to tylko jedna partia. A może zdecydujcie się i wystawcie jednego konia. To też jest majątek. Widzicie więc, że nie chcę was wykorzystać. Zabrania mi to kodeks oficerski. - Rozumiemy, Panie Pułkowniku, ale mimo wszystko stawiamy wszystkie trzy – powiedział Dobro i odwrócił się do swych braci, jakby szukał potwierdzenia. - Ale ja, Panowie, nie mam tak cennej rzeczy, którą mógłbym postawić przeciw. Mówię wam to jako oficer,starszy oficer. Dlatego do partii z Panem Prawda raczej nie dojdzie. - Myli się Pan,Panie Pułkowniku – rzekł mu na to Dobro. - Czyżby? Czterysta złotych dukatów to ja nie zbieram z woskowego żołdu przez całe życie. - Ale jest coś, co dla nas jest cenne. - Co takiego? - Pamięta Pan sprawę kaprala Raja? -No tak. Nie wykonanie rozkazu. Będzie miał sąd wojskowy, ale wina jest ewidentna,dostanie pięć lat.- Otóż my w tej sprawie. Wiemy, że to tylko Pan, Komendancie,może odkręcić tę sprawę. Pan może wstrzymać procedurę wojskową. - No, teoretycznie tak, ale byłoby to szalenie demoralizująco na morale wojska. - Więc my właśnie chcemy zagrać o to. Jeśli mój brat wygra, Pan,Komendancie, ograniczy się tylko do nagany dla kaprala z wpisaniem w akta i to nam wystarczy. - Dobro był aż cały czerwony na twarzy. - Nie, nie,to nie jest możliwe. Przykro mi, nie mogę robić wyjątków, wszyscy są równi wobec prawa, wszyscy są odpowiedzialni za swe czyny. - Ale ten żołnierz poszedł do swej dziewczyny, on zgłosiłby się tego samego dnia z tymi rozkazami. Żandarmeria go złapała praktycznie wtedy, gdy żegnał się już ze swoją ukochaną.- Nie,wybaczą Panowie,nie mogę, to wszystko, żegnam Panów. - Na to Dobro ciepłym tembrem rzekł- Dobro zawsze wygrywa, Prawda wychodzi na jaw, a Piękno jest wyrazem doskonałości. - Co? Co? - wydukał Pułkownik. - Dobro zawsze wygrywa, Prawda wychodzi na jaw, a Piękno jest wyrazem doskonałości. - powtórzył powoli Dobro. - Było widać, że dokonał się jakby jakiś przełom na obliczu Arota.- Mówi Pan,że on,to znaczy kapral Raj, poszedł do swojej dziewczyny? - No tak,tak właśnie było. A zrobił to tylko dlatego, bo limit przepustek na ten miesiąc mu się już skończył. - Aha? - Pułkownik zaczął się gorączkowo zastanawiać. - I za to stawiacie tak cenne araby? - No tak, Pułkowniku, tak stawiamy. Na jednej szali nasze araby, a na drugiej wolność dla kaprala Raja.- Hm...-Westchnął komendant. - Hm... Oferta jest kusząca. Bardzo kusząca. Dobrze więc – Arot nagle rzekł. - Niech tak się stanie. Niech tak się stanie- powtórzył. - Zagramy jedną i tylko jedną partię z losowaniem kolorów. I niech będą takie oto warunki. Jeśli ja nie wygram, kaprala

miną poważne konsekwencje służbowe. Lecz jeśli wygram, te trzy precudne Hadbany są moje. Stoi taki układ? Zgadza się? - Tak, Komendancie, o to nam chodziło.- potwierdził Dobro. - No to jeszcze musimy ustalić termin rozegrania tej partii. Przez najbliższe dwa, trzy dni nie mogę. Bo muszę przygotować Regiment do wizytacji. Generał Dufor mi się już zapowiedział z wizytacją. Lecz w najbliższą niedzielę po szesnastej będę miał czas. Niech Pan Prawda przyjdzie do jednostki, zaraz mu napiszę przepustkę. Wszystko więc się okaże w niedzielę. Swoją drogą skąd wy macie tak cenne konie? Rzadka sprawa, naprawdę rzadka sprawa. - Komendant VI Regimentu Kawalerii, Pułkownik Arot, sięgnął do swoich papierów, które miał na biurku i zaczął coś pisać.

Nie było go już dwie godziny. Atmosfera w pokoju była mocno napięta. To pewnie myśli Dobra tak podkreślały energetykę w pomieszczeniu. Piękno, przeciwnie, nawet nie był zdenerwowany. Właściwie trudno określić co myślał, bo spał teraz niby osesek w żłóbku, i tylko rytmiczny ruch jego klatki piersiowej wysyłał ten komunikat, że chyba mu teraz dobrze. Dobro zaś cały w nerwach. Próbował stawiać pasjansa, ale karty nie słuchały się go. Co chwila jakaś ładowała na podłozie. A on uparcie brał je stamtąd i na nowo tasował i tasował. Gdy minęła trzecia, a potem czwarta godzina odkąd Prawda wyszedł na pojedynek szachowy z komendantem Arotem, Dobro zaczął pochrząkiwać. Wprzódki delikatnie, nieczęsto, lecz z upływem czasu ten odruch stawać zaczął się coraz groźniejszy. W pewnej chwili był tak dobitny, że aż obudził Piękno.- Co tam, jeszcze go nie ma? - ospale powiedział Piękno. I równocześnie obrócił się na lewy bok. - Ciszej! - dodał jeszcze i znowu zasnął. W nerwach Dobro aż się podniósł z krzesła. I wtedy to, właśnie wtedy, do pokoju jak tornado wparował Prawda. - O bogowie! O bogowie!-krzyknął wręcz na powitanie. -Co, bracie? Wygrałeś? - na to mu Dobro. - Nie, nie wygrałem – Prawda sapnął. - No to wszystko stracone, wszystko stracone. Przegrałeś! - Nie, też nie przegrałem. - Jak to? Nie przegrałeś? Nie wygrałeś? Nie rozumiem. - No remis był. Ratowałem się wiecznym szachem. - O Boże!- stęknął Dobro, i poczuł, że całe napięcie aż z niego schodzi. -Nie przegrałeś! To znaczy?! - Właśnie, to znaczy, bracie, że nie straciliśmy koni, a kapral Raj nie będzie miał sądu woskowego. - Teraz to w końcu obudził się na dobre Piękno, i chyba usłyszał on o czym mówią, bo rzekł. - Tak, umowa była, dokładnie to pamiętam, iż, jeśli pułkownik Arot wygra, to tracimy nasze cenne konie, a Raj będzie miał sąd, lecz, jak słyszę, on nie wygrał. Zwycięski remis. - podsumował całą sprawę. A Dobro aż siadł na krzesło z wrażenia. - O bogowie! Miałem szczęście, wylosowałem biały kolor. Czarnymi nie miałbym z nim żadnych szans. To wyśmienity szachista. Prawdziwy Mistrz. Kierowałem się wskazówkami wachmistrza Cera. Otwarłem partię pionem d. Wachmistrz bowiem mi mówił, że Arot to doskonały taktik. Lecz on i tak przeszedł do agresywnego wariantu obrony królewsko-indyjskiej. I tak pokomplikował pozycję, iż stała się ona wręcz



niejasna, lecz z wyraźną, hmm ... minimalną dominacją czarnych, czyli pułkownika. Już myślałem, że koniec ze mną. I wtedy to, słuchajcie! Wtedy to uśmiechnęła się do mnie bogini Caissa, patronka szachów. Zobaczyłem wariant forsowny, który prowadził do wiecznego szacha. To ratowało partię. - Dzięki Ci, Panie na Wysokościach. - wystękał tylko Dobro. - Ale bracia, to jeszcze nie wszystko. Przy tej okazji sprzedałem Regimentowi swoją kasztanką. Dostanę za nią, to znaczy my dostaniemy dziewięćdziesiąt złotych dukatów. Jutro mam przyprowadzić konia do stajni A-3, a z kasy Regimentu dostaniemy te dukaty. Arot był zachwycony. Zachwycony, że tak tanio sprzedają konia tej klasy. Niby jako gratis mam odebrać też z tej stajni wysłużonego konia, też kasztankę, lecz starą, w tym roku kończyła służbę w Regimentie. Ale bardzo silna i zdrowa. Posłuszna w siodle. Nie boi się szczęku broni i wystrzałów. Tak ułożona. Dostaję ją zupełnie za darmo, jako gratis. - Ale my, oczywiście, zachowujemy swoje konie? - spytał Piękno. - Tak, tak, bracie. - Wiecie - powiedział Piękno. - Wyczuwam w aurze Beli pole dziecka. Delikatne, bo delikatne, ale jednak. Może jest w drugim miesiącu ciąży? - Raj dostanie naganę z wpisem do akt, a potem wstrzymane na miesiąc przepustki. - wtrącił Prawda. - To niech się spieszą i biorą szybko ślub - powiedział Dobro. - Wiecie. Zastanawiam się, skąd nasz ojciec wziął te cenne konie? - rzekł Piękno. - On chyba wiedział, że przyjdzie taki czas, iż przyda się nam to w życiu. - Jak to, nie wiesz? Przecież jest magiem - rzekł Dobro. - Może je wyczarował?

Jechali lasem. Liście. Żółte i czerwone liście. Konie wręcz grzęzły w liściach. Piękno miał niewyraźną minę. A to chyba dlatego, że jechał na tak cennym wierzchowcu. I Dobru także towarzyszyły chyba podobne odczucia. Choć to on miał znacznie tańszego rumaka. Jednak i jego mina podobna była do miny młodszego brata, może wszak z innego powodu. Mieli taki zamiar, by sprzedać te konie, lecz poinformowano ich grzecznie, że regiment na dzień dzisiejszy nie dysponuje takim budżetem, by kupić choćby drugiego po kasztance Prawdy tak cennego araba. Byli więc w kropce. Dawniej, gdy nie znali prawdziwej wartości swych koni, mieli znacznie mniej zaprzęgniętą tym głowę. Śmiało dawali swe wierzchowce do publicznych stajni, tak jak to robili wszyscy pozostali ludzie, ci którzy przemieszczali się z miasta do miasta na koniach. A teraz? Strach było jechać na nich. Strach było powierzać je innym obcym ludziom. Tym bardziej, że sława o tych koniach znacznie wyprzedzała samych jeźdźców. To właśnie w mieście Vur, w mieście stacjonowania regimentu kawalerii, specjaliści od tego dokonali, bez wiedzy samych właścicieli, wyceny tych koni, niejako potajemnie. A czyż wojsko nie robi niektórych rzeczy właśnie w ten sposób? I ta sława teraz wyprzedzała braci na ich drodze.

Nowe złote dukaty miał pod swą pieczęcią Dobro. Ta sakiewka była znacznie cięższa i zawierała więcej złotych monet, niż pierwotna sakiewka dla syna hrabiego Wuru. Byli naprawdę bogaci, nieprzyzwoicie bogaci. Lecz trzeba pamiętać, że mieli też swoje zobowiązania. Takim zobowiązaniem był comiesięczny wykup trzech ksiąg od

Dura. To znacznie z czasem uszczupli ich majątek. Na razie jednak mieli cały pełny woreczek brzęczącego złota.

Jechali więc tak, spokojnie, powoli, dostojnie. Droga biegnąca lasem była na tyle szeroka, że mogli jechać prawie siodło przy siodle. Te lasy, przez które jechali, były wręcz wyrzeźbione z wszelkiej łownej zwierzyny. Po prostu ludzie już tu zrobili swój porządek. Może gdzieś jakiś pojedynczy szarak albo pardwa, pojedyncze sztuki, jeszcze się gdzieś uchowały. Ale to było wszystko, na co było stać w tych warunkach przyrodę. Jedynym zaś drapieżnikiem, który tu się uchował, to nie były, broń Boże, wilki czy niedźwiedzie, lecz gajowy lubo jakiś zbieracz grzybów. Człowiek bowiem nie toleruje na swym terenie innych drapieżników.

Dobru znów kiszki marsza grały. Młodszy bracia mogli to dobrze słyszeć, jak mu burczało w brzuchu. Musieliby gdzieś stanąć. Może na jakiejś polance? Jedzenie mieli ze sobą. Były to cudowne suszone, dojrzałe wędliny. W końcu było ich stać na takie rzeczy. Dobro już ślinił się na samą myśl konsumpcji tych delikatesów. I to był chyba wyraźny powód jego niewyraźnej miny. Młodszym zaś braciom było to całkowicie obojętne.

W pewnej jednak chwili za zakrętem ukazała im się zakryta bryka. Jechała bardzo powoli. Tak jakby woźnica był niedysponowany. Pewnie to właśnie woźnica, bo same konie wyglądały z perspektywy braci na zdrowe i silne. Bracia więc przyspieszyli tempo. Oto chcieli się przekonać, co tam się stało.

Po kilku minutach w końcu zrównali się z bryką. - Stop! - Dobro krzyknął do woźnicy. A tamten, bardzo posłuszny, rzeczywiście zatrzymał powóz. - Co to się wam stało, człowieku, że jedziecie tak wolno? - Dobro krzyknął do woźnicy, lecz słowa wręcz zamarły mu w ustach, bowiem w tej to chwili otworzyły się drzwiczki bryki i ukazała się w nich twarz, kogo? Otóż, była to wróżka Mądrość. - Witam was, dzieci Wolności i Sprawiedliwości – rzekła. Bracia, mało powiedziane, mieli to w tej chwili minę, niby zobaczyli smoka, albo elfa, albo innego stwora. - Pani? Dobrodziejka? - zdążył powiedzieć Piękno. - No, ja, ja, ja. Ja w samej swojej postaci. Czekałam na was. Już od dłuższego czasu pragnęłam was spotkać. Wasza renoma zaczyna was pomału wyprzedzać. Może tego nie wiecie, ale ludzie powiadają, że tam, gdzie wy goście, pomału lecz stale i konsekwentnie narasta dobrostan. Tam ludzie godzą się, wybaczą sobie winy, i żyją zgodnie jak brat ze siostrą. Tam bogacze dzielą się swym majątkiem, choćby tylko mało i z umiarem, z biedakami i potrzebującymi materialnego wsparcia. - Jak to? Jak to może być? - odezwał się Dobro. - Sama nie wiem. Tu nie starczy sama mądrość, tu nie starczy sam rozum, by to słusznie wyjaśnić. - Wróżko, powiedz, czy nasi rodziciele wiedzą o tym? - Jestem pewna, wiedzą. Są z was dumni. - Ale my nadal nie wiemy, jaki jest głęboki sens tego wszystkiego? Przecież ludzie i bez nas poradziłoby sobie. A my ani sobie żon dotąd nie znaleźliśmy, ani miejsca na tym świecie. - mówił Dobro. - Wszystko w swoim czasie. - rzekła wróżka. - I to przyjdzie w swoim czasie. Teraz chciałabym, byście poznali kogoś. Kochanie, pokaż się. - wróżka wysiadła a bryki, a razem z nią wysiadła ostrożnie jakaś młodziutka dziewczyna. Nie było ją dotąd widać. Braciom zdało się

na początku iż Wróżka Mądrość jedzie sama. - Oto moja uczennica. Oto Radość. -Kto? - Prawda chyba nie dosłyszał. - Radość. - powtórzyła wróżka. Ta dziewczyna niby zawstydziła się. Była urocza. Piękna. Wiotka. Była jeszcze młodziutka, lecz wiele było ku temu sygnałów, że wyrośnie z niej bardzo piękna kobieta. Też wróżka? Tak jak wróżką jest jej mentorka.- Jest ona sierotą,lecz jej matką sama Miłość jest. To moja wielka przyjaciółka, więc z lekkim sercem oddała mi swą pociechę na wychowanie. - Rozumiemy – powiedział w imieniu braci Dobro. - Ale wygląda na to, że przed nią jeszcze lata nauki. -No tak, masz rację, mój drogi. - Czy tylko więc chęć zobaczenia nas i spotkania z nami kierowało tobą, Szlachetna, iż wybrałaś się w tę podróż? Wszak to pewnie daleko od twego domostwa. - No tak, masz, Dobro, rację. Oto głównym mym celem jest odwiedzenie Wiary. Dlatego zabrałam ze sobą mą uczennicę. Wiara mieszka w Berlinie. Lecz ciężko ona zachorzała. Więc chcę się z nią jeszcze spotkać. Bo dni Wiary już są policzone. - Ale ojciec nam mówił,iż, gdy któreś z nas odchodzi, w tym samym momencie gdzieś na świecie rodzi się nasz następca, który ma nasze miano. - Tak to jest, Dobro. To może się ja źle wyraziłam. Oto odchodzi stare, stara Wiara, a gdzieś tam rodzi się młode. I w samej rzeczy,dokonuje się to co kilkadziesiąt lat. Swoim rytmem. Gdy me dni będą już policzone, gdzieś tam urodzi się nowa Mądrość. To pewne. I mnie to więc niedługo czeka, lecz jeszcze chciałabym przed tym wykształcić Radość na dobrą wróżkę. Tego tylko dziś pragnę.- Ciociu, przestań – odezwała się Radość. - Jeszcze masz wiele lat przed sobą. - Wróżka Mądrość przytuliła mocno do serca swą uczennicę. I stały tak przez dłuższą chwilę w objęciu.-Tak, tak,wiem, nie wywołujmy licha. Przecież czuję się zdrowa i silna. I mam przede wszystkim ciebie. Jak to można czuć się źle, gdy przy tobie i w dzień i w noc Radość czuwa? Co,kawalerowie? - To ostatnie zdanie wywołało ogólną wesołość. Na licu Dobra i Prawdy pojawił się uśmiech. Piękno był chyba zbyt zajęty. A zajęty tym, iż z uwagą obserwował Radość. A ona wyczuwała to, że jest obiektem wnikliwej obserwacji. Lecz Radość, jak to radość, nie mogła być w ponurym nastroju. To prawda płochliwa była, delikatna była,może nawet trochę zawstydzona. Lecz to wszystko wynikało raczej z jej młodego wieku. Gdyby zaś ktoś chciał głęboko zajrzeć w jej duszę,to ujrzałby pogodny obłok błogości. Jeszcze rok, może dwa,i dziewczyna będzie promieniować na zewnątrz cudowną pozytywną aurą. Tak że przebywanie w jej otoczeniu sycić będzie zadowoleniem zboliałych ludzi i uzdrawiać z wszelkich ludzkich przypadłości. Teraz tylko jej oczy o tym mówiły. Lecz było to wiadomo każdemu, co dość mądry jest, że z tego pąka, z tego zalążka prawdziwy kwiat róży się zrodzi. - Powiedzcie mi, jeśli to nie żadna tajemnica, gdzie teraz zmierzacie? - odezwała się Mądrość. - Na razie planujemy dotrzeć do miasta Lijk, a potem, to sami nie wiemy. Pójdziemy tam, gdzie nas los zaniecie. - powiedział Dobro.- Ale,o ile ja się orientuję -rzekła wróżka, uśmiechając się przy tym do swej uczennicy. - to do Lijk stąd jeszcze długa droga. Zahaczycie przy tym jeszcze co najmniej dwa mniejsze miasteczka i sioła. - No tak,i jest to nawet dla nas wielce ciekawe. Dotąd nie spotkaliśmy ani jednego do cna zepsutego człeka, ani też, przeciwnie, ideału nie było nam dane poznać. Czeka więc nas to ,wydaje się,

jeszcze.- Dobro, pamiętaj, iż nie ma takiego człeka na świecie z gruntu całkowicie zepsutego, ani podobnie krystalicznie szlachetnego. Tyle wam mogę powiedzieć jako Wróżka Mądrość. - My wiemy to, nie mamy złudzeń -wtrącił się Prawda. - Dobru raczej chodziło o to, że jak na razie nie zawiedliśmy się do końca na ludziach. Choć wiele widzieliśmy w swej podróży. - No tak, wróżko, jest tak jak brat mówi. - przyznał Dobro. - Świat chyba nie jest aż tak zły, jak zdało się to naszemu ojcu, gdy wyprawiał nas w podróż. I bez nas ludzie sobie radzą. - Nie docenicie tej roli, jaka wam przypadła. Powtórzę – rzekła wróżka.- Tam, gdzie się pojawiacie, świat staje się lepszym.- Ale to nie nasza zasługa. - wręcz krzyknął na to Piękno.- Ależ wasza, wasza. - wróżka nie ustępowała.

Słońce wyszło zza chmur. Przyjemniej stało się i cieplej. Na twarzy Radości pojawił się uśmiech, którym to dziewczyna szybko zaraziła pozostałych. Mądrość spojrzała uważnie na niebo. - Chyba już pora na nas. Konie odpoczęły, a pogoda może się gwałtownie zmienić. Widziałam was, więc przekażę Wolności i Sprawiedliwości dobrą nowinę. Czyńcie więc swoją powinność na świecie. Radość, pożegnaj się z kawalerami. - Kobiety z wolna weszły do powozu. Już to za chwilę woźnica strzelił batogiem na konie. Powóz ruszył; niewiasty z powozu pomachały im jeszcze chustkami na do widzenia.

Bracia uścisnęli się za ręce. I patrzeli jak odjeżdża bryka z Wróżką Mądrością i jej uczennicą Radością. Jeśli to była jakaś lekcja, lekcja życia, właśnie to spotkanie, to była to raczej lekcja nie dla braci lecz dla Radości.

To miasto miało w herbie dwa kozły szczepione porożami. Styr. Stare miasto na szlaku solnym. Już w Kronikach Rzymskich była o nim mała wzmianka. Ludzie tu żyli od zawsze z handlu. Handlu przyprawami, kruszczem a nawet szlachetnymi kamieniami. Dlatego też ludzie w Styr byli raczej zamożni. Choć, jak i wszędzie, było też tu trochę nędzarzy, bezdomnych i meneli pijących już na śniadanie kwartę okowity. Bracia mijali rogatki Styr późnym wieczorem. Było dość zimno. Bardzo możliwe, że rankiem, po nocy, to szron pojawił się w oknach i na, pozbawionych już liści, gałęziach. Lecz szybko znaleźli wolny pokój. Umówili się z właścicielem na sześć grajcarów za każdą dobę. Było to tanio, lecz posiłki, śniadania i obiady, musieli sobie sami organizować. Nie planowali tu długo zostać. Dzień może dwa. Tym bardziej, że dziesięć mil za Styr było już miasto Lijk, które to miasto było właściwym celem, do którego zmierzali. Gospodarzami kamienicy było małżeństwo z już dość znacznym stażem małżeńskim. Pewnie mieli oni już za sobą perłowe gody. Tak przynajmniej zdało się braciom. On wyglądał na osobę apodyktyczną. Miał takie spojrzenie stanowcze i nie znoszące sprzeciwu. Ona zaś zahukana myszka. Tak jakby była uległa swemu mężowi, czyli panu, we wszystkim. Lecz dzieci nie mieli. Prawda, jak miał to we zwyczaju, zaczął od zapoznania się gazetą wydawaną w Styr. Tytuł niewyszukany. *Gość w domu*. „*Gość w domu*” to był tytuł tygodnika, który regularnie ukazywał się w mieście. Już zgoła od półwieku. Gazeta jaka ukazywała

się w mieście, w każdym mieście, dość dokładnie oddawała charakter ludzi, którzy w nim żyli. Przynajmniej takiego zdania był Prawda. Każde kolejne doświadczenie, to znaczy kolejne miasto na ich drodze, tylko go w tym utwierdzało. Piękno zaś wolał poznawać miasto, można rzec, bezpośrednio. Dlatego to już z rana, pierwszego dnia, szybko zniknął i przyszedł dopiero w porze obiadowej. Starsi bracia nawet nie byli ciekawi, gdzie go to nosiło. Byli bowiem niemal pewni, że Piękno znowu szukał kontaktu z miejscowymi artystami. Malarzami? A może poetami? A może rybałtami? Piękno już miał taką naturę. I duszę artysty. Dwaj starsi bracia cenili inne rzeczy. Prawda był szalenie pryncypialny, lubił jasność i konkrety w każdej sytuacji, nie znosił mącieli i słowa i czynu. Dobro zaś był mocno pragmatyczny. Dobro był z nich wszystkich największym realistą. Z tego punktu widzenia nie dziwi ten fakt, iż to właśnie Dobro trzymał kasę. Najpewniej nawet gdyby nie był najstarszy, również i w tym przypadku miałby pieczę nad ich pieniędzmi. A może to nawet właśnie to, że był te kilka lat starszy, tak wyźłobiło jego charakter, tak że stał się z gruntu odpowiedzialny. Za siebie i za swoich braci.

Było już ciemno. Na stole paliła się lampa naftowa. Bracia siedzieli razem i raczyli się wędzonym dorszem, który dziś przyniósł z targu rybny Piękno. Zapłacił za niego sporo, bo aż całego talara, lecz ryba była przyrządzona nad wyraz smakowicie. Prawdziwy rarytas.

W pewnym momencie dało się wyraźnie słyszeć jakieś hałasy, dobiegające z góry. Swoją pokój mieli na pierwszym piętrze. Lecz kamienica była dwupiętrowa. Jednak ani gospodarz, ani gospodyni nic nie wspominali, że ktoś jeszcze wynajmuje u nich pokój. Ponadto wyraźnie było słyhać brzmienie jakiegoś kostura lub laski, która stuknęła o podłogę, z perspektywy braci o sufit. - Ty, co to jest? - swe pytanie Prawda kierował do najstarszego. - No, nie wiem. Może myszy? - Daj spokój, myszy? Co ty opowiadasz. Tam ktoś najwyraźniej chodzi. - Prawda był pewny swego. - I mnie się zdaje, tam musi ktoś być, ale gospodarze mieszkają na parterze – odezwał się Piękno. - Hałas z góry jakby się wzmógł. Stukanie było coraz głośniejsze. Z jednego skraju sufitu na drugi. Z jednego boku na drugi. - Przestańcie. - powiedziała Dobro. - Co nas to w sumie obchodzi? Jak nie będziecie jedli dorsza, to ja go całego zjem. - Niby im zagroził. Bracia więc wrócili do konsumpcji. Wszak wędzonego dorsza nie je się co dnia. Nawet oni, teraz bogacze, nie mieli w zwyczaju w ten sposób ucztować codziennie. Hałasy z góry jakby ucichły. Mogli spokojnie jeść. Lecz oto po kilkunastu minutach sytuacja się powtórzyła. Znowu dało się słyszeć hałas stukającego kostura oraz wyraźne odgłosy chodzenia, ciężkiego stąpania po, z tamtej perspektywy, podłodze. - Do kaduka, to mi mąci umysł. Tam musi ktoś być. - wręcz krzyknął Prawda. - Jutro, jutro się dowiemy. - rzekł na to Dobro. - Spytamy się wprost gospodarzy, a ty przygotuj swój diament, będziemy wiedzieli, czy nas zwodzą. - Mnie tak ciekawość zżera, że nie wiem, jak ja będę dziś spał. - odrzekł Prawda. - Ale musisz jednak poczekać do jutra – stwierdził Piękno. - A wy nie jesteście ciekawi? - Prawda nie mógł zrozumieć swych braci, dla których te hałasy były najwyraźniej obojętne. - A mi wszystko jedno – powiedział Dobro. - Może to

duchy? Takie stare domy mają niejedną tajemnicę. Lecz mi to nie ciekawe. Duchy wszak nam nic złego nie uczynią. Pohałasują, pohałasują. I to wszystko. - podsumował Piękno. - Duchy? No tak, to ma sens. Ale nie wydaje mi się, bo duchy się aktywizują późno w nocy, po dwunastej. A teraz dopiero wieczór się zaczyna. - Prawda aż wstał, jakby chciał dosięgnąć rękami tego dziwnego zjawiska. - No ta, masz rację. Czyli to nie duchy. - skwitował Piękno. - Jak nie duchy, to co? - znowu jął się dobywać z góry hałas. Prawda wziął krzesło i niby chciał na nim stanąć. Lecz zreflektował się szybko, poniechał tego, bo przecież i tak by mu to nic nie dało. - Ty chyba chcesz dziś pójść spać głodny, bo jak nie będziesz jadł, to ja faktycznie zjem twoją porcję. - Dobro sobie zaczął dworować z brata. - A jedz, jedz, aż ci pęknie to basisko. - odpalił mu Prawda. - Odkąd to nas matka już nie karmi, ty sobie stale folgujesz w jedzeniu. Utyłeś chyba już z dziesięć pundów dotąd. - Dobro skrzywił się na tę krytykę ze strony brata. No ale przecież to on zaczął te drwiny. Przelknął więc to i rzekł ugodowo. - No, daj spokój. Musisz poczekać do jutra. Jutro się gospodarzy wypytamy.

Następnego dnia rano było już mocno zimno. Bracia, a konkretnie Piękno, musieli zapalić w kaflowym piecu. Na szczęście dość było drewna i węgla, które to stało w wiadrze przy samym piecu. Tak jakby gospodarze domu już byli zabezpieczenie przed mroźnymi nocami, a zwłaszcza porankami. Zimno było, to prawda, ale też prawdą było to, że okno było nieszczelne.

W dziesięć minut, jak Piękno rozpalil w piecu, bracia mogli już opuścić swe pierzynowe pielesze. Było już dość ciepło na to, by zacząć codzienną poranną toaletę. Każdy z braci miał swoją brzytwę, swoje mydło i brylantynę do włosów. Woda była zimna, całą noc stała w żeliwnej miednicy, ale wszak za naukami ks. Knappa dobrze wiedzieli, że zimna woda hartuje ciało. Nie narzekali więc. Ubikacja była w korytarzu. Szybko więc i z tym bracia się uwinęli. Równy więc w pół godziny po pobudce bracia byli umyć, odświeżeni i... i straszliwie głodni. Jakiś tu w tym mieście Styr panował taki klimat, że mocno on pobudzał apetyt. Apetyt nie tylko u Dobra, ale i u pozostałych braci. Przeciwnie zaś mieszkańcy zdali się braciom nad wyraz szczupli, nie widać było wręcz nikogo otyłego. Tak jakby nikt z tutejszych nie folgował sobie nadmiernie w jedzeniu. Przynajmniej przez ten krótki okres, odkąd przybyli do miasta, nie spotkali jeszcze żadnego grubasa. To był taki mały paradoks, na jaki się tu natknęli. Nie było to wszak pierwszy paradoks w ich życiu, ale był bardzo intrygującym.

Wtedy to więc, gdy braciom kiszki marsza grały, Dobro powiedział. - Trzeba by się spytać gospodarzy, czy nie mają w spizarni jakiegoś jadła? Może mają suszone, dojrzałe wędliny? To jest normalny zwyczaj na tych terenach, że ludzie w ten sposób przechowują kiełbasy. - Tak, też mi to przyszło do głowy. - przyznał Prawda. - Ale nie wiem, mój drogi, czy będą tacy skorzy, by się z nami podzielić? - No wiesz, to zależy od ceny. - rzekł Dobro. - Jeśli dobrze zapłacimy, to się podzielią. - Pójdę, spytam się gospodyni – zaproponował Piękno. - Zaczekaj, dam ci talara. To powinno

wystarczyć. Albo, wiesz, jeśli będzie za mało, to weź i drugiego. - Dobro sięgnął do kieszeni swych spodni, gdzie miał mały miszerek na drobniaki. Wyciągnął stamtąd dwa srebrne talary i podał bratu. - Chleba też weź, jeśli będą mieli. - Dobro zawołał jeszcze za wychodzącym z izby Pięknem.-Coś trzeba by też popić. Tak na sucho jeść dojrzałe kielbasy,to może poranić całe gardło.- rzekł na to Prawda,wołając za Pięknem. Nie było jednak już w izbie Pięknem, więc bracia mogli tylko liczyć na to, że najmłodszy jest na tyle mądry, nie tylko przystojny, że sam się tego domyśli i przyniesie z chlebem i wędlinami coś do popicia. Może wina? -Zostało mi tu pod łóżkiem trochę piwa, jak masz pragnienie, to sobie weź.- rzekł Dobro.- Gdzie?- Prawda podszedł do łóżka brata i się pochylił. Istotnie, znalazł tam zamkniętą kapslem butelkę. - Ten wczorajszy dorsz mi się dziś jeszcze odbija. Był dość słony, stąd mam pragnienie. - Prawda się zaczął tłumaczyć przed bratem. Odbił kapsel i dość łapczywie zaczął duszkiem pić to piwo. Było tego dość sporo. Brawie trzy czwarte kwartki.- No, tego mi było trzeba. Może i ty,bracie, się napijesz,zostało jeszcze na dwa słuszne łyki? - A daj. Ten wczorajszy dorsz, słusznie mówisz, był dość słony.

Dobro nie zdążył jeszcze odłożyć na dobre butelki,kiedy to do izby wszedł Piękno, obładowany w dwie ręce. Za nim zaś dreptała gospodyni. - A witamy, witamy, Szanowną Panią. - Rzekł jej na powitanie Dobro. A Prawda skłonił się jej. - Witam Panów. Wasz brat zakupił od nas tyle produktów, że pomogłam mu jej tu donieść. I chleba,i szynki, i co tam jeszcze.- Aha. Aha. - przytaknął Prawda. - Nasze okolice wzbudzają mocno apatyt. Taki to już nasz patent. - powiedziała. - No tak,i my to także odkryliśmy. Szczególnie dziś po obudzeniu – powiedział Prawda. - Ale nie martwcie się, wraz z pobudzeniem do jadała, wzrasta też wewnętrzne spalanie. Nie grozi więc wam utycie. - A to dobrze, bardzo dobrze. - Widać było, że słowa gospodyni szczególnie to spodobały się Dobru. - Ale, ale, Szanowna Pani, wczoraj wieczorem dochodziły do nas jakieś hałasy z góry. Duchy tu u was grasują, czy co? - Hałasy? - gospodyni zdała się być zaskoczona. - No, hałasy,hałasy- słowa brata potwierdził Prawda. -Jakby ktoś tam u góry chodził po izbie.- A?! Hałasy! A to chyba wam chodzi o starego Alta?! On tam u góry pomieszkuje. Ale spokojny to człek. Nic wam nie zagraża. On już dawno skończył sto lat. Kilka років temu. Opiekujemy się nim. Ja z mężem. On z góry praktycznie nie schodzi. Nie ma tyle sił w sobie. Ale czasami wsparty o laszkę chodzi po swoim pokoju, żeby rozbudzić w sobie te ostanie siły, jakie jeszcze ma. Sam mówi, że nie potrafi umrzeć, lub czasami twierdzi, że Śmierć o nim sobie zapomniała. Taki to człowiek. Zagadkowy mocno. - powiedziała i zacisnęła z pasją usta, tak jakby jeszcze coś wiedziała, lecz bała się rzec. Widząc to, Dobro zaczął się wypytywać. - Szanowna Pani, a czy ten Alt to wasz jakiś krewny? - Krewny? Ee..Nie. Żaden krewny. Opiekujemy się nim tylko. Żaden krewny. On nie miał żadnych dzieci, ani żony. - Nie miał żony? To co on z zakonu?- To znaczy, z tego co nam mówił, to miał w młodości żonę, ale dzieci nie miał. Nie miał kto po nim dziedziczyć. Ach!.. Pst.. - Kobięcina się wręcz chwyciła za usta. - Ach! Za dużo plotę. Muszę już iść. Mąż czeka na śniadanie. Tak jak i wy Panowie. Niech brat

jeszcze zejdzie do nas, to dam mu ze trzy butelki wina. Za dwa całe talary, to się należy. To się naprawdę należy. - powtórzyła, wychodząc.

- Ona coś ukrywa. - powiedział Prawda, jak tylko się za gospodynią zamknęły drzwi.- Widzicie. – pokazał im swój kamień. - Mój diament najwyraźniej zmętniał. Stracił cały swój blask. - Rzeczywiście, nawet ja to dostrzegam. - Zgodził się z nim Dobro. - I ja to też widzę. - przytaknął Piękno. - Coś tu nie gra. Za tym się coś kryje. Jak tylko zaczęła mówić o tym Alcie, to kamień mi mętniał. - Hm... - Dobro zaczął się zastanawiać. - Nie dowiemy się. Chyba?! - Co chyba? - spytał Prawda. - Chyba że porozmawiamy osobiście z tym starcem. Tylko on nam prawdę powie. Tak mi się wydaje, bracia. Tylko jak to zrobić, tak dyskretnie, by gospodarze się nie zorientowali? Teraz przecież nie możemy ot tak pójść tam na górę. - Zaczekajmy. Zaczekajmy, aż gdzieś gospodarze wyjdą. - zaproponował Piękno. - Genialne, bracie, genialne – przyznał Dobro. - Możemy przecież z okna zobaczyć, gdy gospodarze będą wychodzić. Proponuję się zmieniać przy oknie co dwie godziny. Najpierw ty, Piękno. Jesteś najmłodszy.

Dobro energicznie pukał do drzwi. Raz. Dwa razy. Trzeci raz. Gdy już bracia myśleli, że to próżne. Nagle usłyszeli ze środka pokoju jakby słaby głos. - Wejś..ć. Otwar...te! A właściwie, najlepiej to słyszał Piękno. I on to pchnął dębowe drzwi. Ustąpiły bez oporu. Bracia weszli do środka. A tam? A tam ciemno było. Okno zasłonięte czarnym kocem. Zupełnie ich przytkało. Lecz po chwili oczy przyzwyczaiły się do tego półmroku. Mogli wyraźnie zobaczyć meble. Był to prosty stół z jednym krzesłem. I jakiś regał na ścianie. W kącie metalowa prycza. A tam? A tam najwyraźniej ktoś leżał, przykryty pod samą głowę pierzyną. Ktoś tam leżał! - Halo! Panie Alt! Wiemy, że Pan tu jest. Słyszysz nas Pan?- Dobro, może nawet zbyt głośno, krzyknął w stronę łóżka. - Mło...dzieńcze, czy ty głuchy jesteś, że mu...sisz tak wrzeszczeć. Słyszę cię, i wiedzę was, wyraźnie. - odpowiedziała mu słabym głosem ta osoba spod kołdry. - A to dobrze, dobrze. Czyli Pan dobrze słyszy. - I dobrze też widzę, młodzie...ńcze. - słaby głos wszedł Dobru w zdanie.- Czego chcecie? Idźcie raczej z tym do Ewy i Kana. U mnie nic nie załatwicie. - Ma Pan na myśli gospodarzy tej kamienicy?-spytał Dobro. - No tak. Po..wtarzam, u mnie nic nie załatwicie. Teraz oni tu rządzą. - Ale my wiemy o tym. Nic nie chcemy z nimi załatwiać. Przyszliśmy specjalnie do Pana. - Do mnie? A to po co?- No wiemy, że Pan mocno wiekowy. Chcemy z Panem porozmawiać. - Dobro był trochę namolny, lecz nic sobie z tego nie robił. Nastawił się cały na atak i parł do przodu. - A o czym to można jeszcze ze mną porozmawiać? Ja już zapomniałem, co to znaczy życie. Tylko tak wegetuję i ... - Alt zamilkł. Jakby się zmieszał. Jakby chciał coś powiedzieć. Jeszcze trochę i zapłakałby. Lecz szybko, w miarę szybko jak na swój wiek doszedł do siebie. Odsunął trochę od siebie pierzynę. Braciom pokazała się w całej krasie jego zniszczona wiekiem twarz. - Coś Pan chciał powiedzieć?- odezwał się, dotąd milczący, Prawda. - A nie ważne, młodzieńcze. - A może jednak? - powiedział na to Piękno. -Możemy Pana wysłuchać.



Najlepiej się opowiada swoje życie pełnym nieznanym, obcym. - Masz rację, przystojniaku, lecz sęk w tym, czy wy byście chcieli tego wysłuchać? Cały w tym szkopał. - Starzec znowu na chwilę zamilkł. - Ja już o tym zapomniałem, i tylko moje ciało o tym jeszcze pamięta. - No to niech Pan mówi. - No co wy ch..ecie? Przy.sz..liście tu tak nagle, i zaraz pójdziecie. I ja się ma..m wam wypowiadać? Nie gotowy na to jestem. Nawet księdzu się z tego nie spowiadałem. - Odważ się człowieku. Bacz. - rzekł dźwięcznym tembrem Dobro. Trzej synowie Wolności i Sprawiedliwości tak stali przy łóżku tego biednego starca. Dobro zaś wolno cedził słowa. - Dobro zawsze zwycięża. Prawda wychodzi na jaw, a Piękno jest wyrazem doskonałości. - Co? Co ty powiedziałeś? - Starzec wybuchnął nagle gorzkim płaczem. Nie umiał się pohamować. - Co ty powiedziałeś..ś? - powtarzał cały czas. - Nie umiem z tego powodu umrzeć. Rozumiecie? Nie chcą mnie tam. Nie dopuszczają mnie. Nawet Śmierć się mną brzydzi. Młodzieńcy, co ja zrobiłem! Co ja najlepszego narobiłem! Słuchajcie więc mnie. To było dawno, dawno temu. Ponad półwieku, jeśli nie więcej. Nie, nie znacznie dawniej. Byłem młody. Starszy od was teraz, lecz jeszcze zupełnie młody. Miałem żonę. Miałem wszystko. Marzyłem jeszcze tylko o jednym. O tym, o czym marzy każdy facet, choć może się do tego wprost nie przyznawać. Marzyłem o jednym. O synu. O moim potomku. Moja żona, Urs, długo nie mogła jednak zająć w ciąży. Medyk powiedziała, że różne mogą być tego przyczyny. Lecz poradził mi pewną starogermańską metodę. Chodziło o rodzaj diety, jaką powinni stosować oboje partnerów. Wzięliśmy się, ja z Ursą, z całym zapalem za to, jedliśmy głównie surowe warzywa i owoce, i faktycznie już za trzy miesiące były efekty. Żona była w ciąży. Modliłem się, ja się tak gorąco modliłem do Boga, by był syn. Miałem nawet już dla niego imię. Bruno. Bruno mój syn. Tak sobie co wieczór powtarzałem przed snem. Już widziałem się w wyobraźni jak go wychowuję. Na prawdziwego mężczyznę. Rycerza. Bo sam miałem kiepskiego ojca. Ojca alkoholika. Przez cały okres ciąży drżałem o Ursę, i o mojego Bruna. By tylko nie było poronienia. By tylko nie było jakiegoś nieszczęścia. Gdzieś podskórnie czułem, że drugi raz nie będę miał takiej szansy. W końcu urodziła. I był on. Był mój syn. Był Bruno. Moje szczęście trwało jednak tylko miesiąc. Dość szybko okazało się, że jest upośledzony. Gdyby była to tylko przypadłość cielesna, fizyczna. Pogodziłbym się z tym. Lecz nie. Bruno był imbecylem. Imbecylem od urodzenia. Szybko stało się to ogólnie widoczne. Nie rozwijał się dobrze psychicznie. To było dla mnie jak koniec świata. Nie tak sobie to wszystko wyobrażałem. Moja żona od razu wyczuła, że będą kłopoty. Ja zacząłem się od niej oddalać. Dziecko rosło, i zdawało mi się, że wszyscy znajomi drwią sobie ze mnie za plecami. A byłem dość prężnym maklerem na giełdzie w Berlinie. Nie radziłem sobie z tym. Coraz bardziej nie radziłem. Czarę goryczy przelało to, gdy uświadomiono mi, że Bruno nigdy nie nauczy się nawet mówić. I wtedy. I właśnie wtedy zrobiłem to. - Co? Co Pan zrobił? - spytał Dobro. - Rzuciłem wszystko w diabły. Uciekłem. Uciekłem od nich. Uciekłem od Ursy, i uciekłem od Bruna. Zostawiłem ich samych bez żadnych środków do życia. Byłem na tyle sprytny, albo moje wewnętrzne ja było na tyle sprytne, że już miesiąc

wcześniej, choć nie byłem o tym jeszcze w pełni świadomy, wszystkie środki finansowe przelałem na zagraniczne konta. Tak by żona została z niczym. Choć przecież byliśmy bogaci. Formalnie i ona była bogata. Jednak tylko do tego momentu, gdy wzięłem nogi za pas. Nie. Nie szukała mnie. Nie żebrała w ten sposób o litość. Może gdyby się na to zdecydowała, odnalazłaby mnie. Nie, nie zrobiła tego. Przecież dzisiaj człowiek raczej nie może przepaść bez śladu, jak kamień w wodę. A może się mylę, i jestem sam tego przykładem. W każdym razie zacząłem nowe życie. Lecz los tak chciał, że byłem odtąd już samotny. Kobiety chyba intuicyjnie wyczuwały, że ktoś taki jak ja, choć nieprzyzwoicie bogaty, nie jest dobrym kandydatem na męża.

Potem po wielu już latach, ciekawość i sumienie skłoniły mnie, by szukać jakichś śladów Ursy i Bruna. Zatrudniłem detektywa. Okazało się, że zmarła kilka lat później, po moim odejściu, w przytułku na gruźlicę. Bruno zaś dołączył do niej rok później. Do końca nigdy nie nauczył się mówić. A po śmierci matki, jak mi detektyw to przedstawił, umarł ze smutku. Przestał przyjmować jedzenie. Medycy nawet nie walczyli z nim, by jadał, by żył, tak jakby uznali, że to będzie mała strata dla świata. Taka śmierć małego imbecyla. - Alt zaczął płakać. Coś uwolniło się z niego. Z jego duszy. Płakał i płakał. I bracia patrzyli, jak stary, bardzo stary człowiek płacze. - Niech Pan da spokój. Wyrzucił Pan w końcu to z siebie, po tylu latach – powiedział do starca Dobro. - Ale, czy wy po tym też mną gardzicie? Tak ja ja gardzę sobą. - starzec zalewając się łzami, gorzkimi łzami, wydusił z siebie. - Nie, nie gardzimy Panem. - na to mu odpowiedział Dobro. - A czy wy mi to wybaczylibyście? W imieniu mojej biednej Ursy i Bruna. - Tak, wybaczymy tobie – rzekł Dobro. - Tak, wybaczymy tobie – powiedział Prawda. - Tak, wybaczymy tobie – dołączył się Piękno. Starzec przestał płakać. Uśmiechnął się nawet przez te łzy, które gdzieś tam miał jeszcze w kącikach oczu. - Pocz..ułem ulgę, naprawdę poczułem ulgę. Nareszcie poczułem ulgę. Idźcie już. Muszę się przygotować. - Na co? - spytał Piękno. - Muszę się przygotować...

W kościele nie było wiele osób. Ławki były puste. Bracia modlili się. Dochodziło do nich dostojne brzmienie organów. Jakies dzieci śpiewały psalmy pod tło brzmienia organów. Ołtarz był przyozdobiony kwiatami. Ksiądz w sposób wyuczony celebrował mszę. Żadnych emocji, żadnych uczuć. W pierwszym rzędzie stali Eva i Kan. Było też kilka innych osób. Przed nimi zaś na wprost ołtarza, na katafalku, stała trumna. Prosta, zwyczajna trumna. Przed nią zaś napis :ś.p. Alt, przeżył 107 lat. -Wiecie – powiedział cicho do braci Piękno. - Ta historia Alta przypomina mi historię hrabiego Wuru i jego syna. - Tak, masz rację – równie cicho odparł Dobro. Rozejrzał się, czy inni uczestnicy pogrzebu ich słyszą. Lecz nie, nie zakłócali uroczystości. - Tylko różnica tkwi w tym, że historia syna hrabiego może mieć znacznie lepsze zakończenie. I w tym nasza głowa. Bracia, musimy zdążyć. Dzisiaj jeszcze będziemy w mieście Lijk. Jeszcze dzisiaj tam dotrzemy. Obyśmy jednak zdążyli.

Jakiś żebrak wskazał im pewną ślepią uliczkę. A tam, jak twierdził, na samym końcu, miał być mały hotel o dźwięcznej nazwie „Żółty tulipan”. A był, był. Hotelik na niedużej posesji. Cały z drewna. Gdzieniegdzie łuszczyła się już stara farba. Hotel musiał przynosić mały dochód lub nawet nie przynosić żadnego. Starsza kobieta w recepcji nawet nie pytała o stopień pokrewieństwa rzekomych braci. Starczyło jej słowo. Słowo Dobra. Musiała to być w tym miejscu normalna praktyka, taka to, by nie zaglądać klientom głęboko w duszę. Wszak niejedna nieformalna para musiała sobie tu wynajmować pokoje. Z tym jednak, że para to para, lecz braci było wszak trzech. Istniało uzasadnione podejrzenie, że tylko jeszcze ze względu na te pary w ogóle ten hotel bilansował się w kosztach i zyskach, że w ogóle istniał.

I po prawdzie, tak jak był zaniedbany na zewnątrz, tak też był w nędznym stanie w środku. Pokoiki były jakieś takie małe, siermiężne. Na całe wyposażenie wynajętego pokoju składały się trzy łóżka i dwa krzesła. Nie było nawet stołu. A okno było bez firan i zasłon. Była tylko wysłużona, brudna roleta. I choć hotel był na uboczu, na samym końcu ślepej uliczki. Nie groziło więc nawet ewentualnym parom, które tu wynajęłyby pokój, że ktoś ich będzie podglądał. Nie było takiej możliwości. Zaraz też, jak tylko jako tako się ogarnęli, Dobro wziął się za pasjansa, którego rozłożył sobie prosto na swym łóżku. Prawda wziął się do czytania miejscowej gazety, którą dostali w recepcji hotelu, ale tylko, jak to powiedziała uprzejma starsza pani, do przeglądnięcia. A Piękno usiadł na drugim krześle i coś tam wypatrywał przez okno. - Jutro musimy zacząć szukać jakiegoś śladu po Gyro – rzekł znad pasjansa Dobro. - Dobrze, tylko kogo ty się chcesz pytać? No kogo? - Prawda stwierdził z nieco kąśliwym tonie. - No, jak to kogo! Mieszkańców Lijk. - odpowiedział mu Dobro. - Czyś ty z byka spadł? Ty wiesz ilu mieszkańców ma Lijk? Tysiące, mój drogi, tysiące. - Na to trzeba się wziąć sposobem. - włączył się Piękno. - Sposobem?! Sposobem. Ale jakim? Masz jakiś pomysł? - Prawda dziś był chyba w podłym nastroju. Chyba mu nie wyszła na dobre ta dzisiejsza podróż z miasta Styr do Lijk. On nie chciał dziś jechać, ale Dobro i Piękno uparli się. - Mnie się wydaje, że trzeba będzie chodzić z szynku do szynku i tam go szukać. - powiedział Dobro. - Coś ty? Myślisz, że to jakiś alkoholik. Nie, zapomnij. - stwierdził Prawda. - Wiem! - krzyknął wręcz z entuzjazmem najstarszy. Wiem! Wiem! - Dobro był wręcz uradowany swoim odkryciem. - Co wiem? Co wiem? Mów. - Prawda sprawiał wrażenie rozdrażnionego. - Wiecie, kto w mieście musi wiedzieć wszystko, bo to jego praca? - No kto? - spytał Piękno. - Pomyślcie. Pogłówkujcie. - Ja nie wiem, może golibroda? - zaproponował Prawda. - Blisko, blisko, ale jeszcze nie to. - Może Policmajster? - zaproponował Piękno. - Nie, nie domyślacie się? Przecież to jest łatwe. Dorożkarze! Moi drodzy. Dorożkarze! Oni muszą znać nie tylko wszystkie adresy, domy i ulice w mieście, ale jeszcze wiedzieć, kto gdzie mieszka. - Sprytne – przyznał Prawda. - Sprytne i logiczne – dodał Piękno. - Więc jak? Jutro zaczniemy się wypytywać dorożkarzy o Gyro, bracie? - stwierdził Prawda. - Tak, rozdzielimy się.

Lijk to dotąd największe miasto, w którym gościliśmy. Będzie więc z tym trochę roboty. Ale myślę, że do południa powinniśmy już poznać adres Gyro. Chyba...? - Co chyba? Mów. - Piękno aż wstał z krzesła. - Chyba że przyjechaliśmy już za późno. - I co wtedy zrobimy? - Prawda odłożył swoją gazetę. -No nic. Odeślemy dukaty Gyro na adres hrabiego Wuru, pytanie tylko czy hrabia jeszcze żyje?, i napiszemy list, w którym opiszemy całą sytuację. W końcu to nie nasza wina. No nie? - Tak, tak- dwaj młodszy bracia przytaknęli zgodnie. - Bądźmy jednak dobrej myśli. - podsumował Dobro. Jak, Piękno, podpowiada ci twoja intuicja? Czy Gyro jest gdzieś tu w obrębie miasta? - Piękno na to pytanie popadł w krótką zadumę. Po chwili jednak stwierdził.- Moja intuicja jest mocno chimeryczna. Ale na słowo Gyro nie nachodzą mnie żadne ciemne myśli. A to już jest dobry prognostyk, dobra opcja. Myślę, że żyje i że jest w mieście. Przynajmniej tak mi się wydaje.- Tego się więc będziemy trzymać, moi bracia. Właśnie tego. - rzekł Dobro.

Dobro szedł powoli. Już z daleka zobaczył te dorożki. Trzech dorożkarzy stało obok i coś tam zawzięcie ze sobą dyskutowali. Było pogodnie, choć czuć było już wyraźnie jesienny chłód. Podeszedł do nich. Kilkaset łokci stąd była stacja kolejowa. Ale teraz był mały zastój. Najbliższy parowóz do Berlina będzie za kilkadziesiąt minut. - Panowie, mam sprawę. - odezwał się podchodząc. - Gdzie Pan chcesz jechać? - odpowiedział mu najniższy z woźniców. - Nie, nie, nie. Nie zrozumieliśmy się. Ja nie chcę nigdzie jechać. Mam pytanie do was, Panowie. - Do wszystkich? - zdziwił się ten sam woźnica. - Tak. - No to słuchamy. - teraz odezwał się najwyższy. - Otóż, Panowie, szukam kogoś. Od razu mówię, zapłacę. Na początek, proszę, dla Panów. Dla każdego po dwa grajcarey.- Podał każdemu monety. - Hm... Dziwne to, ale pytaj Pan. - rzekł ten najwyższy. - Szukam człowieka. Jego miano to Gyro. - Gyro? Gyro? - ten najwyższy zaczął się głośno zastanawiać. - Nie, nie znam takiego. Znam Gore, to balwierz, który mieszka na Orlej. - Ja też nie znam. - Powiedział ten trzeci, który dotąd milczał. - Ani ja nie znam. - powiedział najniższy. - Panowie, zastanówcie się. Za informację o nim dużo zapłacę. Dam talara. - Panie, a kto to jest z zawodu? Wiesz Pan? - znów mówił ten najwyższy. - No to jest górnik. - Ha, ha, ha – zaśmiali się wszyscy trzej. - Panie, górnicy nie korzystają z dorożek. Oni mają własny kopalniany transport. - mówił ten najwyższy. - Ale powiem Panu za darmo. Nie wpytuj się Pan górników o konkretną osobę. Bo Panu jeszcze coś zrobią. Taki mają przesąd, żeby nie pytać się, broń Boże, o górnika, bo tamten wtedy może ze szychty nie wrócić. - Dorożkarze też w tej chwili odwrócili się od Dobra i znowu zaczęli ze sobą coś tam prawić. Dobro uklonił im się i odszedł. Nie był nawet teraz specjalnie zdziwiony, bo podobnie było już z jedną grupą dorożkarzy. Nikt w mieście Lijk nie znał żadnego Gyro. A skoro dorożkarze takiego nie znali?! A może Gyro dawno wyprowadził się już z miasta? Ta myśl zaczęła dziś kiełkować w umyśle Dobra.

W pokoju hotelowy, który bracia wynajmowali, już czekał Prawda. Dobru

wystarczyło tylko to, gdy zerknął na brata. Tak. Ten też nie miał żadnych informacji o Gyro. - No i co? - spytał Prawda. - Masz coś? - A ty? - Ja nic. Poczekajmy na Piękno. - Mi się wydaje, że to bezcelowe. Musimy wymyślić coś innego. Nikt tu w okolicy nie zna żadnego Gyro. - No to co planujesz? - Prawda miał niewyraźną minę. - No, sam jeszcze nie wiem. Masz rację w tym, iż musimy poczekać na Piękno. Potem coś wymyślimy. - No tak, cała nadzieja w Pięknie. Ale, swoją drogą, gdzie on się podziewa? Powinien już tu dawno być. Nie uważasz? - Piękno, jak to piękno, znów się czymś na pewno zachwycił. Pewnie stoi gdzieś i gapi się na jakiś dom albo ... - Albo na jakąś dziewczynę, he, he, he – wszedł mu w słowo Prawda. - No, w samej rzeczy, na dziewczynę. -

Bracia zajęli się własnymi sprawami. Najstarszy rozłożył karty pasjansa. A Prawda czytał miejscową gazetę. Najświeższy egzemplarz, który osobiście kupił od gazeciarza na ulicy. Minęło pół godziny. Potem cała godzina. Już powoli rodziła się pora obiadowa. I wtedy to właśnie dość głośno do pokoju wszedł Piękno. Cały był rozpalony. - No i co, ktoś coś wie? - rzucił mu na powitanie Dobro. - Nie, to znaczy, dorożkarze nic nie wiedzą. Byłem na samym końcu miasta. - No to mamy problem – podsumował Dobro. - A może jednak nie? - zagadkowo odezwał się Piękno. - To znaczy, ty coś wiesz? - spytał Prawda. - Hm... mam mały trop. - Dawaj, bracie, co wiesz? - Dobro aż podniosło. Stał i patrzył czujnie na najmłodszego. - Otóż słuchajcie. Wszyscy dorożkarze, których spotkałem, nic nie wiedzieli. Lecz jak już wracałem, spotkałem nagle ... - Dobrze: nagle – wtrącił się Prawda. - Spotkałem nagle przecudnej urody dziewczynę. Zaczepiłem ją. To chyba było zrządenie losu. Pogadaliśmy trochę. Dała mi swój adres. I, co najważniejsze, coś ważnego mi rzekła. - No co? Co ci rzekła? - Prawda był cały czas mocno spięty. - Powiedziała mi, że pracuje jako siostra szpitalna w Przytułku pod wezwaniem świętego Anzelma. I tam. Słuchajcie. Oto mała niespodzianka, tam leży jakiś Kiro, albo Kyro, sama dokładnie nie wie. I, słuchajcie, najważniejsze, to jest jakiś górnik. Leży tam nieprzytomny od miesiąca. Poją go tylko czystą wodą. No, wiecie, tak przez rurkę kauczukową do żołądka. Ale medycy nie dają mu więcej jeszcze jak z tydzień życia. Ma coś z płucami. To częsta choroba wśród górników. - Ciekawe, bardzo ciekawe – odezwał się Dobro. Piękno zaś kontynuował. - Jest biedny jak mysz kościelna. Dlatego nie ma dla niego miejsca w szpitalu. Doczeka więc swych dni, choć nieświadomy, w przytułku. Zresztą tam jest więcej takich biedaków. - Bracie, pytałeś się tej dziewczyny, czy tam można odwiedzać chorych? - spytał Dobro. - Tak, ale już nie dzisiaj. Tam można przychodzić, lecz tylko do południa. - Bracie, wyciągnij swój diament – Dobro rzekł do Prawdy. - Zobaczymy jak on zareaguje. - Prawda wyciągnął zza pazuchy woreczek a stamtąd swój diament. - Uważaj, będę mówił. - powiedział Dobro. Zaczął sylabizować. - Ten człowiek, który leży nieprzytomny w Przytułku pod wezwaniem świętego Anzelma, to Gyro, syn hrabiego Wuru! - Wszyscy trzej uważnie spojrzeli na kamień. A on. Aż zajaśniał, aż zabłysnął. Był był piękny i przejrzysty, i lśnił tysiącami isker. - To musi być on – rzekł Prawda. - Mój kamień to mówi.

Tak, to był on. To był Gyro. Jak pisało w jego kartotece: Gyro, syn Ewery. Leżał już tu dłuższy czas. Nie było żadnych realnych widoków na polepszenie. Dobro od razu chciał, by go przeniesiono do szpitala, w jakieś porządniejsze miejsce, by nie leżał tu pośród bezdomnych i meneli. Lecz medyk rzekł, że przenosiny w takim stanie znaczyłyby tyle co śmierć dla pacjenta. Wszystko więc, co mógł zrobić dla Gyro Dobro, to poprawić nieco warunki, w jakich Gyro leżał. Odgrodzono go więc parawanami od innych. Jakaś siostra szpitalna odtąd zawsze już czuwała przy jego łóżku. No i bracia tam byli. Niemal cały czas. Wszyscy trzej. Po zapłaceniu kilku złotych dukatów dostali od głównego medyka Przytułka na to pozwolenie. Siedzieli tak, i siedzieli, patrzyli na Gyro. I coraz bardziej popadali w pesymizm. W pewnym momencie Dobro rzekł do braci. - To już chyba koniec. Nie widzę żadnego ratunku. Nie uważacie? - No tak. Człowiek umrze i to już wkrótce. - przyznał mu Prawda. I tylko Piękno miał zagadkową minę. - Co tak się szczerzysz? Pewnie myślisz o tej dziewczynie, którą spotkałeś? To idź do niej, nic tu po tobie. - Nie, nie, Dobro, ja nie myślę o dziewczynie tylko.. - O czym? - przerwał mu Dobro. - Ja myślę o tym tajemniczym Geometrze, tym, któremu uratowaliśmy onegdaj życie. - O matko! O matko! Zapomniałem o tym. A przecież to chyba teraz jedyna szansa dla nas. Gdzie ja mam tą monetę. - Dobro aż poderwało do góry. Wyciągnął więc szybko ową tajemniczą monetę, którą mieli tylko dla beznadziejnego przypadku. I, rzeczywiście, teraz był na nią czas. Dobro więc trzymał monetę wysoko w górze. I? I nic się nie stało. Nic się nie stało takiego. Gyro dalej był nieprzytomny. Na to wszystko bracia zrobili kwaśne miny. Wszyscy trzej na raz. I opadli w tym zwątpieniu na swe zydle. I wtedy? Jakież kroki rozległy się w korytarzu. I? I z impetem otworzyły się drzwi. A do środka wszedł kto? Wszedł Geometra. - Co tu się dzieje? - Geometra spytał braci. Ci cali zaskoczeni nie umieli z siebie wydać ni jednego słowa. - No co, Panowie? Wzywaliście mnie, więc jestem. Co tu się stało? - No...ooo, - wydukał Dobro. Nie umiał uwierzyć, jak i jego bracia, w to, co widzi. - Mamy tu beznadziejny przypadek. Gyro, syn hrabiego Wuru umiera, a czeka na niego fortuna. Lecz cóż. Nie dane mu bęęę... dzie. - Zobaczymy? Zobaczymy?! - Geometra przybliżył się do Gyro, i tak jakby go uważnie obserwował. - A chyba wiem, co mu jest. To się zdarza górnikom. Siostrze, proszę mi podać największą strzykawkę, jaką tu macie. - Rzeczona siostra tylko na niego spojrzała. - No, proszę siostrę. Proszę mi podać. - Nie mogę. Tylko medyk może coś przy chorym robić. - Ale ja jestem medyk. I nie tylko medyk, ale także Geometra. - Jak to medyk? Jak to może Pan udowodnić? - Przecież Pani ma małego syna, urwisa, a mąż, Hut, ciągle nadużywa. - Co? Co? Skąd Pan wiesz? - Ja wiem dużo. Proszę mi podać tę strzykawkę. - Siostra podniosła się i poszła do medycznej szafki. Po chwili przyniosła stamtąd dość potężną strzykawkę. Geometra wziął ją z jej rąk. I podszedł do łóżka Gyro. Nachylił się. Rozpiął choremu piżamę. Konkretnie odsłonił prawą pierś. A potem? A potem wbił głęboko igłę strzykawki w płuco. Usłyszeli tylko trzask, jakby wrzód pękł. Geometra ruszył

łoczkiem strzykawki w górę. Po chwili w strzykawce zaczęła się gromadzić brudna ropa. Prawie cała strzykawka się napełniła ropą, a pod koniec wydobyło się trochę ciemnej krwi. - No, będzie dobrze. Jutro się obudzi jak nic. Miał ropniak w prawym płucu. Za trzy dni by się udusił. Ale w porę mnie wezwaliście. To tyle. Proszę o moją monetę. Jesteśmy kwita. Życie za życie. - Geometra spokojnie wziął z ręki zszokowanego Dobra monetę. Ukłonił się i powoli wyszedł. A oni byli nadal w szoku. -Widzieliście to co ja? - wydukał z siebie najstarszy z braci. - Nooo...,- Piękno był wstrząśnięty. - Niebawem, panowie – odezwała się siostra. - Pacjent normalnie oddycha. Ustąpiły objawy zapaści. Nie! Ja muszę pobiec po medyka. Zaczekajcie...

...

No i co, Panie Rafale, trzy godziny minęły. Zdaje mi się, że jedzie autobus, autobus do Korony. -A co się dalej, Pani Józefino, stało z tymi braćmi?- No są, są gdzieś wśród nas, wśród ludzi. Bez nich świat by już dawno zginął. -A pani ich spotkała?- Ja? Tak. Nieraz. Ty też. Czy ty nigdy się nie spotkałeś z Dobrem lub z Prawdą lubo z Pięknem. -Hmm... Sam nie wiem – powiedział Rafał. - Ale popatrz, popatrz, twój autobus jedzie. -Na te słowa kobieciny Rafał wstał z ławki wiaty i podszedł do samej szosy. - Nie myli się Pani, Pani Józefino, nasz autobus jedzie. Pani Józefino?! - lecz nikt mu nie odpowiadał. Gwałtownie odwrócił się w kierunku wiaty. Lecz tam, lecz tam nikogo nie było. Gdzieś ta kobiecina znikła. - *Dziwne*. -przeszło mu przez głowę. - *Gdzie ona się podziała?* -Zaczął się zastanawiać, lecz czasu miał mało. Oto bowiem autobus już nadjechał. Nikt nie wysiadł. Rafał niepewnie wsiadł do środka. Cały czas się zastanawiał, gdzie ta kobieta przepadła? Już w środku autobusu spytał głośno jakąś młodą dziewczynę, najpewniej uczennicę. - Widziała Pani taką starszą kobietę? Cały czas ze mną była, tam na przystanku. Nazywa się Józefina Telka.- Dziewczyna na niego spojrzała, jakby spotkała UFO. - Co Pan? Ja nic nie wiem. Proszę mnie nie zaczepiać. - I od sunęła się od niego, byle dalej. Inni ludzie, Rafał miał takie wrażenie, dziwnie na niego patrzeli. Niby zabił kogoś albo obrabował. Nic to. Autobus ruszył. Rafał skasował bilet. I usiadł na wolnym miejscu. Nagle dobiegło go z tyłu. - Stefan, słyszałeś? Znowu się pokazała ta wywłoka. Jakaś bieda będzie. - Cicho, Zośka, cicho. - Rafał usłyszał jeszcze.- Ja ci mówię, Stefan, coś się złego szykuje. - A autobus jechał dostojnie, w jednym tempie drogą prosto do Korony.

**Koniec.**

Karol Kolmo